

Szukaj wydania z filmem. Do wyboru „Churchill” lub „Pilecki”

ESEJ PIOTRA SEMKI

Anatomia zła. W jaki sposób
Jerzy Urban psuł życie publiczne



Warzecha pyta, kto mógł
wysadzić gazociągi na Bałtyku

JERZY KARWELIS
O TYM, JAK WPADLIŚMY
W SZALEŃSTWO
PANDEMII



Gołe piersi pokonają
patriarchat

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZEC**

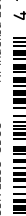
NR 41/497 10-16 PAŹDZIERNIKA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

KTO NISZCZY NASZE DZIECI

Jan Pospieszalski
oskarża ideologów LGBT

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

4 1 >



9 772299 850000

Nakład: 56 620 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy mordu
na Mikołaju II**

Sean McMeekin – **Dlaczego bolszewicy wygrali?**

Mikołaj Iwanow – **Mroczna tajemnica Lenina**

Michał Patryk Sadłowski – **Śmiertelne błędy białych**

Tomasz Stańczyk – **Polacy w piekle rewolucji**

Jarosław Syrnyk – **Skąd się wzięli Ukraińcy?**

Blendi Fevziu – **Hoxha: krwawy dyktator Albanii**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Dziaders i „Dziady”**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Podkopywanie polskiej suwerenności

W czwartek Europejski Trybunał Praw Człowieka ogłosił, że w sprawie sędziego Pawła Juszczyszyna naruszone zostały trzy artykuły Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Do ETPC wystąpił wcześniej sędzia, twierdząc, że bezprawnie zawieszono go (zrobiła to już zresztą rozwiązana Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego) w czynnościach służbowych.

Jak napisał Marcin Szwed, prawnik reprezentujący Juszczyszyna przed Trybunałem: „ETPC jednoznacznie stwierdził, że sankcje nałożone na sędziego Juszczyszyna miały na celu zniechęcenie go do stosowania Konwencji w celu oceny okoliczności powołania sędziów nominowanych przez nową KRS. Taki cel jest niezgodny z EKPC, gdyż godzi w niezależność sądów”. Prościej: zdaniem sędziów ETPC polski sędzia (każdy sędzia!) ma prawo podważać prawo do orzekania innych sędziów, nawet jeśli zostali oni powołani w zgodzie z polskim systemem prawnym. To, że taki wyrok oznacza zgodę na chaos i faktyczne zniszczenie polskiego systemu sprawiedliwości, najwyraźniej sędziom ze Strasburga nie przeszkadza.

Cóż, z jednej strony wyrok ten zaskoczeniem nie jest, z drugiej pokazuje, do jakiego stopnia różne instytucje europejskie (nawet formalnie niezwiązane z Unią) konsekwentnie wspierają projekt federacyjny, którego ofiarą musi paść suwerenność państwowa. Istotą sporu było to, czy dany sędzia ma prawo kwestionować i odrzucać przyjęty w Polsce porządek ustawowy. Nowy sposób wyboru sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa został przecież przyjęty w sposób legalny i prawowity: najpierw ustawa została zaakceptowana przez Sejm i Senat, następnie podpisał ją prezydent. Tymczasem

okazuje się, że dla ETPC to za mało. Dla ETPC niezależność sędziowska polega na tym, że sędzia ma prawo na własną rękę badać legalność procesu ustawodawczego, tak jakby był on osobną instancją, wyższą niż powołany do tego Trybunał Konstytucyjny. Ba, taki akt staje się formą obrony niezależności! To się dopiero nazywa prawotwórstwo. W ten sposób ETPC wprowadza do polskiego systemu prawnego nową instancję kontrolną: sędziów wybranych według starego klucza.

Zabawne tylko, że odrzucając polskie prawo, europejscy sędziowie wspomnieli o tym, iż „procedury prawne były instrumentalnie wykorzystywane do osiągnięcia celów politycznych”. To się dopiero nazywa faryzeizm. Ogłaszając swój wyrok, właśnie to zrobili sędziowie: odwołali się do podpisanych przez Polskę konwencji po to, by użyć ich jako instrumentów politycznych do ograniczenia polskiej suwerenności. Wystarczy porównać wydany przez nich wyrok ze słowami szefowej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, z wywiadu, którego udzieliła dwa miesiące temu „Gazecie Prawnej”: „Nowa ustawa nie gwarantuje sędziom możliwości kwestionowania statusu innego sędziego bez ryzyka, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Tę kwestię należy rozwiązać, aby spełnić warunki przyznania pieniędzy z KP”. Krótko mówiąc: tak długo, jak Polska nie zgadza się na to, by sędziowie mogli bezkarnie odrzucać ustawy i negować kompetencje wybranych w nowy sposób innych sędziów, tak długo nasz kraj nie tylko nie otrzyma pieniędzy z Unii, lecz także będzie przegrywał sprawy przed różnymi trybunałami europejskimi. Paweł Juszczyszyn to sędzia z Olsztyna, który zdobył rozgłos, gdy zażądał od Kancelarii

Sejmu ujawnienia listu poparcia do nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Publicznie kwestionował on również prawo do sądenia osób wybranych w nowym trybie.

Wiem, że wielu czytelnikom może się wydać, iż chodzi tu o skomplikowane i niejasne sprawy proceduralne. Z kolei ogół lewicowych i liberalnych mediów twierdzi, że z powodu uporu Polski (zwykle w roli złego występuje tu Ministerstwo Sprawiedliwości) tracimy miliardy euro. To działalność antypolska i antypaństwowa – grzmią opozycyjni publicyści i politycy. Jeśli obrona suwerenności jest antypaństwowa, to mają rację. W istocie spór o tzw. prawo sędziów do podważania kompetencji innych sędziów, wybranych zgodnie z nowym trybem, to spór o to, czy Polska pozostanie niepodległym państwem. To spór o to, czy polski system prawny i wymiar sprawiedliwości wypływają z woli narodu – jak to jest zapisane w konstytucji – czy też pochodzą z nadania i są podporządkowane instytucjom europejskim.

Wprawdzie ETPC nie jest częścią systemu unijnego, tylko został powołany przez Radę Europy, ale rozróżnienie to jest w dużym stopniu fikcją. Praktycznie wszystkie państwa, które należą do Rady Europy, chciałyby należeć do Unii Europejskiej. Tak samo desygnowani przez nie sędziowie w zdecydowanej większości sprzyjają projektowi europejskiej federacji. Kiedy zatem dochodzi do sporu, wydają wyrok, który w praktyce jest odpowiedzią na postulaty unijnych polityków. Wspierają suwerenność europejskiej federacji kosztem suwerenności Polski jako państwa narodowego. Z niezależnością sędziowską i ochroną praw podstawowych – a tym miał się zajmować ETPC – nie ma to, niestety, nic wspólnego. ©

TEMAT TYGODNIA

16 JAN POSPIESZALSKI

TRANSSEKSUALNOŚĆ NA SIŁĘ

Niebezpieczna realność absurdu



KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA

PIS: KAŻDY KAŻDEMU WILKIEM

Nieudana próba zmiany premiera

24 PIOTR SEMKA

ANATOMIA ZŁA.

ODEJŚCIE ZNUDZONEGO SZATANA (CZ. I)



28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

STANY NIEMOŻNOŚCI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI

CZY MOŻNA ZABIĆ WŁAMYWACZA?

32 ZUZANNA DĄBROWSKA

NAGOŚCIĄ W PATRIARCHAT

KULTURA

34 RADOŚLAW WOJTAS

MISTRZOWIE SMYCZKA

Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego

37 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM

INWESTYCJA W ZAMEK KRÓLEWSKI

TO INWESTYCJA W WIZERUNEK POLSKI

40 PIOTR GOCIEK

POWÓDZ PRYWATNA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 MAREK JUREK

WOJNA, CZYLI SPACER PO GRANI

Presja musi mieć polityczny cel

52 ŁUKASZ WARZECHA

BOMBOWA SPRAWA

54 JERZY KARWELIS

COVIDOWY LEJEK

HISTORIA

58 ROZMOWA Z PROK. ANDRZEJEM WITKOWSKIM

MISJA POPIEŁUSZKO

Za kulisami śledztwa

ŚWIAT

62 TERESA STYLIŃSKA

JAK BYĆ KRÓLEM

Król Karol III

66 MACIEJ PIECZYŃSKI

TĘCZOWI „BANDEROWCY”

EKONOMIA

70 ROZMOWA Z WŁAŚCICIELAMI PIEKARNI

RZEMIEŚLNICZEJ W KATOWICACH

NASZ DROGI CHLEB

Cena jednego bochenka dojdzie do 15 zł?

O ZDROWIU

74 KATARZYNA PINKOSZ

TABLETKI NA KATASTROFĘ

Nie ma sensu przyjmować tabletek profilaktycznie, jeśli nic się nie wydarzyło



**Pierwsza stłuczka?
Nie szkodzi!**



**Ochrona Zniżki OC
już za 35 zł rocznie**

MATERIAŁ MARKETINGOWY

Klauzula Ochrona Zniżki działa w przypadku pierwszej szkody z OC oraz pierwszej szkody z AC dla danego pojazdu, pod warunkiem opłaty dodatkowej składki przy ubezpieczeniu OC lub pakiecie OC/AC. Klauzula nie jest dostępna w przypadku braku historii ubezpieczenia OC u wszystkich właścicieli pojazdu lub gdy wystąpiła szkoda z OC w ostatnim roku u któregośkolwiek z właścicieli pojazdu. Szczegółowe informacje dostępne są w OWU Komunikacja na stronie www.link4.pl.

TYGODNIK LISIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwiel,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Blazej Torajski, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wójcik,
Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski,
Łukasz Żygadło.
STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółka (kierownik studia),

Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Tryczek**

 Korekta: **Anna Zalewska, Magdalena Zubrycka-Wemerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa

 Okładka: **Anna Abako/East News**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy
Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta, „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, by korespondencję
 elektroniczną kierować na adres:
 listy@dorzeczy.pl.

„Kto nam wmawia rusofobię?” Dariusz Wieromiejczyk, „DRz” nr 9/2022

[...] Rusofobia, a może raczej brak złudzeń
 wobec Rosji, to organiczna część świadomości
 Polaków. Moi dziadkowie wychowali się pod
 zaborem rosyjskim, mój stryj zginął w Katyniu,
 a ja w szkole musiałam uczyć się niechcianego
 języka rosyjskiego. Nasłuchałam się opowieści
 przy rodzinnym stole o zachowaniu Rosjan „po
 wyzwoleniu” w Polsce; słuchanie „Londynu”
 i Wolnej Europy to też była w tamtych
 czasach edukacja dodatkowa w większości
 rodzin. Po ustaniu zależności od ZSRS
 zaczął się nieograniczony i oficjalny dostęp
 do literatury faktu dotyczącej Rosji.

Puszkini i Bułhakow nie mogą przykryć
 natury tego narodu, tak jak Heine i Goethe
 natury niemieckiej. W obu przypadkach
 jest wrodzona potrzeba dominacji: w Rosji
 jeszcze wojenna, pierwotna, a w Niemczech
 już ucywilizowana, finansowa i gospodarcza.
 Zachowanie żołnierzy rosyjskich na
 Ukrainie i akceptacja tego w społeczeństwie
 rosyjskim – skąd my to znamy? Determi-
 nizm cechujący naturę rosyjską i podpo-
 rządowanie się aktualnej władzy nieprędko
 pozwolą na zmiany, a do tego dochodzi
 jeszcze Cerkiew błogosławiąca napastników.
 Szanuję Pana punkt widzenia, ale to na nic,
 ta nieufność już pozostanie z nami. Dzięki
 takim artykułom, polemicznym z założenia,
 coraz bardziej lubię „Do Rzeczy”.

Z wyrazami szacunku
J. Sarosiek

Od autora

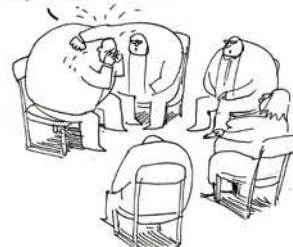
Szanowny Panie, dziękuję za życzliwą
 lekturę i wnikiwe uwagi.

Serdecznie pozdrawiam
Dariusz Wieromiejczyk

Wyjaśnienie

Film „Kryptonim Polska” w reżyserii Piotra
 Kumika nie otrzymał dotacji z PISF w ramach
 programów operacyjnych Instytutu. Producenci
 filmu skorzystali natomiast z mechanizmu
 wsparcia finansowego dla produkcji audiowizualnych,
 tzw. zachęt. Zgodnie z ustawą z 9 listopada 2018 r.
 przyjętą przez Sejm RP przyznanie wsparcia
 ma charakter automatyczny

Ja im ciągle mówię „macie umię,
 Polaczki, słuchajcie!”, ale oni już umię
 nie słuchają...



pod warunkiem spełnienia kryteriów testu
 kwalifikacyjnego, głównie odnoszącego się
 do zaangażowania finansowego na terenie
 Polski, zatrudnienia polskich pracowników
 czy liczby dni zdjęciowych na terenie na-
 szego kraju. Jest to mechanizm stosowany
 we wszystkich krajach europejskich w celu
 zwiększenia rynku filmowego w kraju
 (i tym samym zwiększenia wpływów
 podatkowych do budżetu państwa) i polega
 na zwrocie producentom do 30 proc.
 kwalifikowanych kosztów poniesionych na
 realizację w Polsce filmów i seriali.
 Producent otrzymał dotację w ramach
 „zachęt” w kwietniu 2021 r.
 Rozporządzeniem ministra kultury i dzie-
 dzictwa narodowego z 22 grudnia 2021 r.,
 zmieniającym Rozporządzenie w sprawie
 szczegółowego wykazu polskich kosztów
 kwalifikowalnych, parametrów utworów
 audiowizualnych oraz dokumentów
 związanych z przyznawaniem wsparcia
 finansowego na produkcję audiowizualną
 przez Polski Instytut Sztuki Filmowej, został
 wprowadzony nowy wzór testu kwalifika-
 cyjnego, który kładzie większy nacisk na
 kwestie tożsamościowe i kulturowe, w celu
 niedopuszczenia do finansowania produkcji
 wątpliwych z tego punktu widzenia.

Z wyrazami szacunku
Anna Pawłowska-Pojawa,
dyrektor Centrum Informacyjnego MKiDN

Sprostowanie

W numerze 39/2022 tygodnika „Do Rze-
 czy”, w tekście pt. „Nie taki zwykły
 Kowalski”, napisałam, że pierwszą „doro-
 słą” partią Janusza Kowalskiego, posła,
 a obecnie także sekretarza stanu w Mini-
 sterstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi, była
 Platforma Obywatelska, do której zapisał
 się w 2005 r. Nie jest to prawda. Wcześniej
 Janusz Kowalski był także politykiem SKL
 (AWS), Przymierza Prawicy, a także PiS. Za
 pomyłkę przepraszam. **Kamila Baranowska**

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zemsta na „czerwonym kościele”



PIOTR SEMKA

Plac Niepodległości to gigantyczna wybetonowana przestrzeń w centrum stolicy Białorusi. Pełno tu oficjalnych gmaszysk na czele z modernistycznym gmachem rady najwyższej z pomnikiem Lenina na froncie. Zazwyczaj jest tu pusto. Ci, którzy należą do nomenklatury Łukaszenki, przybywają tu limuzynami. A zwykły białoruski obywatel wie, że kręcenie się przy rządowych gmachach nie jest bezpieczne.

Ale w okolicy tej betonowej pustyni od ponad 30 lat znaleźć można było oazę tradycji, życzliwości i głębokiej wiary. Był to kościół śś. Szymona i Heleny. Powstał z bólu polskiego kresowego biznesmena Edwarda Woyniłłowicza, który poprzez wybudowanie świątyni uczcił przedwczesną śmierć dwojga swoich dzieci – Szymonka i Helenki. Neoromańska świątynia z czerwonej cegły zbudowana została w latach 1905–1910 i była pierwszym utożsamianym z polską społecznością budynkiem w Mińsku.

Ponad dekadę po inauguracji kościoła do władzy doszli bolszewicy i w 1923 r. świątynia została zbezczeszczona. Przykościelne dzwony komsomolcy zrzucili z dzwonnicy

na bruk. Część obrazów zabrano do muzeum sztuki. Władze tolerowały odprowadzanie w zniszczonym kościele mszy do 1932 r., ale potem ostatecznie zamknęło świątynię. W czasie okupacji niemieckiej na chwilę ją otwarto, ale gdy wróciła armia sowiecka w lipcu 1944 r., kościół znów zamknęto na cztery spusty. Po paru latach otworzono tu kino Sowiecka Biełaruś.

Dlaczego opowiadam państwu o tej świątyni? Bo był to ukochany miejski kościół mojej babci, która opuściła białoruską metropolię w 1920 r., uciekając przed czołwkami armii Tuchaczewskiego. W latach 70. babcia Bronisława na zaproszenie krewnych odwiedziła Mińsk. Odnalazła kościół i bez wahania klękła na progu świątyni zamienionej w kino. Ktoś musiał dać znać stróżowi „placówki kinematografii”. Ciec wyszedł i w chamowatym stylu ryknął: „Co wy, obywatelko, tu się modlicie? To kino, nie kościół!”. Babcia wstała i zanim odeszła, tupnęła nogą: „Tu kościół był, jest i będzie”. Nasi miejscy krewni, gdy dowiedzieli się o zachowaniu babci, niemal nie dostali zawału. „Przecież ten typ mógł wezwać milicjanta i wybuchłaby

polityczna afera”. Nie wybuchła. Babcia z Bożą pomocą wróciła do Polski bez problemów.

Kiedy w 1994 r. po raz pierwszy odwiedziłem Mińsk, kościół był już zwrócony katolikom. Przez kolejne lata ilekroć bywałem w Mińsku, chętnie wpadałem do „czerwonego kościoła”. I oto 5 października br. wyczytałem niepokojącą depeszę z Mińska. Okazuje się, że reżim Łukaszenki podjął decyzję o przejęciu tej zasłużonej świątyni katolickiej. W zeszłym tygodniu nieznanymi sprawcami próbowali podpalić budynek, a teraz urzędnicy miejscy rozwiązali umowę o użytkowaniu budynku.

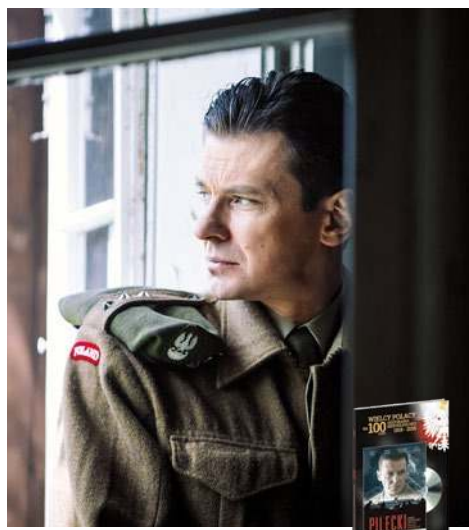
Władze wykorzystują fakt, że w 2013 r. prawo własności do zespołu architektonicznego kościoła przekazano władzom Mińska. Wiele wskazuje, że jest to zemsta na Polakach i na białoruskich obywatelach pochodzenia polskiego. Pod wpływem Rosji białoruski dyktator coraz częściej podejmuje kremlowskie hasła zagrożenia ze strony zachodniego katolicyzmu. Tak oto Mińsk wraca do sowieckich standardów. A ja mogę tylko powtarzać za moją babcią: tam kościół był, jest i będzie. ©©

HITY Z „DO RZECZY”: „PILECKI” I „CHURCHILL”

Bieżące wydanie „Do Rzeczy” dostępne jest w wersji bez dodatków lub z DVD z jednym z dwóch filmów. „Pilecki” to fabularyzowany dokument, który opowiada historię rtm. Witolda Pileckiego. W części dokumentalnej o rotmistrzu opowiada jego syn – Andrzej Pilecki. Jest to zatem okazja do poznania narodowego bohatera jako człowieka widzianego oczami najbliższych. Akcja filmu „Churchill” rozpoczyna się cztery dni przed inwazją aliantów w Normandii. W roli Winstona Churchilla znakomity Brian Cox. (rw) ©©



FOT. GRAEME HUNTER/PICTURES, KAROLINA KOSZCIEW





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Wungiel przyjechał...

... wungiel je we wiosce!” – słowa z kultowego filmu mają szansę rozebrać w wielu polskich gminach, zapowiada wicepremier Sasin, wszelako pod warunkiem, że samorządy okażą się skłonne do współpracy i wezmą na siebie jego, to znaczy węgla, dystrybucję. Z góry wiadomo, że jedne (te, umownie mówiąc, pisowskie) wezmą, inne zaś, równie umownie mówiąc, peowskie, odmówią. Umownie mówiąc, pisowskie są przeważnie na prowincji, peowskie natomiast w dużych miastach. Podział ten ujawnił się od razu z całą jaskrawością, gdy burmistrzowie i wójtowie wzięli udział w węglowej naradzie u premiera, a prezydenci metropolii pobiegli do swoich tefaleńców oskarżać rząd, że próbuje na nich

przerzucić to, co do samorządów nie należy.

Jak to wpłynie na zaopatrzenie w węgiel, to ja za bardzo nie wiem – domyślam się, że jeśli rząd jakiś węgiel załatwi, to on w ten czy inny sposób do obywateli dotrze, a jeśli węgla nie będzie, to samorządy nic nie pomogą. Ale jeśli założyć, że nie chodzi tu o węgiel, tylko o politykę, i to politykę sprowadzoną jak zwykle do młócki pomiędzy PiS a PO i jej przystawkami, to manewr wygląda tak: jeśli uda się zdobyć jakiś węgiel, to rząd rzuci go na prowincję, a gdzie nie starczy, się powie: „Nie nasza wina, było nie wybierać peowców, którzy na złość PiS odmrozili wam uszy”.

Problem PO w tym, że znowu została złapana za własną narrację. Od kilku lat usiłuje zbudować opowieść o tym, że

jej „demokratyczne” samorządy zastępują „pisowskie” państwo. Kasa z budżetów wielkich miast przeznaczana jest na rzeczy niemające nic wspólnego z lokalnymi potrzebami, aby na złość władzy. Na dotacje do in vitro, na antyrządowe „dzieła sztuki”, organizacje i manifestacje – przykład najnowszy to 100 tys. zł rzucone przez p. Dulkiwicz z budżetu Gdańska na autobusy do wożenia nielegalnych migrantów nasyłanych z Białorusi. I teraz, w takiej sprawie, PO powiada, że „samorządy nie mogą wyręczać rządu”? Duży punkt dla partyjnego pijar PiS.

Chyba że jak w sprawie reparacji i wielu innych PO zaraz zmieni diametralnie zdanie. To też będzie punkt dla PiS, choć mniejszy. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak stacza się historia

Gazeta Wyborcza” w swej dewizie zapewnia, że im „nie jest wszystko jedno”. Cokolwiek sądzić o szczerości ich deklaracji na temat praworządności czy tolerancji, sama ich dewiza jest szczerą i prawdziwą. Nie zadowolają się próżną deklaracją, pustymi zapisami w ustawach i konwencjach, ale walczą zaciekle o „postęp społeczny”, o Polskę, którą Polakom „wymyślą na nowo”. Był czas, gdy „Wyborcza” walczyła o emancypację Narkopolaków, gdy świętowała narodowy sukces rodzimej pornografii na Netflixie, teraz zaś świętuje realizację kolejnego etapu pornopraktyki. Właśnie triumfalnie opublikowała reportaż „Trzech mężczyzn i dom. Są po rocznicy związku, właśnie

wzięli wspólny, trójkątowy kredyt”. W tym długim tytule ważne szczególnie są ostatnie słowa. „Trójkątowy kredyt”, który „związek” uzyskał na „rocznicę”, to pierwsza forma uznania publicznego.

Przypomniało mi się, jak latem 2014 r., przed wyborami przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, zapytałem kandydującą na to stanowisko Ulrike Lunacek, liderkę austriackich Zielonych i znaną postać europejskiego ruchu homoseksualnego, czy „LGBT” to zamknięta lista „orientacji seksualnych” czy możemy się spodziewać kolejnych, skoro niedawno pojawiło się jeszcze „I”, czyli interseksualizm. A konkretnie, dodałem: Czy multiseksualizm, seks grupowy

może być uznany za jeszcze jedną „orientację” czy to jednak po prostu zwykła perwersja? Przewodnicząca Lunacek odpowiedziała z surową miną, że „skoro ludzie chcą tak żyć, to nie jest to żadna perwersja”.

Otóż to, żadna perwersja ani żaden szczyt. Będą kolejne. Multiseksualne „związki” nie muszą się ograniczać do trzech osób jednej płci. Od dawna przecież na prawne ramy dla swych szerokich skłonności czekają „biseksualiści”.

Deklaracji Ulrike Lunacek wtedy, przed ośmiu laty, słuchało kilkudziesięciu konserwatywnych posłów, również z Polski. Bez żadnej reakcji. I tak właśnie stacza się historia. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Zdychający z głodu lewing
ostatkiem sił wspiera politykę
głodzenia lewingów dla ich
dobra...



c e z e r y k r y s t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Gdy rozum **śpi...**

Romantycy sportu twierdzą, że o wylaniu darów ducha fair play świadczy godne zachowanie sportowca po porażce. Jeśli podobnie rzeczy się mają w polityce, to można nabrać podejrzeń, że włoscy postępowcy po klęsce wyborczej słuchają podszeptów diabła lub/i stracili zdolność rozeznania.

W demokratycznym kraju po wyborach, które są ponoć najważniejszym świętem demokracji, powtarzający ten slogan postępowcy protestują przeciw wyrokom, które zapadły w urnach. Przed siedzibą rządu demonstrowały niewiasty, w tym wiele parlamentarzystek. Oświadczyły, że wiktoria Giorgii Meloni to haniebnie zwycięstwo męskiego szowinizmu. Przeciw

wynikowi wyborów protestowali studenci w Mediolanie. Burmistrz Stazzemy, gdzie Niemcy dokonali potwornej zbrodni, oświadczył, że wstydzi się za polityczne wybory mieszkańców, bo w mieście wygrała partia Meloni. Z kuriozalnej wypowiedzi burmistrza wynika, że część odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie spada również na przyszłą premier Włoch.

Trwa w najlepsze obrzucanie błotem. Egzotyczna gwiazda lewicowego dziennikarstwa Rula Jebreal (Palestynka z obywatelstwem Izraela i Włoch) przypomniała, że ojciec Giorgii Meloni został skazany za handel narkotykami, sugerując, że „jaki ojciec, taka córka”. Ojciec Meloni opuścił rodzinę, gdy miała roczek. Po raz ostatni widziała go w wie-

ku 11 lat. Wyraży solidarności przekazało jej wielu polityków, ale żaden z potężnej lewicowej Partii Demokratycznej, bastionu politycznej poprawności, gdzie wydają ochoczo patenty słuszności poglądów, moralnej i kulturowej wyższości. Rula oskarżyła swoich krytyków o rasizm i mizoginię.

Przyczyny klęski wyborczej postępowców tłumaczy po części socjologia. Na prawicę głosowała ponad połowa robotników, a na lewicę lepiej wykształceni, lepiej zarabiający i niemal wszyscy artyści. Partia Demokratyczna, efekt cudownego przepoczwarczenia komunistów w socjaldemokratów, stała się partią elit i obrzydliwej hipokryzji. Dlatego przegrała, tonie i brzydko się chwyta. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

GUCCI?
NIE, DZIĘKUJĘ

Celebrytka Małgorzata Rozenek-Majdan to jedna z niewielu osób, której nie oburzył wywiad Grażyny Kulczyk, w którym milionerka narzekała na dzisiejszą młodzież (że nie pali się do brania nadgodzin i poświęcania życia dla pracy). Rozenek uważa, że słowa Kulczyk są demonizowane. – Ona nie krytykowała całego pokolenia, tylko zauważyła różnicę między higieną pracy, którą my mieliśmy, a higieną pracy młodych ludzi i wcale nie oceniała tego negatywnie – stwierdziła. – Ja mam takie poczucie, że bardzo dużo możemy się nauczyć od młodych ludzi. To oni niosą zmianę i to, że my kiedyś po 24 godziny siedzieliśmy, pracowaliśmy i nie było czasu na życie prywatne, to naprawdę nie jest dobrze – dodała, za przykład podając swojego syna, który nie chce chodzić w sweterkach Gucci. – Ja nawet to widzę po moim synu. On, mimo że ma możliwości, np. bardzo lubi second-hand. Uważa, że to jest duża zasługa z jego strony i mówi, że zakłada sweterki Gucci, który dostał w prezencie, tylko żeby sprawić mi przyjemność, bo to jest słabe w ich pokoleniu – podkreśla Rozenek-Majdan. Może ktoś życzliwy uświadomiłby pani celebrytce, że noszenie sweterków z bijącym po oczach logo jest słabe nie tylko w pokoleniu jej syna. Jest słabe w każdym pokoleniu.

DRAMAT
Z CIASTKIEM W TLE

Okazuje się, że u Małgorzaty Rozenek ostatnio dramat goni dramat. Nie dość, że jej syn nie chce nosić sweterków od Gucciego, to jeszcze przytrafił się jej fatalny dzień. Bo najadła się słodczy. A nie powinna, bo jest celebrytką, jest fit, ma intensywne treningi i musi się zdrowo odżywiać. – Otóż wczorajszy dzień był jednym wielkim potknięciem. Nawet takim koncertowym rozłożeniem się, gdyż ja wczoraj zjadłam... absolutnie wszystko – zaczęła zwierzenia. – Najpierw było pierwsze ciastko, potem drugie ciastko, potem trzecie ciastko, potem był lunch, który był przepyszny, potem była pracownia makaronu. Bo to wszystko



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

jakoś tak, wokół tego miejsca, w którym mieliśmy zdjęcia, były same tego typu rzeczy. Potem było jeszcze jakieś ciastko, jakieś makaroniki. Ogólnie mój dzień wczoraj wyglądał, przyrzekam, na totalną katastrofę żywieniową. Po prostu tak było – załamuje ręce celebrytka.

– Chcę, żebyście o tym wiedziały, że czasem takie dni bywają. One nie są dobre. Nie są zdrowe. Nie są potrzebne. Ale są typowymi potknięciami na drodze do swojej sylwetki czy na drodze do zdrowia [...]. Takie rzeczy się dzieją, są normalne, są normalną wypadkową procesu, w którym się jest. I niestety trzeba się nauczyć radzić z tym – pociesza Małgorzata. Jedzenie ciastek jest normalne, to pewne. Ale czy normalne jest robienie relacji z tego, że się ciastko zjadło, to już pewności nie mamy.

HEJT STOP

Celebrytka i modelka Sandra Kubicka jakiś czas temu postanowiła zainwestować we własny suplement diety dla kobiet. Ot, biznes jak każdy inny, nie

ona pierwsza i nie ostatnia. Niestety (dla Sandry), za ocenę jej cud-tabletek wzięła się Katarzyna Daniłko, która prowadzi blog jako „Pani od jakości”, gdzie ocenia i analizuje składy różnych produktów. Suplement Sandry Kubickiej nie wypadł zbyt dobrze. „Nazywanie tego produktu produktem kobiecym jest nieporozumieniem. W składzie nie ma probiotyku stricte ginekologicznego. To suplement, nie lek! Nie przeszedł badań klinicznych. Nie wiemy, co jest w środku. Na rynku znajdziemy dużo lepsze produkty o statusie leku. [...] Pamiętaj: Instagram nie jest apteką, a celebryci to nie farmaceuci! Staraj się kupować w aptekach produkty o statusie leku, a wcześniej diagnozuj problem u lekarza lub specjalisty!” – napisała „pani od jakości”. Nie spodobało się to Sandrze, oj, nie spodobało. Nazwała to „akcją hejterską” i wysłała pani Daniłko dwa pisma przedprocesowe, w których – jak donosi serwis Pudelek – domaga się 50 tys. zł zadośćuczynienia za publikację o jej spółce oraz 150 tys. zł za „naruszenie dóbr osobistych”. Zgadamy się z panią Sandrą, że to okropna akcja hejterska. Hejtowany jest bowiem jej majątek. Ten potencjalny, którego już nie zdobędzie. Trudno się nie wkurzyć, prawda?

KTO BOGATEMU
ZABRONI?

Skoro jesteśmy już przy biznesach celebrytów, to Anna Starmach, jurorka w kulinarnym show TVN „Master Chef”, też postanowiła jakoś spieniężyć swoją rozpoznawalność. Zaciężyła więc niedawno sklep internetowy, w którym sprzedaje m.in. fartuchy, ściereki, torby na zakupy i inne kuchenne rzeczy. Niestety, internautom nie spodobały się proponowane przez Anię Starmach ceny tych w sumie niewyszukanych produktów. Za fartuch trzeba w jej sklepie zapłacić 219 zł, za zestaw dwóch białych ścierek – 59 zł, a za torbę na zakupy – 249 zł. „Chyba pani na głowę upadła!” – brzmiał jeden z komentarzy. Nie ona upadła, lecz ci, którzy nagle uznali, że nie mogą żyć bez ścierek za 6 dych, i zaczęli je kupować. Ale kto bogatemu zabroni? ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, mamy wiele problemów w tym kraju, no nie? Energetyka, ochrona zdrowia, edukacja, reprezentacja w piłce nożnej, długo by wymieniać. Na szczęście mamy Lewicę, która jest w stanie zidentyfikować to, co ważne, podjąć działanie, a później pochwalić się brakiem efektów na Twitterze.

Otóż posłanka Pola Matysiak w trakcie zebrania Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży zwróciła się z bardzo ważnym wnioskiem, iżby zmienić patrona Instytutu Rozwoju Języka Polskiego z Maksymiliana Marii Kolbego na Mikołaja Reja.

Podejrzewamy, iż mogło to mieć coś wspólnego z faktem, iż Kolbe był księdzem. Byłby to więc kolejny krok w kierunku deklaryfikacji tego kraju, jednak niestety posłowie nie podzielili zdania Poli i wniosek został odrzucony.

Było blisko. Sprytna Pola postanowiła do deklaryfikacji wykorzystać Mikołaja Reja, ale jednak się nie udało. My natomiast jesteśmy zawiązani, iż Pola dała się patriarchatowi zepchnąć na pozycję, na których mówi się o „patronach”, i w miejsce jednego mężczyzny proponuje kolejnego mężczyznę.

Jak gdyby było mało utalentowanych waginoosób, które robiły różne rzeczy językowi polskiemu, jak np., daleko nie szukając, Maria Peszek czy wszystkie te osoboredaktorki z postępowych mediów. Mam nadzieję, iż Pola się na przyszłość

poprawi i kolejną rewolucję będzie już przeprowadzała skuteczniej i bardziej postępowo.

Postępowy prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak wyzwał na pojedynek osoboministra Czarnka, sugerując, iż urwałby mu na ringu głowę, oraz czyniąc aluzję co do ciałopozytywności ministra. Of kors to tylko zabawna metafora, pamiętajcie.

Podobno Sikorski nateście został najbardziej znanym na świecie Polakiem po JPII i Watgście...



...a w swojej skromności nawet się nie ucieszył...

Pomijając już szczegóły spięcia obu panów, zastanawiamy się, czy nie byłoby zdrowiej dla polskiej debaty publicznej, iżby spory polityczne były rozstrzygane na zasadzie rywalizacji lub ewentualnie losowania. Ciekawe, na ile takie rezultaty byłyby odmienne od efektów polemik podejmowanych w gabinetach.

Ewentualnie można toczyć pojedynki na dissy na Twitterze – bez obaw, Twit-

ter wytrzyma. Kto ostatecznie zdissuje oponenta, tego racja i przyznajemy mu ją przez aklamację, a oponent dostaje bana na 30 dni i zakaz aktywności w pozostałych social mediach. Co wy na to?

Jak tam, kochani, zainaugurowaliście już sezon na dyniowo-sojowe latte z parujących kubków na wynos, którego aromatem częstujecie wszystkich tych ponurych Polaków, z którymi dzielcie autobus w drodze do korpo?

Pogoda ostatnio taka, iż każdy osobojesieniarz może się poczuć usatysfakcjonowany, bo nie dość, że wreszcie może pozować do zdjęć z tym latte, to jeszcze może chillować pod kocykiem z Netflixem i grzanym winem i chwalić się tym faktem w mediach społecznościowych.

A sezon na to potrwa jeszcze pewnie długo. Musicie wiedzieć, iż nazwa „październik” pochodzi od październikowej pogody, która nawiedza mieszkańców tego kraju, jednocześnie inaugurując tę zimną, ciemną i deszczową porę roku, podczas której w wielkich ośrodkach typu

Kraków przez kilka miesięcy nie widać błękitnego nieba.

My jednak, jako kolektyw stricte miejski, cieszymy się szarościami, które uwytkują charakterystykę tkanki miejskiej i przypominają, iż jednak mieszkamy w mieście, a nie na jakiejś wsi. © ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Do wyborów

Arek, ja muszę wiedzieć, co mam mówić. My te reparacje jakoś wyciągniemy czy nie?

Jarku, oczywiście! Muszą nam zapłacić!

To ja wiem, że muszą. Przecież ciągle to mówię. Ale w końcu ktoś zapyta jak.

No jak to: jak?

Normalnie: muszą i tyle.

Taki obowiązek mają. Moralnie.

No dobrze, ale jak nie będą chcieli?

To ich zmusimy!

Ale jak?

Będziemy presję wywierali!

Ja cię nie mogę – ale w jaki sposób? Konkret jakiś.

Konkretnie to poprzez nacisk.

A ten nacisk to czym będziemy wywierać?

Naszymi działaniami.

Jakimi?

Stanowczymi!

Ty długo tak możesz?

Aż do wyborów! © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeden z najświetlejszych umysłów w Polsce”.

OLGA LIPÍŃSKA, reżyserka, w nekrologu Jerzego Urbana wydrukowanym w „Gazecie Wyborczej”

Zaczniemy od dużych pieniędzy. Wszyscy spodziewali się, że po sformułowaniu noty dyplomatycznej do rządu Niemiec w sprawie reparacji stosunki polsko-niemieckie po raz kolejny się pogorszą. Z napięciem oczekiwano spotkania szefa naszego MSZ z jego niemiecką odpowiedniczką. I co? I nic. Nasze wiewiórki utrzymują, że spotkanie Zbigniewa z Annaleną (bo tak się do siebie zwracają) miało niemal serdeczny przebieg. Choć nie do końca.

Wbrew pozorom głównym tematem rozmów nie były odszkodowania za drugą wojnę światową, ale Ukraina. A konkretniej – próba skłonięcia Berlina, by bardziej pomagał Kijowowi. I gdyby to zależało od Annaleny, Niemcy posłabły na Ukrainę kupę broni. Niestety, w tej sprawie długopis dzierży Olaf Scholz.

ZNiemcami chcieliśmy załatwić jeszcze jedną sprawę – a mianowicie, by Berlin nacisnął na Paryż, aby kolejne sankcje objęły zakaz dostarczania ruskim paliwa. „Jak to? – zapytacie – przecież paliwo to dostarcza Rosja na Zachód!”. Owszem, ale z jednym wyjątkiem. Ruskie nie radzą sobie z produkcją paliwa do elektrowni jądrowych, a konkretnie ze wzbogacaniem uranu. I tu pomaga im Francja. Gdyby wprowadziła embargo na materiały radioaktywne, oznaczałoby to, że spora część ruskich atomówek po prostu stanie. Jest szansa, że zakaz zasilania ruskich znajdzie się w następnym pakiecie sankcji. Ale nad tym pracują inne wiewiórki.

Natomiast „GazWyb” martwi się jednym ze swych piór na łamach prasy niemieckiej, że celem ohydneho PiS jest zubożenie Niemiec. Stąd żądanie reparacji. Uprzejmie donosimy, że na własne oczy widzieliśmy pracowników koncernu Agora robiących zakupy w Top Markecie i Topazie zamiast w Lidlu i Rossmannie. Co jest skandalem i działaniem prowadzącym do zubożenia Niemiec poprzez kupowanie nie u Niemca, tylko u Polaka.

Wzwiązku z powyższym mamy dla zarządu Agory dwie propozycje. Obie pod roz wagę. Pierwsza: wpisanie do regulaminu pracy zakazu zakupów w sieciach handlowych innych niż niemieckie, co skutecznie zapobie-



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

gnie zubożeniu Niemiec. Druga: ogłoszenie na łamach akcji społecznej „Nie kupuję u Polaka”. Dzięki temu „GazWyb” zadba też o to, by nie ubożały Francja czy Portugalia. A to działanie prawdziwie prounijne.

Apropos wydarzeń w wielkich koncernach medialnych. Prokuratura przesłuchiwała już pierwszych świadków w sprawie Tomasza Lisa. Są to ludzie uprzejmi, uczynni i bardzo rozmowni. Z ich opowieści wyraźnie wynika, że coś było nie halo w koncernie Ringier Axel Springer Poland już od 2018 r. Tematy były, skargi były, ale to w firmie lekceważono. Co rzuciło nowe światło na niedawną nagłą ewakuację Marka Dekana z Europy Wschodniej do dalekiej Hameryki. Zapewne w nagrodę za świetny nadzór nad polską spółką.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Dulcessa gdańska, znana też jako prezydentka miasta, martwi się, że przez inflację, wojnę i drożyznę energii (czyli przez PiS) nie będzie miała jak zimą oświetlić miasta. Mamy konstruktywną propozycję. Wystarczy zainstalować reflektory w oknach licznych mieszkań rodu Adamowiczów. Tych z zeznań majątkowych, i nie tylko. Jest

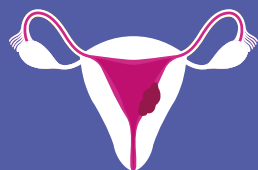
ich tak wiele, że w całym mieście będzie jasno jak w dzień. Nawet mimo PiS.

Tymczasem w innym bastionie PeŁo. Warszawiacy narzekają, że miasto rozkopane, bo Rafał Czajkowski buduje tramwaj na Wilanów. Mało kto rozumie prawdziwą skalę tragedii. Otóż niedawno mieszkańcy Wilanowa zaczęli protestować przeciw budowaniu tam mieszkań komunalnych. Nie po to kupowali wypasione hawiry, żeby im teraz się wprowadzały po sąsiedzku jakieś biedaki, w dodatku pewnie głosujące na PiS. No więc chcieliśmy uświadomić elektoratowi Platformy, że jak już tramwaj na Wilanów będzie gotowy, to za kilka ziko dojedzie tam każda biedota! Ludzie! Protestujcie przeciw inwestycji Czajkowskiego póki czas!

Apropos poruszania się po mieście, nie tylko tramwajami. Ostatnio, jak wiecie, mieliśmy do czynienia z kilkoma ważnymi dymisjami. Począwszy od wywalenia Piotra Naimskiego, poprzez Michała Dworczyka, a skończywszy na Pawle Solochu. A po drodze było jeszcze kilka mniej głośniejszych. Jak się dowiedzieliśmy, część zdymisjonowanych postanowiła z nudów poszerzyć kwalifikacje. Jeden z nich zapisał się nawet na kurs prawa jazdy.

Skoro o zmianach... Witamy w rządzie Marka Kuchcińskiego. Jak wiecie, dawny marszałek Sejmu będzie teraz szefem kancelarii w miejsce Dworczyka. A teraz najciekawsze: Dworczyk, mimo dymisji, dalej będzie w rządzie i nadal będzie robił to, co dotąd: wypełniał rozmaite misje od premiera Mateusza. Z kolei Kuchciński, mimo awansu, dalej będzie robił to, co dotąd: zajmował się rozmaitymi ważnymi inicjatywami na polu inicjatyw środowisk europejskich i wypełniał różne misje od Naczelnika Jarosława. Po co zatem cała ta zmiana? Dobre pytanie.

Skoro o Naczelniku... Pamiętamy takie ciekawe spotkanie sprzed wielu lat, przy okazji nagrywania wywiadu z prezesem PiS. Przy herbatce, pod wielką mapą na Nowogrodzkiej, opowiadał off the record o tym, że jest zdecydowanie za tym, żeby w Polsce była broń nuklearna, ale na razie nie ma co o tym mówić publicznie, bo takie są realia. Realia się zmieniły. I cóż, to nie Naczelnik jest od nich oderwany. ©©



Rak endometrium rozwija się w błonie wyściełającej macicę nazywanej endometriumⁱ.

Objawy podmiotowe i przedmiotoweⁱ



Krwawienie z pochwy lub upławy niezwiązane z miesiączką



Krwawienie z pochwy po menopauzie



Trudności lub ból podczas oddawania moczu



Ból podczas stosunku płciowego



Ból w okolicy miednicy

U kogo i jak często występuje



Rak endometrium to **szósty co do częstości występowania** rak rozpoznawany u kobiet na całym świecie i **najczęstszy nowotwór złośliwy** żeńskiego układu rozrodczegoⁱ.



Każdego roku na świecie wykrywa się **417 000 nowych przypadków zachorowań**ⁱⁱ.



Liczba rozpoznanych raka endometrium na świecie zwiększa się w ostatnich latach. W okresie od 2000 do 2010 r. uległa ona podwojeniuⁱⁱⁱ.



Rak endometrium cechuje się **trzecim najwyższym wskaźnikiem śmiertelności** spośród wszystkich złośliwych nowotworów układu rozrodczegoⁱⁱ.



Rak endometrium występuje najczęściej **u kobiet po menopauzie**; mediana wieku pacjentek wynosi **61 lat**^{iv}.

Trudności w leczeniu choroby zaawansowanej lub nawrotowej



Niezbędna jest kontynuacja badań nad nowymi metodami leczenia pacjentek z zaawansowaną lub nawrotową postacią choroby, u których doszło do progresji w trakcie lub po chemioterapii zawierającej pochodne platyny, ponieważ — jak wynika z literatury — rokowania w tej grupie są niekorzystne^v.

W przypadku raka endometrium obserwuje się największą częstość występowania zaburzenia naprawy niedopasowania genów (dMMR) i niestabilności mikrosatelitarnej (MSI-H) spośród wszystkich nowotworów^{vi, vii}.

W przypadku nowotworów z dMMR częściej występują mutacje, co powoduje, że z większym prawdopodobieństwem można u takich pacjentek uzyskać odpowiedź na leki mające wpływ na receptor programowanej śmierci 1 (PD-1) i ligand dla receptora programowanej śmierci 1 (PD-L1)^{vi, vii}.

i. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)-Patient Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/patient/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

ii. Sung H, Ferlay J, Siegel R i wsp. Global cancer statistics 2020: GLOBOCAN estimates of incidence and mortality worldwide for 36 cancers in 185 countries. CA Cancer J Clin. 2021. doi:10.3322/caac.21660

iii. Lortet-Tieulent J, Ferlay J, Bray F, Jemal A. International Patterns and Trends in Endometrial Cancer Incidence, 1978-2013. JNCI: Journal of the National Cancer Institute. 2017;110(4):354-361. doi:10.1093/jnci/djx214

iv. TV Ajithkumar. Oxford desk reference. Oxford: Oxford University Press. 2011.

v. Endometrial Cancer Treatment (PDQ®)- Health Professional Version. National Cancer Institute. <https://www.cancer.gov/types/uterine/hp/endometrial-treatment-pdq>. Dostęp: styczeń 2021 r.

vi. Bonneville R, Krook M, Kautto E i wsp. Landscape of Microsatellite Instability Across 39 Cancer Types. JCO Precis Oncol. 2017;(1):1-15. doi:10.1200/po.17.00073

vii. Le DT, Uram JN, Wang H i wsp. PD-1 blockade in tumors with mismatch-repair deficiency. N Engl J Med. 2015;373(20):1979-1979. doi:10.1056/nejmc1510353

Rzekoma „dramatyczna sytuacja polskiego przemysłu drzewnego”, o której alarmuje branża w swojej kampanii reklamowej, to w rzeczywistości skokowy wzrost sprzedaży z 28 do 39 mld zł i najwyższa w historii rentowność. Krociowe zyski przedsiębiorców drzewnych i światowy popyt doprowadziły do patologii na polskim rynku i dużego wzrostu eksportu drewna, bo bardziej opłaca się firmom sprzedawać za granicę drewno tanio kupione od Lasów Państwowych niż produkować z niego w Polsce. I to jest rzeczywista przyczyna protestu firm drzewnych po ogłoszeniu zmian zasad sprzedaży tego surowca

Wbrew temu, co głoszą w publikowanym w mediach liście stowarzyszenia firm drzewnych, drewno w Polsce nie jest najdroższe w Europie. Wystarczy prześledzić przykładowe ceny – 1 m sześć. tarcicy kosztuje w Polsce średnio 1,5 tys. zł, w Szwecji to 346 dol., czyli o prawie 200 zł drożej. Podobnie tańsze w Polsce są: sosna wielkowymiarowa – u nas średnio 390 zł, w Niemczech 85 euro, oraz świerk – w kraju 406 zł, w Austrii 105 euro. A to tylko Europa – w Chinach, które cały czas mocno zwiększają import drewna, można łatwo sprzedać polski surowiec znacznie drożej.

Business is business, ale liczą się też interes państwa i dobro przyszłych pokoleń Polaków. Dlatego Lasy Państwowe nie są przedsiębiorstwem komercyjnym. Nie sprzedają drewna dla zysku ani go nie eksportują. To strażnik polskiego skarbu narodowego – polskich lasów. I dlatego od dziesięcioleci drewna na polskim rynku co roku pojawia się tylko ściśle określona ilość. Nie mają tu znaczenia wielkość popytu w danym roku czy nagły wzrost cen. Drewna na rynku jest tylko tyle, ile zaplanowano wiele lat temu. Lasy Państwowe pozyskują drewno nie dla zysku, ale wyłącznie

Nowy regulamin stabilizuje ceny



zgodnie z długoletnimi planami, tworzonymi przez ministerialnych ekspertów i naukowców raz na 10 lat dla każdego nadleśnictwa w kraju. Rocznie pozyskuje się mniej drzew niż ich co roku przyrasta po to, by lasów było co roku coraz więcej, a polska gospodarka miała stały i stabilny dostęp do surowca.

I właśnie dlatego aż 70 proc. pozyskanego drewna jest dostępne wyłącznie dla stałych nabywców, którzy kupują ten surowiec od kilkunastu lat w specjalnych, bezstronnych procedurach elektronicznych. To dla nich gwarancja dostaw

drewna i niższe ceny, a to oznacza stabilne warunki prowadzenia firmy.

Trzydzieści procent drewna sprzedawane jest na otwartych aukcjach. Organizowane są z myślą o firmach z tradycjami, a także o tych, które dopiero powstały. To powinność państwowej instytucji, by zapewnić surowiec dla wolnego rynku. Na takich aukcjach cena sprzedaży to wynik licytacji samych firm drzewnych. Kiedyś obowiązywały ceny maksymalne, ale po interwencjach Najwyższej Izby Kontroli i Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów



Lasy Państwowe musiały zlikwidować te ograniczenie.

Ceny na aukcjach są windowane, bo drewno w Polsce wciąż jest najtańsze i nadal można je sprzedawać za granicę z dużym zyskiem, bo na taki surowiec na świecie jest niespotykane duży popyt. A zysk jest tak atrakcyjny, że eksportem drewna zajęły się także nawet firmy będące stałymi nabywcami od Lasów Państwowych.

To patologia, którą Lasy Państwowe chcą teraz ograniczyć. Dlatego wprowadzają zmiany zasad sprzedaży

drewna. W przyszłym roku cena minimalna będzie obowiązywała zarówno w procedurach dla stałych klientów, jak i na aukcjach otwartych. Wyrównanie cen wyjściowych w obu kanałach dystrybucji i dostosowanie ich do cen rynkowych doprowadzi do wyrównania cen ostatecznych i na zakupy będzie stać więcej firm. Ograniczy to możliwość spekulacji.

Ponadto wprowadzony zostaje mechanizm chroniący rodzimy rynek – uczciwe firmy, które zadeklarują, że zakupione drewno będą w kraju przerabiać

w ściśle określonym, daleko zaawansowanym stopniu, otrzymają lepszą ofertę. Co więcej, deklaracje te będą publikowane i każdy będzie mógł sprawdzić, czy firma dotrzymuje umowy.

Lasy Państwowe od lat prowadzą zrównoważoną i odpowiedzialną gospodarkę leśną, odporną na naciski branżowych lobbystów. To dzięki pracy pokoleń leśników, ich doświadczeniu i profesjonalizmowi lasów w Polsce co roku przybywa i są w coraz lepszej kondycji. Stanowią już jedną trzecią powierzchni Polski, a będzie ich jeszcze więcej.

Transseksualność na siłę



Jan Pospieszalski

Jeden zaburzony dzieciak potrafi wprowadzić destrukcję w całej klasie. Ministerstwo nie pomaga w zwalczaniu ideologii LGBT w szkołach, która niszczy dzieci, oferując im już nie tylko „kulturową zmianę płci”, lecz także amputacje piersi i terapie hormonalne. To zagłada dla całego społeczeństwa i Zachód zaczyna to rozumieć

16

Wiedza dotycząca problemu transpłciowości po stronie konserwatywnej jest na poziomie memów z toaletami dla niebinarnych albo muskularnego pływaka Wilła (vel Lia) Thomasa, który ze środy na czwartek odkrył, że jest kobietą, i rozbija na torze wodnym żeńską konkurencję. Dla większości decydentów, rządzących, w tym również poważnych akademików starszego pokolenia, postulaty społecznej konstrukcji płci są na tyle absurdalne, że wręcz niewiarygodne. Skutki implementacji strategii gender i LGBT są jednak już nie tylko zauważalne, lecz także mierzalne i groźne, zwłaszcza dla demografii. Szokujące statystyki na Zachodzie pokazują drastyczny wzrost identyfikacji LGBT+ w młodym pokoleniu, nawet do

poziomu ponad 20 proc. Choć wydaje się, że problem na razie nie dotyczy Polski, to tych danych nie wolno lekceważyć.

UCZMY SIĘ NA BŁĘDACH INNYCH

Dwa lata uwięzienia młodych ludzi przed komputerami pod pretekstem walki z pandemią sprawiły, że swoisty poślizg kulturowy (lub raczej antykulturowy), dzięki któremu zachodnie trendy rewolucji seksualnej docierały do nas z opóźnieniem, jest coraz mniejszy. Jednak nadal jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że Zachód może być dla nas polem doświadczalnym, z którego powinniśmy wyciągać wnioski.

Najpierw kilka obrazków z Polski. Początek roku szkolnego w jednym z warszawskich liceów. Dla większości uczniów



FOT. ADRIAN STOK

wskazań onkologicznych, brnie w proces tranzycji, przyjmując hormony. Dziewczyna jest dziedzicznie obciążona rzadką chorobą nowotworową kości, która w połączeniu z testosteronem może doprowadzić do tragedii. W groźnej decyzji utwierdza ją zespół Centrum Terapii Syntezy, ignorując przeciwwskazania medyczne, gwałcąc i tak liberalne reguły wyznaczane przez Polskie Towarzystwo Seksuologiczne. Bez opinii innych lekarzy, bez wywiadu środowiskowego, lecz jedynie na podstawie deklaracji pacjentki zalecono dawki hormonów i zakwalifikowano ją do operacji chirurgicznej.

Trzeci przykład to polskie forum Estheticon, gdzie na pytanie użytkownika pojawiła się odpowiedź lekarza, że 16-latec z zaburzeniami tożsamości płci, za zgodą obojga rodziców, można amputować piersi. Znany jest także przypadek (również z Polski), gdzie już 13-latec za zgodą rodziców przeprowadzono mastektomię.

EKSPERCI

Z krakowskim Centrum Synteza współpracuje psycholog Marta Dora. W obszernym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 28 sierpnia, pt. „Dlaczego dzieci trans jest więcej?”, jako jedną z hipotez wymienia swoistą modę na bycie trans, która jest odpowiedzią na kryzys wieku dojrzewania. Kryzys szczególnie dokuczliwy dla tych osób, które (uwaga na sformułowanie) „urodziły się z przypisaną płcią żeńską”. Jest to „bunt dziewczynki przed posiadaniem ciała, które jest dziś tak mocno regulowane prawami reprodukcyjnymi. Bronią się przed tą radykalizacją, odrzucają kobiecość i przyjmują męską identyfikację”. Dziennikarka nie pyta, dlaczego ten kryzys daje o sobie znać na Zachodzie, gdzie od lat żadnych ograniczeń „praw reprodukcyjnych” już nie ma. Ale kto by się szczegółami przejmował, gdy mamy do czynienia z „cierpieniem dzieci”.

Marta Dora z jednej strony przyznaje, że problem polega na tym, że nie ma listy cech, które ten nastolatek powinien spełnić, żeby pięciu różnych specjalistów, rozmawiając z nim, mogło powiedzieć: „Ta osoba się kwalifikuje”, a jednocześnie twierdzi, że sama aplikuje dzieciom hormony hamujące dojrzewanie i że można to robić już od 12. roku życia. W jednym miejscu zaznacza, że jest to proces całkowicie odwracalny, na innym wymienia efekty tej „terapii”: „Nastolatkom z przypisaną płcią żeńską przestają

rosnąć piersi, zatrzymuje się miesiączka, inaczej rozkłada się tłuszcz. Przez to, że biodra się nie poszerzają, nie pojawia się charakterystyczne wcięcie w talii. U osób z przypisaną płcią męską zatrzymuje się rozwój jąder, mutacja, wzrost owłosienia, szczególnie na twarzy. Nie pojawia się jabłko Adama. Nie poszerzają się barki, przestają rosnąć stopy”.

Ten wywiad jest pouczającym doświadczeniem. Poznajemy myślenie ekspertów, którzy przyznali sobie prawo decyzji, kto może być atrapą kobiety, a kto atrapą mężczyzny. Nie trzeba być psychologiem – wystarczy odrobina doświadczenia rodzicielskiego, żeby wiedzieć, jak labilna może być emocjonalność nastolatków, w tym labilność ich identyfikacji. W tym wieku zarówno ciało, jak i różne wymiary tożsamości wciąż jeszcze się kształtują, więc podejmowanie w imieniu dzieci nieodwracalnych decyzji, które mogą unieszczęśliwić je na całe życie, jest kryminalnym oszustwem. Ofiarą są bowiem dzieci, które zostają najpierw okłamane, a potem okaleczone.

W tym oszustwie uczestniczą najpierw propaganda LGBT, którą nasycone do bólu są media społecznościowe, i kultura masowa (choć należałoby powiedzieć

Znany jest przypadek w Polsce, gdzie 13-latec za zgodą rodziców przeprowadzono mastektomię

– antykultura). Potem tacy właśnie eksperci – szalbirze z klinik zarabiających na tranzycji płci – i w końcu rodzice, którzy dają wiarę ekspertom, a de facto ideologom, i wszyscy, którzy na różnych etapach medycznych procedur uczestniczą w procesie. Na ile 13-letnia osoba może przewidzieć konsekwencje terapii hormonalnej, amputacji piersi i innych skomplikowanych zabiegów w imię stania się podróbką mężczyzny? Niestety, przyrost liczby zwłaszcza młodzieży identyfikującej się jako LGBT jest w wielu krajach wręcz lawinowy.

NIEPRZYGOTOWANI

Problem w Polsce jest już obecny (pisałem o tym niedawno na łamach „Do Rzeczy”), lecz niewielu zdaje

to pierwsze spotkanie. Wychowawczyni poprosiła, by napisali na kartce imię i przyklepili je w widocznym miejscu na ubraniu. Okazało się, że jedna z dziewcząt przyklepiła sobie imię męskie. Gdy nauczycielka i część klasy zareagowały ze zdziwieniem, 14-latek oświadczył, że ma opinię od psychologa nakazującą właśnie taką formę zwracania się do niej, a ponadto wystąpi (czy już wystąpiła – dziewczynka myliła się w zeznaniach) do sądu o prawną zmianę płci. Mimo początkowej konfuzji nauczyciele podporządkowali się jej żądaniom. Następnego dnia dwie inne dziewczynki, choć nie miały stosownych opinii psychologicznych, poszły jej śladem.

Obrazek drugi to dramat pewnej rodziny, w której 19-latek, mimo przeci-

■ sobie z tego sprawę. Wygląda na to, że ani w resorcie zdrowia, ani w MEN gwałtownie rosnąca liczba dzieciaków zgłaszających dysfориę płciową nikogo nie interesuje.

Instytut Wymiaru Sprawiedliwości wprawdzie przygotował pierwszą interdyscyplinarną monografię – „Między chromosomem a paragrafem. Transseksualizm w ujęciu prawnym, społecznym i medycznym” – nie zmienia to jednak faktu, że praktyka nadal przypomina bardziej szarą strefę niż cywilizowane, oparte na medycznych i prawnych przesłankach standardy. Odchodząc ze stanowiska RPO, Andrzej Bodnar przy współpracy z Transfuzją wydał „Przewodnik dla sędziów i pełnomocników”, ale, jak można się spodziewać, jest to raczej stanowisko radykalnych aktywistów LGBT niż obiektywne opracowanie.

Przywołane przeze mnie przykłady ze szkół zdarzają się nie tylko w Warszawie. Nauczyciele i psychologowie szkolni najczęściej pozostawieni są sami sobie. Kuratorzy nie mają wytycznych z ministerstwa, a środowiska zideologizowanych organizacji pozarządowych, przy wsparciu mediów i takich ekspertów jak pani Dora, stosują szantaż emocjonalny. Dyrektorzy wolą więc udawać, że problemu nie ma, lub respektować opinie wystawiane przez postępowo słuszne gabinety psychologiczne. Wielu z tych ekspertów przejęło ideologiczny klucz i opiniuje zaburzenia, domagając się od nauczycieli uznania tzw. tranzykcji społecznej. Na szczęście u nas tylko społecznej, bez interwencji hormonalnej i chirurgicznej, ale z użyciem imion i zaimków oraz atrybutów wyglądu. W Stanach idą jednak już na całość. Badanie z obszaru USA (Handler i inni, 2019) pokazuje, że operacji chirurgicznej „zmiany płci” dokonuje się już w grupie 9–13-latków (m.in. usunięcie piersi, macicy, waginoplastyka, falloplastyka).

Niewielu dyrektorów czy kuratorów zdaje sobie sprawę, że psycholog wystawiający takie opinie łamie prawo, przekracza swoje kompetencje. Nauczyciel zobowiązany jest bowiem zwracać się do ucznia nie według jego widzimisie, ale zgodnie ze stanem faktycznym i prawnym. Jeden zaburzony dzieciak potrafi wprowadzić dyrekcję w całej klasie. Nauczyciel i dyrekcja mają do wyboru: albo ulegną szantażowi, na pierwszym planie stawiając indywidualny interes ucznia i jego samopoczucie, albo wybiorą troskę o dobro pozostałych. Respekto-

wanie tego typu stanów jednej osoby nie jest jej prywatną sprawą. Oddziałuje negatywnie na wszystkich wokół, także na rodziców innych uczniów. Jak szkoła ma dostarczyć wiedzę o biologii, płci i chromosomach, jednocześnie świadcząc, że prawda obiektywna nie istnieje, że płeć nie jest stanem rzeczywistym, lecz subiektywnym odczuciem czy „konstruktem społecznym”?

PANDEMIA

Psycholog Agnieszka Marianowicz-Szczygieł w artykule w „Kwartalniku Naukowym Fides et Ratio” zaprezentowała przekrojowe dane: „Wzrost zaburzeń tożsamości płci wśród dzieci i młodzieży – dane z 10 krajów. Możliwe wyjaśnienia, wnioski dla rodziców”.

Wynika z nich, że średnio w ciągu ośmiu lat nastąpiły dramatyczne przyrosty liczby pacjentów specjalistycznych klinik z zaburzeniami płci dla dzieci i młodzieży: Szwecja – wzrost o 19,7 tys. proc., Włochy – 7,2 tys. proc., Wielka Brytania – 2,457 tys. proc., Norwegia 1,75 tys. proc., Holandia – 904 proc., Finlandia – 634 proc. oraz poza Europą: Australia – 12,65 tys. proc., Kanada – 538 proc., USA – 275 proc. i Nowa Zelandia – 187 proc.

Badanie przygotowane przez pracownię Gallupa dla USA odnotowało dwukrotny przyrost osób dorosłych identyfikujących się jako LGBT z poziomu 3,5 proc. (w 2012 r.) do poziomu 7,1 proc. w 2021 r. Dekadę temu, w roku 2012, ogólne statystyki identyfikacji homoseksualnej w USA były dwukrotnie wyższe niż gdzie indziej (średnia w populacji siedmiu krajów wynosiła 1,65 proc., podczas gdy dla USA 3,57 proc.). Dziś, jak pokazują przywołane badania pracowni Gallupa, nastąpiło kolejne podwojenie liczebności tej grupy.

Okazuje się, że wzrost następuje przede wszystkim w najmłodszym pokoleniu, nazwanym pokoleniem „Z” (roczniki 1997–2012). To właśnie gwałtowny przyrost w tej grupie sprawił, że ogólne statystyki uległy podwojeniu. Dziś aż 20,8 proc. (!) „zetek”, czyli co piąta młoda osoba w USA, identyfikuje się jako LGBT (najczęściej jako biseksualna). Czy ci młodzi ludzie (zważywszy na wczesny wiek inicjacji seksualnej) będą zdolni stworzyć trwałe związki złożone z kobiety i mężczyzny, o stabilnych małżeństwach nie wspominając?

Po moim wywiadzie z psycholog Agnieszką Marianowicz-Szczygieł,



Protest przed kliniką Tavistock w Wielkiej Brytanii, która wywierała presję zmiany płci na nieletnich

FOT. GUY SMALLMAN/GETTY IMAGES

w którym komentowaliśmy problem wzrostu zgłoszeń do klinik tranzykcji płci, do prowadzonego przez nią Instytutu „Ona i On” zwracają się zrozpaczeni rodzice, którzy szukają pomocy dla swoich dzieci. Rodzice relacjonują, że po zajęciach w szkole (lub kontaktach z rówieśnikami) dzieci przychodzą do domu i pytają: „Czy ja na pewno jestem dziewczynką? A może chłopcem?”. Niestety, ten gwałtowny wzrost zaburzeń nie jest neutralny społecznie. Niesie ze sobą koszt, i to całkiem niemały. Tym, co pozwala zwykle zobiektywizować oceną zjawiska, jest obciążenie dla budżetu. W krajach, w których nastąpił wysyp zgłoszeń rozpoznanych tzw. dysforyi płciowej, interwencje medyczne, czyli poprzedzająca operacje chirurgiczne skomplikowana i zaawansowana diagnostyka, rozłożona na etapy chirurgia plastyczna, uciążliwe, dożgonne terapie farmakologiczne, zwykłe są refundowane (w całości lub w sporej części). I nawet jeżeli późniejsza kwestia zdrowia psychicznego i dobrostanu emocjonalnego osób



wtarzalnych naukowych badań wspierających tezę o decydującym wpływie jakiegoś czynnika biologicznego”.

Drugi powód do przejmowania się powyższymi statystykami to fakt, że zarówno homoseksualizm, jak i transseksualizm różnią się od heteroseksualizmu pod wieloma względami. Przede wszystkim związki pomiędzy takimi osobami są bezpłodne, co ma bardzo wymierne skutki demograficzne, ale różnią się także w zakresie niskiej stabilności i krótszego stażu, znacznie większej liczby partnerów (głównie mężczyźni), chorób przenoszonych drogą płciową, poziomu uzależnień czy parametrów zdrowia psychicznego. Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) odnotowuje: „Seks między mężczyznami jest wciąż dominującą ścieżką transmisji HIV na terenie UE/EEA”. Także większość zakażonych małopią ospą to mężczyźni, którzy mieli kontakty homoseksualne, jednak (jak z ostrożnością zaznaczają brytyjskie media) nie wiadomo, czy to przesądza o predysponowaniu tej grupy do przenoszenia patogenu.

NAKRĘCANIE SPIRALI

Jakie wyjaśnienia podaje się na Zachodzie co do wzrostu liczby zaburzeń płci (bo społeczna nobilitacja homoseksualizmu właściwie dawno już jest faktem)? Najczęściej stwierdza się, że nie wiadomo, jakie są przyczyny, lub podaje się wzrost świadomości społecznej i dostępności usług. Jednak czym tłumaczyć gwałtowne zmiany jakościowe obrazu klinicznego, czyli napływ nastolatków i dominację dziewcząt? Co do ewentualnych czynników biologicznych pojawiają się tylko luźne przypuszczenia (Zanieczyszczenie środowiska? Wspólne źródło z autyzmem?). Istnieją za to bardzo klarowne dane społeczne i przesłanki kulturowe. Wychowanie neutralne płciowo, bezpłciowe zabawki, lecz także wszelkie rozmywanie, podważanie płci biologicznej (moda, filmy, oddziaływanie celebrytów, influencerów, polityki publicznej i edukacja, która głosi: jesteś tym, za kogo się uważasz, i masz prawo być jako taki uznawany przez otoczenie).

Kluczem jest jednak jeszcze coś innego. Są dane, które wskazują indukującą rolę kultury i mediów w przypadku zaburzeń płci. Jak czytamy w artykule Marianowicz-Szczygieł, szwedzki psychiatra Sven Roman przypomina, że znane są fakty, iż np. zaburzenia

skierowanych na operacje płci to kwestia indywidualna, to już pytanie o pieniądze podatnika jest sprawą publiczną. Choć właściwie dobrostan psychiczny też zaczyna być kwestią publiczną, ponieważ liczba prób samobójczych wśród osób po tranzycji jest wielokrotnie wyższa niż w grupie kontrolnej.

Zjawisko nienotowanego wcześniej przyrostu zaburzeń domaga się wyjaśnienia. Nauki społeczne i medyczne dość opornie zabierają się do problemu. Szukanie odpowiedzi obciążone jest bowiem poważnym politycznym ryzykiem – uwikłane jest w sprzeczność, która tkwi w samym rdzeniu genderowej doktryny. Z jednej strony mamy twierdzenie, że skłonności homoseksualne i zaburzenia postrzegania własnej płci to sprawy wrodzone. Na tym zasadzają się np. zakazy terapii reparatywnej (zakazu w Polsce domagał się w 2020 r. RPO Andrzej Bodnar). Z drugiej strony mamy dogmat, że płeć to konstrukt społeczny/kulturowy, oddzielony od biologii. Że jest to odczucie

subiektywne, które może ulegać zmianom, być dowolnie odwracalne.

DOGMATY I LICZBY

Jak podaje Agnieszka Marianowicz-Szczygieł, owszem, jakiś komponent predyspozycji w zakresie „wrodzoności” istnieje (geneza jest złożona), ale zdecydowanie przeważają czynniki nabyte, co oznacza, że identyfikację LGBT można kulturowo ukształtować, a to rzuca zupełnie nowe światło na przytoczone na początku dane. Badania na bliźniętach, a więc metodologia badawcza, która służy do oceny, czy dane zjawisko jest wrodzone czy też nie, wykazały, że homoseksualizm jest nabywany w 92–75 proc., a transseksualizm w 64 proc. Komponent „wrodzoności” jest więc niezwykle mały. Nawet Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatrów LGBTQ stwierdza w komunikacie na swojej stronie: „Obecnie odnotowano się zainteresowanie poszukiwaniem biologicznych źródeł homoseksualizmu. Jakkolwiek dotąd nie znaleziono po-

■ Jedzenia czy samookaleczenia bywa-
ją rozprzestrzeniane drogą społeczną,
więc z dysforią płci może być podobnie.
Ostatnio ukazały się przełomowe badania
L. Littman, która opisała zespół nagłej
dysforii płciowej (ROGD), sugerując,
że może pojawiać się pod wpływem
Internetu i mediów społecznościowych
oraz przez sieć kontaktów koleżeńskich.
Zespół Pang i inni (2020) porównał liczbę
publikacji medialnych na temat „gender”
i „transgender” z liczbą napływających
pacjentów do klinik w Wielkiej Brytanii
i Australii i... (uwaga!) uzyskano właści-
wie identyczne wykresy.

Agnieszka Marianowicz-Szczygieł
w swojej pracy wylicza, że stosownie do
jednej publikacji medialnej przybywało
w szpitalu w Melbourne w Australii 0,75
nieletniego pacjenta z zaburzeniami płci,
a w klinice GIDS w Londynie – 0,46 pa-
cjenta. Na to wszystko nałożmy powsta-
nie i upowszechnianie się mediów spo-
łecznościowych; rok założenia Facebooka
to 2004, Twittera – 2006, Instagrama
– 2010. Dokładnie w tym samym czasie
nastąpiła fala gwałtownego napływu
nieletnich pacjentów do klinik zaburzeń
tożsamości płciowej. Jednocześnie pro-
muje się nowy język – przykładem jest
„obiektywna” pani psycholog z Centrum
Synteza. Płeć biologiczna to jedynie płeć
„przypisana przy urodzeniu”, a „zmiana
płci” to teraz „potwierdzenie płci” (tej
„wybranej”).

OTRZEŻWIENIE

Jest jeszcze jeden dowód na społeczną
transmisję zaburzeń płci i decydującą
rolę mediów. W 2019 r., w Szwecji, po
wyemitowaniu przez publiczną telewizję
demaskatorskiego filmu „Trans train”
i głośnej, krytycznej dyskusji społecznej,
po licznych alarmujących wypowiedziach
specjalistów obnażających dramaty
dzieci poddanych tranzycji, nastąpił
65-procentowy spadek napływu dzieci
i młodzieży do klinik.

Podobny proces, refleksja społeczna
i trend spadkowy nastąpiły także w Wiel-
kiej Brytanii. Tam przebudzeniem było
ujawnienie nadużyć w klinice Tavistock
i w konsekwencji zalew pozwów i pro-
cesy sądowe, w których udowodniono
wywieranie presji na nieletnich pacjen-
tów, aby zmienili płeć. W efekcie podjęto
regulacje prawne, kontrolujące i ogra-
niczające (finansowo bardzo opłacalną)
„terapię afirmującą”. Ponadto rządowe
raporty wykazały, że brakuje badań nad

W Szwecji po wyemitowaniu demaskatorskiego filmu

„Trans train” o 65 proc.
zmaleł napływ młodzieży do
klinik dokonujących tranzycji

długofalowymi skutkami takich praktyk –
nie tylko w odniesieniu do zdrowia dzieci
i młodzieży, lecz także całego społeczeń-
stwa. Konkluzje są miazdzące. Wykazano,
że mamy do czynienia z eksperymentem
medycznym i społecznym. Oburzające
było zwłaszcza lekceważące traktowanie
etapu diagnozy psychologicznej. Cari
Stella – dziewczyna, która opowiada
na YouTube o swojej detranzycji (czyli
powrocie do identyfikacji z płcią biolo-
giczną) – twierdzi, że zignorowano ważne
powody, które stały za jej decyzją „zmiany
płci”: kłopoty z obrazem kobiecości, de-
presja, cielesne zaburzenie dysmorficzne
(BDD). Nie stwarzając innych możliwości,
jako 17-latkę zaaplikowano jej męskie
hormony.

TĘCZOWI JAKOBINI

Opamiętanie, które następuje w nie-
których krajach Zachodu, nie zostało
zauważone przez media, kibicujące
genderowej rewolucji w Polsce. Wręcz
przeciwnie. Im więcej dociera przekazów
o skutkach tranzycji (właściwie powin-
no się mówić – neutralizacji płci), tym
bardziej natarczywa jest propaganda.
A ponieważ aktywiści rozpoznali, że jed-
nym z czynników opóźniających postęp
rewolucji są lekcje katechezy, rozpętali
akcje, żeby wyrzucić religię ze szkół.

W Gdańsku np. Wydział Rozwoju Spo-
łecznego Urzędu Miejskiego i Centrum
Równego Traktowania zbierają informa-
cje na temat prowadzenia zajęć wycho-
wania do życia w rodzinie i lekcji religii
w kontekście przygotowań do wydania
równościowego poradnika. Pytania w an-
kiecie jednoznacznie wskazują, że chodzi
o wyeliminowanie katechezy z systemu
edukacji. Z kolei serwis e-Dziecko (wi-
tryna Gazeta.pl) recenzuje podręcznik do
religii „W poszukiwaniu wolności” i po-
mstuje, że na katechezie podejmowane
są tematy związane z płcią, płodnością
i seksualnością. Według autorki treści za-
warte w podręczniku dotyczące transseks-
sualizmu „mogą skrzywdzić wiele osób”.
Autorka artykułu używa konsekwentnie

terminu „płeć przypisana przy urodze-
niu” i stwierdza że „naukowym faktem
pozostaje również to, że transpłciowość
jest wrodzona i nieodwracalna”. Konklu-
zja nasuwa się sama – nie tylko pod-
ręcznik, lecz także religię w ogóle należy
wycofać ze szkół.

Mniej finezji wykazuje inicjatywa
Same Plusy, która wraz ze Strajkiem Ko-
biet puściła w Polskę furgonetkę oklejoną
hasłami „Żegnaj, religio”. Według organi-
zatorów tej akcji religia to „nienawistna
indoktrynacja, a sam fakt obecności kate-
chezy w polskiej szkole to przejaw opresji
religijnej”. Najwyższy czas, „by rodzice się
przebudzili i przestali posyłać dzieci na
religię”. Dlaczego? Bo księża i katecheci
„szcują” na osoby trans. Oczywiście te
i podobne inicjatywy przeszłyby bez
echa, gdyby nie uporczywe nagłaśnianie
ich przez media spod znaku Agory.

GIGANTYCZNY BIZNES

Tranzycja to także gigantyczny biznes
(w 2007 r. powstała pierwsza klinika dla
młodzieży z zaburzeniami tożsamości
płciowej w Bostonie; w 2014 r. istnia-
ło już ponad 40 takich klinik w USA).
Pamiętać należy także, że wśród dzieci
i młodzieży deklarujących zaburzenie
płci ok. 60–80 proc. z czasem wraca do
identyfikacji zgodnej z płcią biologiczną
lub określa się jako osoby heteroseksua-
lne (dlatego termin „dzieci i młodzież
LGBT” nie jest uprawniony), zatem
afirmowanie ich zaburzeń to napędzanie
klienteli klinikom, a zarazem bezpowrot-
ne unieszczęśliwianie ludzi.

Wnioski, jakie płyną dla polityki
państwa, są jak najbardziej zgodne ze
zdrowym rozsądkiem: z płcią nie można
eksperymentować, eksperymenty
seksualne mają też skutki społeczne
i polityczne. Niestety, natura jest wyjąt-
kowo „homofobiczna” i „transfobiczna”.
Upiera się, że dzieci mogą się począć tylko
w związku damsko-męskim i w takich
mają najlepsze warunki do rozwoju.

Demografii też nie jest wszystko jedno
i choćby ten fakt powinien zostać zauwa-
żony przez polityków. Heteroseksualne,
zdrowe, szczęśliwe małżeństwa tworzące
liczne rodziny po prostu wszystkim nam
się opłacają. Indywidualnie okazywany
szacunek nie może zaś i nie powinien
oznaczać zgody na społeczną promocję
zaburzonych zachowań, bo indywidualne
wybory przekładają się na społeczne
skutki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst powstał w współpracy z Instytutem „Ona i On”.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



STRABAG
TEAMS WORK.



WSPÓŁORGANIZATOR





PiS: każdy każdemu wilkiem

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Dziwna to strategia, by rok przed wyborami, stojąc w obliczu tak wielkich problemów jak wojna, inflacja czy lęk przed trudną zimą, zajmować się wewnątrzpartyjnymi wojenkami. A tak to właśnie wygląda, gdy patrzy się na to, co w ostatnich tygodniach działo się i dzieje w PiS.

Telenowela pt. „Dymisja premiera” i to, że Jarosław Kaczyński nie uciął jej tuż po pilotowym odcinku, dodały wiatru w żagle wszystkim, którym z różnych powodów nie po drodze z Morawieckim. A tych w PiS nie brakuje. – Poczuli krew – przyznawało niechętnie otoczenie premiera.

Sekwencja zdarzeń wyglądała mniej więcej tak, jak to opisał jako pierwszy Jacek Gądek w portalu gazeta.pl. Na początku września, na jednym z posiedzeń prezydium komitetu politycznego PiS, czyli najwyższych władz partyjnych, doszło do próby odwołania Mateusza



Kamila Baranowska

Napięta sytuacja wewnątrz PiS chwilowo została rozładowana. Mateusz Morawiecki wciąż jest premierem, a grupa spiskowców, która domagała się jego odwołania, w ramach nagrody pocieszenia dostała dymisję Michała Dworczyka

Morawieckiego z funkcji premiera. Litanię pretensji pod adresem szefa rządu miał wygłosić Jacek Sasin, wicepremier i minister aktywów państwowych, który zarzucił premierowi nieudolne negocjacje z Brukselą (w tym brak KPO) oraz zgodę na Zielony Ład, premiowanie swoich ludzi w spółkach i brak pomysłu na to, jak gasić kolejne pożary, które zaczynają trawić partię rządzącą. Koronnym argumentem były zaś spadające sondaże zarówno PiS, jak i te dotyczące zaufania

do samego premiera. Ważne jest, że na posiedzeniu prezydium komitetu PiS nie był obecny Mateusz Morawiecki. Głos zabierali więc głównie jego przeciwnicy.

Jednak na pytanie: „Jeśli nie Mateusz, to kto?” jednoznacznej odpowiedzi zabrakło. I trudno się dziwić, bo mało który doświadczony polityk chciałby obejmować funkcję premiera w tak trudnych i niepewnych czasach, kiedy ryzyko porażki jest ogromne. Typowana przez wszystkich Beata Szydło zdecydowanie

odmówiła, sam Sasin również nie palił się do takiego rozwiązania (inna sprawa, że wątpliwe, by Jarosław Kaczyński zdecydował się akurat jemu powierzyć tę funkcję), a jedyną osobą, która wyraziła wstępną chęć podjęcia rękawicy, okazała się marszałek Sejmu Elżbieta Witek. – O ile jeszcze wszyscy przyklasnęliby powrotowi Beaty na fotel premiera, bo w partii silna jest pamięć o jej sukcesach i ogólnie jest lubiana dużo bardziej niż Morawiecki, o tyle Witek to jednak niewiadoma. A do tego musiałyby nagle odejść z kluczowej funkcji marszałka, co spowodowałoby kłopoty na tym odcinku, za dużo bałaganu – mówi nam jedna z osób znających tło sprawy.

HARTOWANIE PREMIERA?

Samo to, że w ogóle doszło do takiej rozmowy i na poważnie rozważano zmianę premiera, jest jednak zastanawiające. Do tej pory bowiem Jarosław Kaczyński zezwalał na krytykę premiera i na przycinanie jego wpływów, ale nie na otwarte spekulacje o jego wymianie. Wręcz przeciwnie, we wszystkich wywiadach i na wszystkich publicznych spotkaniach z wyborcami podkreślał swoje poparcie dla Morawieckiego. Co się zatem stało? Kaczyński musiał uznać, że nastroje w partii osiągnęły taki poziom, że nie da się ich już dłużej lekceważyć. Choć w PiS krąży także teoria, że prezes w ten sposób chciał tylko wy badać sytuację i to, na ile zdeterminowani są przeciwnicy premiera. – Nie wiemy, do czego wykorzysta w przyszłości to, co zobaczył. Wcale nie jest powiedziane, że do wymiany Morawieckiego. Bo jeśli wciąż stawia długofalowo na Morawieckiego, to może być tak, że za tę całą akcję zapłaci w którymś zupełnie niespodziewanym momencie Sasin. Tak jak to było z Kurskim – mówi polityk PiS. Jeszcze inni suflują, że jawne i otwarte grillowanie Morawieckiego to test dla niego na determinację i motywację – takie „hartowanie premiera”. – Jeśli prezes ma chcieć powierzyć mu kiedyś partię, to musi mieć pewność, że to polityk, którego takie intrygi nie złamią i nie zniechęcą. Tę próbę Morawiecki przeszedł, bo wytrzymał atak. Co więcej, przeszedł do kontrofensywy – słyszymy od naszego rozmówcy.

Dziś dominuje przekonanie, że nikt w PiS na serio nie rozważał wymiany premiera przed zimą, bo przecież oczywiste jest, że łatwiej będzie zrobić to wiosną, kiedy Morawiecki będzie słabszy

i będzie można zrzucić na niego wszystkie ewentualne niepowodzenia rządu. To rozumowanie zakłada jednak, że politycy, a już zwłaszcza Jarosław Kaczyński, kierują się wyłącznie chłodną kalkulacją. Tymczasem emocje odgrywają w polityce kluczową rolę i często to one decydują, wbrew rozsądkowi i politycznej pragmatyce. Owszem, z punktu widzenia długofalowej polityki PiS lepiej zrobić nowe otwarcie z ewentualnym nowym premierem wiosną, ale Kaczyński musi też patrzeć na to, co dzieje się wewnątrz partii, i odpowiednio reagować. A fakty są takie, że siła ataku przeciwników Morawieckiego zaskoczyła prezesa PiS i spowodowała u niego pewną dezorientację. Jacek Sasin rozegrał to bowiem dość sprytnie. Nie wystąpił sam, lecz z całą grupą niezadowolonych polityków PiS, sprawiając wrażenie, że wszyscy są przeciwko premierowi, a jedynym, który go broni, jest prezes. Uczestnicy tamtego spotkania odnieśli wrażenie, że Kaczyński, dotąd pewny Morawieckiego, zaczął się wahać – zwłaszcza że był bombardowany opiniami tylko jednej strony. Kiedy do przebywającego wówczas poza krajem premiera doszły informacje o tym, co się wydarzyło na prezydium, próbował skontaktować się z Kaczyńskim. Ten zaś nie odebrał telefonu. Kilukrotnie, co się dotąd nie zdarzało. To był bardzo zły sygnał i wtedy nawet najbliższe otoczenie premiera zaczęło nabierać przekonania, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi Jarosław Kaczyński podjął już decyzję.

KONTRATAK

Przesądziła jednak reakcja samego Morawieckiego, który wściekł się i postanowił walczyć. – Nakręcił się strasznie. Ma w sobie ogromną determinację i motywację, co dla wielu jest nie do pomyślenia. Bo przecież już dawno mógłby to wszystko rzucić, wygodnie żyć i się niczym nie przejmować, zamiast użerać z Ziobrami i Sasinami, i humorami prezesa. Z jakiegoś jednak powodu chce mu się brać udział w tej nawałnicy i, co więcej, jest przekonany, że wygra – mówi osoba dobrze znająca premiera.

Na kolejnym spotkaniu prezydium komitetu politycznego, na którym dla odmiany nie było Sasina z powodów zdrowotnych, Morawiecki przeszedł więc do ataku. Przyszedł przygotowany, z dokumentami potwierdzającymi jego racje, wieloma argumentami, które obalały wersję Sasina, a do tego uderzył w czuły

punkt Kaczyńskiego, twierdząc, że nie może pracować, gdy ludzie z własnego obozu są wobec niego nielojalni i rzucają mu kłody pod nogi. Zasugerował też dymisję Sasina, skoro ten nie jest w stanie z nim normalnie współpracować.

Kaczyńskiemu spodobała się bojowość premiera. Morawiecki pozostał na stanowisku; prezes chciał jednak udobruchać jego krytyków. Odejść musiał więc najbliższy współpracownik premiera, szef jego kancelarii Michał Dworczyk, z jednej strony jeden z najsukceszniejszych polityków tej ekipy, z drugiej słabe ogniwo ze względu na wyciekające wciąż e-maile z jego skrzynki, pokazujące polityczną kuchnię rządu. Nowym szefem kancelarii premiera został Marek Kuchciński, zaufany i sprawdzony polityk, który ma być uchem i okiem prezesa na to, co się dzieje u Morawieckiego.

Jarosław Kaczyński, zapytany już po całej tej historii o relacje między Sasinem a Morawieckim, robi dziś dobrą minę do złej gry. – Niedawno było spotkanie klubu, a po spotkaniu była kolacja. To było 10 czy 12 nawet osób przy jednym stole i tam też siedzieli obydwaj panowie premierzy, przez długi czas naprzeciw siebie, i bardzo miło ze sobą przez cały czas rozmawiali. Tyle mogę w tej sprawie powiedzieć. Są liczni świadkowie – opowiadał w Polskim Radiu 24 prezes PiS. Dodał też, że pozycja Mateusza Morawieckiego w partii jest niezagrożona.

– Podczas tego samego spotkania klubu PiS, tylko w tej części merytorycznej, pan premier otrzymał bardzo daleko idące, można powiedzieć, entuzjastyczne poparcie – przekonywał.

TO JESZCZE NIE KONIEC

Nie zmienia to faktu, że Mateusz Morawiecki, choć się obronił, to wyszedł z tej rozgrywki osłabiony. Jacek Sasin nie dopiął swego, ale jest przygotowany na długi marsz, którego celem jest zmiana premiera. Ma po swojej stronie nie tylko część polityków PiS, lecz także wielu zewnętrznych politycznych przeciwników premiera ze Zbigniewem Ziobrą na czele.

To nie będzie łatwy czas dla Mateusza Morawieckiego. Jarosław Kaczyński wydaje się być jednak ostatecznie zadowolony z całego przebiegu zdarzeń. Bo choć kryzys goni kryzys, a rząd nie nadąża z gaszeniem kolejnych pożarów, to może on obserwować swoją ulubioną partyjną grę, w której każdy każdemu wilkiem.

Anatomia zła

Odejście znudzonego szatana (cz. I)



Piotr Semka

Na czym polegał fenomen Jerzego Urbana? Co wyróżniało go spośród wielu ludzi, którzy kierowali propagandą obozu komunistycznego w Polsce?



Nawet na tle korowodu postaci z kolejnych ekip PRL był kimś wyjątkowym – człowiekiem ostentacyjnie zafascynowanym złem. Mając za sobą aparat przemocy, nie tylko zwalczał ofiary systemu, lecz także z wyjątkowo osobistym zaangażowaniem sztychował z nich i ich obrażał. Łączyło się to w przedziwny sposób z fascynacją dla siły władzy i wrogością dla tego, co uważał za polski nacjonalizm i klerykalizm. Za jego życia ogromną popularność w Polsce zyskały dwa fenomeny: szacunek dla Jana Pawła II i masowe poparcie dla ruchu Solidarności. Oba te symbole traktował jako osobiste zniewagi. Różne negatywne cechy, które połączył w sobie, występowały u innych ludzi aparatu PZPR, ale nigdy w tak upiornym zestawieniu. Zawsze podkreślał, że nie jest członkiem PZPR, a jedynie sojusznikiem władzy. Jeśli szukać jakichś analogii, to nasuwa się postać Jerzego Borejszy, który niezwykle sprawnie dyrygował propagandą ekipy Bieruta tuż po wojnie. Borejsza żył stosunkowo krótko, pozował na idealistę i nigdy nie epatował publicznie osobistym cynizmem. Z kolei gierkowski szef Radiokomitetu Maciej Szczepański wykazywał podobny zmysł medialny co Urban, ale nigdy nie wychodził z cienia. Jeżeli Urban kogoś przypominał, to w największym stopniu był to Daniel Passent, wieloletni dziennikarz „Polityki”. Jednak nawet Passent cofał się przed tak wyzywającym czerpaniem satysfakcji z tego, że ludzie bywają podli i że można nimi manipulować.

JAK GOEBBELS

Ten wyzywający wręcz bezwstyd kłamania i brutalność wmawiania społeczeństwu, że jest bezsilne wobec bezkarności władzy, wyróżniały Urbana spośród innych propagandzistów systemu. I w tym kontekście jedyną trafną analogią pozostaje postać Josefa Goebbelsa, którą zresztą już dawno temu połączył z osobą Jerzego Urbana polityk prawicy Ryszard Bender. Zarówno Goebbels, jak i Urban działali na rzecz swoich patronów nie jako niewolnicy, ale jako swoiści partnerzy. Goebbels i Urban wiedzieli, jak kłamać, a systemy, które z nimi stały, wykorzystywały tylko jako swoiste wzmocnienie dla swych pomysłów.

Żywoć Jerzego Urbana jest też jednak dobrym przykładem meandrów lewicującej inteligencji z silnymi kompleksami i fobiami wynikającymi z historii Polski

w XX w. Urban był dzieckiem swoiście rozumianej idei postępu, racjonalizmu i lęku przed szowinizmem narodowym (nie tylko polskim, lecz także np. izraelskim).

Jest wreszcie Urban dobrym przykładem tego, jak jego pokolenie odpowiedzialne za stan wojenny skutecznie wpłynęło na okres po 1989 r. – w sprawie wymazywania pamięci o szpetocie rządów Jaruzelskiego. Sam pamiętam, jak po przybyciu do telewizji w 1991 r. ze zdumieniem stwierdziłem, że większość nagrań z konferencji prasowych Urbana jako rzecznika prasowego rządu PRL została wykasowana. Nawet i bez tych „działań czyszczących” (nie były trudne, gdyż Urban pod koniec PRL został szefem Radiokomitetu) o przybliżeniu jego wstrętnej roli w stanie wojennym zacydował fakt, że lata 80. w polskim kinie przedstawione są w bardzo niewielkiej liczbie filmów.

Swoista amnestia moralna dla Urbana nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie ze strony Adama Michnika

Wydawałoby się, że postać rzecznika rządu PRL była idealnym tematem na jakąś wielką produkcję filmową, a jednak żaden znany reżyser nie sięgnął po ten temat. W tej sytuacji nic dziwnego, że młodemu pokoleniu jego osoba niewiele mówi albo powtarza ono slogan, że „Kurski wielokrotnie prześcignął Urbana”, albo wreszcie kojarzy wielkiego skandalistę z zabawnym dziadkiem, którego filmiki oglądali na YouTube.

Ta swoista amnestia moralna dla Urbana nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie ze strony Adama Michnika, który nie krył swoich bliskich relacji z czołowym propagandzistą stanu wojennego. To Michnik nadawał ton, który za nim powtarzała duża część także postpopolowej inteligencji, protestująca przeciwko „pastwieniu się” nad rzekomo pokonanym i leżącym przeciwnikiem Solidarności.

KORZENIE PERWERSJI

Jerzy Urban – pierwotnie Jerzy Urbach – urodził się 3 sierpnia 1933 r. w Łodzi w rodzinie bogatych przedsiębiorców o korzeniach żydowskich. W chwili

■ wybuchu wojny miał niecałe siedem lat. Rodzina przez pierwsze dwa lata wojny przebywała we Lwowie pod zaborem sowieckim, gdzie ojciec pełnił dosyć ważną funkcję miejskiego urbanisty. Oboje rodzice przyjęli sowieckie obywatelstwo. Jak wspominał potem Urban: „Dzięki temu nie podlegaliśmy zsyłce na Sybir, a nawet mogliśmy skorzystać z ewakuacji, kiedy nastąpił niemiecki najazd. Nie zdążyliśmy jednak na odjazd ciężarówki i tak zostaliśmy we Lwowie, do którego na przełomie czerwca i lipca 1941 r. weszli Niemcy”.

Rodzina Urbana ukrywała się poza gettem, na tzw. aryjskich papierach. Urban, opisując środowisko społeczne, w którym przed wojną sytuowali się jego rodzice, pisał: „Grupowało ono osoby wykorzenione z żydostwa, ale też zachowujące odrębność od ogółu polskiego społeczeństwa. Nikt ze znajomych nie był przechrztą, nikt nie był również – jak to w czasie okupacji określano – »aryjczykiem«, katolikiem czy rdzennym Polakiem o słowiańskich korzeniach. Wszyscy żenili się i rozchodzili w obrębie tej postżydowskiej grupy [...]. Oni sami nie mówili o sobie »jesteśmy Żydami«, raczej o katolikach – »Polacy«. W ten sposób podkreślali własną odrębność, chociaż czuli się Polakami w sensie kultury, języka, zainteresowań politycznych, kibicowania literaturze czy filmowi. Prasy jidysz nie czytali, do teatru żydowskiego nie chodzili – nie znali języka, to jest świat, który porzucili i którym gardzili”.

Wspominał także: „Mój ojciec nigdy nie otrząsnął się z wojennej traumy. Mnie ona nie dotknęła. Ja uważałem okres okupacji za czas ciekawy, pełen przygód, barwy i urozmaiceń”.

W długim wywiadzie dla miesięcznika „Midrasz” Urban w ogóle pominął ogrom wyrzeczeń i nerwów, którymi jego rodzice płacili za długie lata wojennego ukrywania się. Rodziców wspominał jako godnych pożałowania, znerwicowanych życiowych rozbitków, którzy nigdy już nie odzyskali poziomu życia, którym cieszyli się przed wojną. Ten rys emocjonalnego okrucieństwa wiele mówi o tym, jak wojna fatalnie wpłynęła na postrzeganie świata przez młodego ocalałego z Holocaustu.

Jednocześnie daje do myślenia inny fragment jego wspomnień dla „Midrasza”: „To musiał być luty 1945 r. – w Łodzi dominowali jeszcze Niemcy traktowani jako podludzie. Chodziłem, pamiętam, po niemieckich pałacach, które dla mnie

otwierano. Szabrowałem zabawki po dzieciach niemieckich fabrykantów. To była wielka przygoda”.

Kto otwierał dla 12-letniego wówczas Urbana poniemieckie domy? Można domyślić się, że były to jakieś patrole milicji. Czyżby wtedy Urban uświadomił sobie, że lepiej trzymać z wyposażoną w broń władzą, aby poczuć triumf i wszechwładzę? Czy to wtedy nie pojawiło się u niego przekonanie, że lepiej stać po stronie silnych, a nie stać wśród ofiar?

Młody Jurek szybko też przekonał się, że po wojnie nie potrzeba już utożsamiać się z katolicyzmem dla „wtopienia się w tłum”. Jak wspominał: „Nauka religii katolickiej w mojej szkole była obowiązująca [...]. Pewnego dnia ksiądz katecheta wyrzucił mnie za drzwi, ponieważ ja, stojąc machinalnie, wodziłem ołówkiem po ławce, a on to uznał za lekceważenie modlitwy. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że można nie chodzić na religię, jeśli

Młody Jurek szybko przekonał się, że po wojnie nie trzeba już utożsamiać się z katolicyzmem dla „wtopienia się w tłum”

się od rodziców przyniesie zaświadczenie, że sobie tego nie życzą. Dostałem taki papier i przyniosłem go do szkoły. Wówczas zaczęły się szalone wobec mnie zabiegi – ksiądz przepraszał, prosił, bym go wycofał – zapewne w kurii obawiano się stworzenia precedensu. Byłem ponoć pierwszą osobą w Łodzi, która odmówiła chodzenia na religię. Ja się jednak uparłem i nie chodziłem”.

W 1950 r. rodzina Urbana przenieśli się do Warszawy i Urban rozpoczął aktywną działalność w komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej. I znów cytat ze wspomnień: „Tutaj wpadłem w wir spraw nie tylko organizacyjnych. Będąc 15-latką, uzyskałem władzę – to było po prostu prawdziwe życie [...], bardzo szybko, bo już po maturze zacząłem pracować w prasie”.

Około 1955 r. Urban trafia do tygodnika „Po Prostu”, który stał się awangardą zmian. W wywiadzie rzecze z Martą Stremeczką wydanym w 2013 r. Urban z chęcią akcentował ten okres swojego życia jako czas walki o prawdziwy socjalizm.

W tekstach zwalczał układziki partyjne na prowincji, szydził z absurdów w zarządzaniu fabrykami, walczył też np. z religijnym kołtuństwem na wsi. W wywiadzie Marta Stremeczka psuje ten pełen samozadowolenia Urbana tok wspomnień – przytaczając jeden z artykułów, wygrzebany z ówczesnych numerów „Po Prostu”. Urban atakował w nim niemoralne prowadzenie się studentów w jednym z akademików, dramatycznie nazywając rozwiązłe spotkania orgiami i dziwiąc się, że do czegoś takiego dochodzi w socjalistycznym domu akademickim. Pisał, że tak mogą zachowywać się studenci w amerykańskich kampusach, szukający w ten sposób szczęścia z braku socjalizmu, ale nieobyczajność u socjalistycznych studentów musi zdumiewać.

Jedynie, co Urban w tej sytuacji potrafił odpowiedzieć Stremeczce, to niepewne: „A tego to nie pamiętam”. Późniejszy patron niestroniącego od quasi-pornograficznych akcentów tygodnika „Nie” musiał poczuć się zakłopotany wypominaniem mu roli stróża studenckiej moralności.

Jesienią 1956 r. Urban wyjechał na wyjazd reporterski do Izraela, który prowadził wówczas wojnę przeciwko Egipcjowi. Po powrocie zaskoczył bardzo krytycznym wobec państwa żydowskiego tekstem, w którym akcentował szowinizm syjonistów i antypolskie uprzedzenia mieszkańców nowego państwa. Tekst szokował wszystkich jego znajomych. Koledzy o żydowskich korzeniach byli urażeni kpinkami z syjonizmu, a innych raziło przedstawianie Izraela jako amerykańskiej kolonii na Bliskim Wschodzie. Szybko jednak kontrowersje wokół jego tekstu zeszły na drugi plan. „Po Prostu” zostało przez ekipę Gomułki po cichu przeznaczone do likwidacji. Pod koniec wakacji 1957 r. doszło do kluczowego posiedzenia zespołu redakcyjnego. Jedni wezwali, by na chwilę stępić ostrość linii redakcyjnej, aby przetrwać i ratować substancję, a inni – tak jak Urban – wezwali, aby nie ulegać, dać się rozwiązać i odejść z honorem. To bodaj najbardziej ideowe zachowanie Urbana w całym jego życiu, bynajmniej jednak nie zaprowadziło go to na demonstrację w obronie rozwiązanego „Po Prostu”. Wraz z Eligiuszem Lasotą, szefem tygodnika, wolał objechać rejon walk samochodem i oglądać utarczki milicji ze studentami zza szyb pojazdu.

NA ZIELONEJ TRAWCE

Po rozwiązaniu „Po Prostu” Urban miał nieformalny zakaz pisania w mediach. Był

na tyle sprawny i inteligentny, by szybko nauczyć się omijać zakazy. W wywiadzie z 2013 r. na pytanie, jak mu się wtedy żyło, odpowiedział: „Wpierw skromnie, ale w krótkim czasie bogato. Pisałem w konspiracji, nie pod swoim nazwiskiem. W łódzkich »Odgłosach« ukazywał się co tydzień mój felieton, który nazwiskiem firmował naczelny tego pisma. Czyli on miał sławę, a ja pieniądze”.

Urban pisał wtedy książki – jak to się mówiło – „na murzyną”. Potrafił sobie załatwić pisanie anonimowych recenzji czy tekstów, które obdarzali swoim nazwiskiem usłużni koledzy. Dumni, że w ten sposób pomagają prześladowanym weteranom rozwiązanego „Po Prostu”. „Dało mi to poczucie samodzielności – wspominał po latach. – Wiedziałem, że zawsze sobie poradzę. Nie lękałem się żadnych zwierchników i okoliczności. To czas, kiedy jestem od władzy kompletnie niezależny, a pomimo to prosperuję materialnie dobrze. Kołuję władzę”.

Młody reporter stawał się wtedy znany na warszawskich salonach towarzyskich. Ożywiał imprezy, ceniono go za zjadliwy, drapieżny humor, a jednocześnie miał martyrologiczną sławę ofiary prześladowań Gomułki. I to nie on, życiowy rozbiitek, prosił kolegów o pożyczki, tylko na odwrót. Potrafił łaskawie pożyczyć „parę stówek”. Nic dziwnego, że Ignęli do niego koledzy i koleżanki.

Korzystając z tej aury quasi-dysydenta, Urban bynajmniej nie zamierzał pchać się w kierunku nielicznej jeszcze grupy opozycjonistów. Z rozwiązania „Po Prostu” wyciągnął dla siebie ważny wniosek. Z komunistyczną władzą lepiej nie zadzierać, bo ta potrafi odwinąć się tak, że może zaboć. Być może dawało o sobie znać wspomnienie z lat okupacyjnych, które kazało trzymać się z daleka od narażania się na więzienie i represje. Przyszły kolega redakcyjny Urbana w „Polityce” – Daniel Passent – dokładnie tak samo tłumaczył się po latach z tego, dlaczego trzymał się z dala od neomarksistowskiej opozycji spod znaku Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Urban wspominał: „Trwale zaszczepiłem się wtedy przeciwko wszelkim utopijnym krzykliwym próbom naprawiania świata. [...] Po prostu to był czas życia w jakimś amoku oderwanym od rzeczywistości, tylko że ja sam przed sobą zrobiłem rozrachunek i nie zamierałem popełniać tego błędu”.

W marcu 1968 r. na chwilę wróciły lęki związane z żydowskim pochodze-

niem. Urban w wywiadzie dla „Midrasza” w 2010 r. wspominał, że tak przejął się groźbą pogromowych nastrojów, iż wyjechał z dala od Warszawy – do Kotliny Kłodzkiej. Gotowy był przejść granicę do Czechosłowacji, która przeżywał wtedy dubczekowską odwilż. Kiedy zorientował się, że nikt go nie szuka ani nie chce go zmusić do emigracji, nawiązał kontakt z Mieczysławem Rakowskim, szefem bardzo wpływowego wówczas tygodnika „Polityka”. Rakowskiemu udało się uzyskać od Gomułki cofnięcie zakazu publikowania dla Urbana. W zamian wdzięczny niegdysiejszy wygnanec z medialnych łamów uznał go za swojego patrona i zaczął publikować w „Polityce” – znów w dziwnym, dość perwersyjnym stylu.

Urban pisał wówczas teksty atakujące Izrael. Po latach w rozmowie z Martą Strebecką przedstawiał to jako wyrafinowany plan: „Z jednej strony głaskałem tendencję moczarsowską, umiając na Izrael, z drugiej zrobiłem wyrazistą aluzję do spraw polskich [...], zacząłem od tego, że syjonizm nie może funkcjonować w Polsce, że to nie jest ideologia podboju świata, tylko zamknięcia się w obrębie jednego narodu”. Tyle Urban. Przekonanie, że ktoś mógł w agresywnym ataku na Izrael w tamtym czasie znaleźć aluzję do polityki Gomułki, to dobry przykład na to, jak Urban dbał o usprawiedliwianie koniunkturalizmu.

W życiu Urbana zaczęła się wówczas epoka polityki tekstów, które są powszechnie znane pod dziennikarskim pseudonimem Jerzy Kibic. Nie pisał o wielkiej polityce. Skupił się na skandalach obyczajowych, śmiesznoścach bytowania w Polsce Ludowej, a niekiedy opowiadaniach o rozmaitych kryminalnych skandalach.

W „Polityce” słynął z wyrafinowanych psychosów. Dariusz Fikus po latach wspominał, jak Urban przyprowadził do redakcji urodziwą dziewczynę, promując ją jako dziennikarską stażystkę. Jego koledzy redakcyjni dopiero po pewnym czasie odkryli, że była to napotkana przez Urbana na mieście hotelowa prostytutka.

W pisanych przez Urbana w tamtym czasie kawałkach na temat śmiesznośc życia PRL uważne oko zauważyć mogło jednak mroczne emocje. „Pamiętam jeszcze dawne felietony Jerzego Kibica z zapomnianych dziś »Kulis« – wspominał po śmierci Urbana Piotr Zaremba. – Czytwałem je w latach 70. Istotnie, sprawnie napisane, językiem bardziej pisarza niż

dziennikarza. Nie wiem, na ile zmyślone, bo aż tyle kryminalnych historii w PRL się chyba nie zdarzało, ale z uderzającym wątkiem zabawy okrucieństwem. W tym była delikatna, umiejętnie sączona radość z ludzkiego upodlenia – niezależnie, czy Kibic opowiadał o kobiecie, którą ugryzł w pośladek szczur w biurowej toalecie, czy o mężu, który zamordował i pochował swoją ciężarną żonę – pamiętam obie te przypowieści. Myślę, że to był mały odwet Urbana wymierzany ludziom. Bawiąc się bliźniami i wyszydając ich, zbierał pochwały. Niby tak jest z każdym satyrykiem. Wielu z nich okazuje jednak na koniec ośmieszonemu światu sympatię. Ale nie on. Powody, dla których mógł szukać odwetu, były rozmaite: pochodzenie, wygląd, kompleksy”.

CORAZ BLIŻEJ SZCZYTU

Wejście do zespołu „Polityki” zbliżyło Urbana do aparatu władzy. Już nie smakowała mu niezależność od władzy, jak w czasach jego dziennikarskiej banicji w latach 60. Po latach tak pisał o zespole Rakowskiego: „Dla reszty prasy uchodziliśmy za ludzi godnych zazdrości, bo stosunkowo najbardziej wolnych. W swoich poczynaniach zawodowych uznawano nas za najlepsze pismo w całym obozie, majce kontakty światowe, bardzo prestiżowe i dające znakomity status społeczny i zawodowy. Nazywano nas bandą Rakowskiego. Byliśmy silni, zwarci i gotowi przeciwko wszystkim na zewnątrz”.

Już niedługo tymi „na zewnątrz”, którzy mogą zagrozić błogostanowi redakcji „Polityki”, stały się Solidarność i Kościół, które to siły Urban uznał za zagrożenie swojego świata kategorii lux. I wtedy kpiarz i ironista nagle zawrzał gniewem. Z irytacją patrzył, jak PZPR dała się zepchnąć do defensywy w konfliktach z NSZZ „Solidarność”. Postanowił pokazać władzy, że „wąsatej małpy”, jak nazywał wówczas Wałęsę, nie należy się bać. Zaczął zastanawiać się, jak można pokazać na nowo „chamom”, gdzie jest ich miejsce.

Gdy w obozie komunistycznej władzy w lutym 1981 r. na czoło wysunął się gen. Wojciech Jaruzelski, do którego jako wicepremier doszłusował Mieczysław Rakowski, Urban już wiedział, gdzie jego rady mogą się przydać. Ruszył na odsiecz nowej ekipie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Określenie „państwo z dykty”, które weszło już dawno do powszechnego użytku, nie oddaje całej ponurości naszej sytuacji. „Z dykty” bowiem mamy nie tylko państwo, lecz także narzędzia do jego naprawiania. Ich nieskuteczność sprawiła, że ponad siedem lat po pierwszym wyborczym zwycięstwie partii diagnozującej polski „imposybilizm” trwa on w najlepsze – czego najnowszym przykładem przygotowany przez MSWiA projekt nowej ustawy „o ochronie ludności i stanie klęski żywiołowej”.

O potrzebie gruntownego przeorganizowania systemu, mówiąc najogólniej, „zarządzania kryzysowego”, szkoda czasu się rozwodzić. Do dziś nieprzepracowana należycie przez polityków i ośrodki opinotwórcze pandemia COVID-19 jest tego chyba wystarczająco dobitnym dowodem. Panika, podejmowanie decyzji pod publiczkę, żeby przede wszystkim nie narazić się na posądzenie, iż władza za mało się stara, bezradna uległość rządu wobec „ekspertów”, myślących wąsko w kategoriach swojej specjalności i kierujących się przede wszystkim tym, żeby „dobrze wypaść” w swoim środowisku, powszechne rozgrzeszanie się z działania bez podstaw prawnych – w efekcie mieliśmy ogromną liczbę nadmiarowych zgonów i trwającą do dziś zapaść w leczeniu chorób przewlekłych, miliony kupionych niepotrzebnie za ciężkie pieniądze szczepionek, które do końca roku się przeterminują (i tak są zresztą przeciwko dawno już niewystępującym wariantom szybko mutującego wirusa), lawinę przegrywanych przez państwo i samorządy procesów, a pośrednio jeszcze kłopot z bez sensu zaakceptowaną europożyczką na Fundusz Odbudowy, który musimy spłacać, choć nie dostaniemy z niego ani centa. Trudno z dzisiejszej perspektywy nie zgodzić się, że zastosowane w panice i lęku przed utratą poparcia wyborców lekarstwa okazały się dużo bardziej szkodliwe od choroby.

A całkiem niedawno mieliśmy przecież kompromitację państwa – szczęśliwie dla PiS przykrytą przez opozycję historyczną narracją o „rtęci” i „największej katastrofie od czasów Czarnobyla” – podczas „przyduchy” w Odrze. Jeśli premier publicznie przyznaje, że o kryzysie dowiedział się z mediów – to znaczy, że naprawę czas najwyższy na gruntowne zmiany. Tym bardziej że za naszą wschodnią granicą od ponad siedmiu miesięcy trwa



Rafał A. Ziemkiewicz

„Państwo z dykty” naprawiane jest za pomocą narzędzi z dykty: jeśli nowe ustawy odwołują się do pojęć i zasad stanowiących przyczynę niesprawności i niefunkcjonalności państwa, jeśli stanowią tylko „nakładkę” na dotychczasowy system – to dykta pozostaje dyktą, tyle że zasłoniętą

wojna, która w każdej chwili może dotknąć także nasze terytorium.

ZBYT WIELE „CENTRÓW DOWODZENIA”

Więc MSWiA, diagnozując niewydolność obecnego systemu w sposób, z którym trudno się nie zgodzić (najkrócej mówiąc: zbyt wiele „centrów dowodzenia” oglądających się na siebie nawzajem), proponuje: rozwiazać Rządowe Centrum Bezpieczeństwa (wbrew szumnej nazwie będące raczej ciałem doradczo-informacyjnym), stworzyć Służbę Dyżurną Państwa podporządkowaną bezpośrednio premierowi lub wyznaczonemu przezeń

ministrowi, kompetencje rozproszone dotąd między samorządy i wojewodów (co szczególnie fatalnie zaznaczyło się podczas kryzysu na Odrze) powierzyć komendantowi głównemu i komendantom wojewódzkim Państwowej Straży Pożarnej, która, według nowej ustawy, staje się automatycznie podstawą do odbudowywania bezzwłocznie zniszczonej przez III RP Obrony Cywilnej.

Projekt zakłada też stworzenie trzystopniowej gradacji stanów nadzwyczajnych. Ten „najbardziej nadzwyczajny”, czyli „stan klęski żywiołowej”, pozostaje bez większych zmian. Najniższy, czyli „stan pogotowia”, dotyczy organów admi-



FOT. ADRIAN STOK

premiera lub nawet ministra. Podobnie to wola któregoś z nich decydować będzie o stwierdzeniu niezdefiniowanego w żaden sposób prawnie „zagrożenia”.

Co więc wychodzi z tego w praktyce? Że w wypadku, gdy władza uzna, iż jesteśmy zagrożeni, na 30 dni odbierze nam prawa obywatelskie na czele z prawem dysponowania swoją własnością (do jej zniszczenia, np. zburzenia nam domu, włącznie). A jeśli okaże się to nieuzasadnione, to będziemy mogli potem odwołać się do sądu i bujać się tam latami o jakieś odszkodowanie. Z trudnym do przewidzenia skutkiem, ponieważ z ustawy wyparowało zawarte w nowelizowanym prawie sprzed 20 lat stwierdzenie, że obywatel ma prawo do odszkodowania za straty poniesione wskutek zarządzeń wydanych w trybie stanu nadzwyczajnego. Zadaniem ekspertów lewicowo-liberalnej opozycji jest to sprzeczne z konstytucją, ale tu akurat nie mają racji – konstytucyjny bubel Aleksandra Kwaśniewskiego i śp. Tadeusza Mazowieckiego jak w wielu innych miejscach, tak i tu używa niejasnej formuły odesłania do ustawy, która tylko „może”, ale wcale nie musi „określić zakres i tryb” odszkodowawczego obowiązku państwa.

PREZENT OD POPRZEDNIKÓW

Nie ulega natomiast wątpliwości, że ci sami eksperci mają rację, iż konstytucja wymienia tylko trzy rodzaje stanów specjalnych: stan wyjątkowy, stan klęski żywiołowej i stan wojenny.

Czy to znaczy, że tym samym inne rodzaje stanów wyjątkowych są niedopuszczalne? Czy tylko to, że przepisy ustanawiające takowe nie mogą zawieszają praw konstytucyjnych obywateli?

Tu jest właśnie istota problemu. Można powiedzieć, że w kluczowym punkcie nie wyciągnięto w MSWiA narzucającego się wniosku z paniki covidowej – choć rzekomo to właśnie analiza doświadczeń z pandemii leżała u podstaw reformy. Otóż walka z pandemią przyniosła więcej szkody niż pożytku właśnie dlatego, że zastosowano w niej kunktatorską politycznie i patogenną w działaniu formułę prawną stanu wyjątkowego bez stanu wyjątkowego.

Formułę tę stworzył, jeszcze jako premier RP, Donald Tusk, na użytek oczekiwanej epidemii jednej z poprzednich odmian koronawirusa – SARS-CoV-2. Chodziło o to, aby mieć narzędzia stanu wyjątkowego, ale nie ponosić za ich uży-

wanie przewidzianej prawem o stanie wyjątkowym odpowiedzialności. Móc używać nadzwyczajnych uprawnień do walki z epidemią bez ponoszenia kosztów, które niesie ze sobą ogłaszanie „stanu epidemii”. W taki sposób powstał „stan zagrożenia epidemicznego” – i to na jego użytek za rządów PO zostało uznane za prawnie dopuszczalne wszystko to, co wzbudziło mniej lub bardziej histeryczne okrzyki opozycji o „wprowadzaniu totalitaryzmu” (ich największe nasilenie zapewne mamy dopiero przed sobą – na razie projekt tylko wisi sobie na rządowych stronach internetowych).

W ten sposób PO otworzyła była swoim następcom u władzy drogę do radosnej twórczości z kupowaniem respiratorów czy organizowaniem wyborów pocztowych bez narażania się na odpowiedzialność. Warto o tym pamiętać, gdy teraz opozycja i jej samorządowcy będą stawiać na głowach, by wejście w życie nowej ustawy zablokować. (O tym, by zaczęła obowiązywać od 1 stycznia 2023 r., jak deklaruje ministerstwo, raczej nie ma co marzyć).

MŁÓCKA BEZ ZNACZENIA

Co bardziej istotne, cały ten bój będzie kolejną młócką pozbawioną praktycznego znaczenia. Sformułowania, a nawet całe konkretne sformułowanie w prawie wprowadzone dla doraźnej wygody władzy podczas epidemii, do której wówczas nie doszło, wciąż bowiem pozostają obecne w proponowanej nowelizacji. To właśnie mam na myśli, pisząc, że „państwo z dykty” naprawiane jest za pomocą narzędzi z dykty: jeśli nowe ustawy odwołują się do pojęć i zasad stanowiących przyczynę niesprawności i niefunkcjonalności państwa, jeśli stanowią tylko „nakładkę” na dotychczasowy system – to dykta pozostaje dyktą, tyle że zasłoniętą. Nowa ustawa, jeśli znowu dojdzie do kryzysu i „nadzwyczajnych” działań państwa, niewiele zmniejszy chaos wywołany poprzednimi.

Pogarszająca się kondycja państwa w wielu dziedzinach, nie tylko w kwestii zarządzania kryzysowego, wymaga większej legislacyjnej odwagi, niż jej ma obecny rząd: odwagi zreformowania samych podstaw stanowienia prawa. Warto pamiętać biblijne wskazanie, by nie nalewać młodego wina do starych bukłaków, bo natychmiast się w nich zepsuje.

Czy można zabić włamywacza?



Łukasz Zboralski

Rodzina w Poznaniu broniła się na własnej posesji przed recydywistą, który tam wtargnął. Został pchnięty nożem i zmarł. Prokuratura stawia zarzuty, a Polacy stawiają pytanie: Czy nie można bezkarnie obronić się przed agresorem na własnym terenie?

To, co stało się w Poznaniu przy ul. Obozowej w czwartek (29 września), jest zatrważające. Ale nie dlatego, że zginął człowiek, który włamał się na prywatną posesję, tylko dlatego, że broniąc się przed włamywaczem rodzina usłyszała właśnie zarzuty. Jeden jej członek usłyszał konkretnie zarzut „udziału w bójce”, której skutkiem była śmierć człowieka. Grozi mu za to 10 lat więzienia.

Tymczasem nie ma wątpliwości przynajmniej co do podstawowych faktów i potwierdza to nawet lokalna prokuratura. Dwudziestodwuletni mężczyzna próbował wtargnąć do czyjegoś domu, w którym przebywało co najmniej trzech

domowników. Był pobudzony i zachowywał się agresywnie. Policja potwierdziła, że był to wielokrotnie notowany i karany więzieniem recydywista.

Dziennikarze „Głosu Wielkopolskiego” opisali więcej okoliczności. Ujawnili, że 29-latek wszedł na teren prywatnej posesji. I wybił okno, przez które próbował dostać się do domu. To zaalarmowało mieszkającą tam rodzinę – matkę z synem i starszego mężczyznę. Domownicy zawiadomili policję, po czym wyszli przed dom sprawdzić, co się dzieje. To właśnie wtedy doszło do tragedii. Recydywista miał zaatakować najpierw starszego mężczyznę. Gdy z pomocą ruszył mu wnuczek, kryminalista obezwładnił

natolatka. Usiadł na nim i zaczął dusić chłopca. Wówczas na ratunek dziecku ruszyła matka, która wbiła nóż w napastnika. Trafiła w okolicę żeber. Raniony kryminalista uciekł. Na ulicy zauważyli go członkowie transportowego ambulansu, wezwali karetkę pogotowia, która odwiozła napastnika do szpitala. Niestety, rana okazała się śmiertelna – mężczyzna zmarł.

POLICJA NIE ZNALAZŁA WINY, PROKURATOR SIĘ DOSZUKA?

Policja, która dotarła po tym wezwaniu na miejsce, nie miała wątpliwości, że ludzie po prostu bronili się przed napastnikiem. Funkcjonariusze uznali, że nie



FOT. ADAM STOLCK

obaw, że spotka go za to kara” – napisał Zbigniew Ziobro na Twitterze, komentując sprawę z Poznania.

Szybko jednak okazało się, że lokalna prokuratura widzi rzecz inaczej. Kobieta usłyszała zarzut udziału w bójce z użyciem niebezpiecznego narzędzia, którego skutkiem była śmierć człowieka. Nastolatek i starszy mężczyzna usłyszeli zarzut udziału w bójce z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Wobec napadniętych przez kryminalistę ludzi zastosowano dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju.

Dlaczego w ogóle broniący się ludzie usłyszeli zarzut „udziału w bójce”, a nie ewentualnego przekroczenia granic obrony koniecznej? Trudno zrozumieć. Szef Prokuratury Rejonowej Poznań-Grunwald uznał – jak wynika z wypowiedzi dla mediów – że był nóż wbity w ciało, był denat, były zeznania, więc coś trzeba było zrobić. Zaznaczał jednocześnie, że, owszem, to wszystko nie przekreśla możliwości, iż ludzie działali w obronie koniecznej.

„RAŻĄCE” PRZEKROCZENIE GRANIC OBRONY

Należy mieć nadzieję, że ta sprawa zakończy się tak jak podobna – sprzed prawie dwóch dekad i z tego samego województwa. W 2005 r. w podpoznańskim Skórzewie pijany 18-latek postanowił o godz. 2 włamać się do domu Piotra J. Wybił szybę w drzwiach i próbował dostać się do środka. Tak się akurat składało, że właściciel posesji posiadał legalnie broń. Ponieważ włamywacz nie reagował na jego ostrzeżenia, strzelił trzykrotnie w kierunku nastolatka forsującego drzwi. Osiemnastolatek upadł przed domem, zmarł po przewiezieniu do szpitala. Prokuratura uznała wówczas, że Piotr J. działał w obronie koniecznej. Sprawa trafiła jednak do sądu z prywatnego oskarżenia rodziny zabitego włamywacza – jej członkowie uważali, że doszło do zabójstwa.

Sąd Okręgowy w Poznaniu w 2007 r. stanął jednak po stronie mężczyzny, który bronił swojego domu. „Oskarżony miał prawo, aby ten zamach skutecznie odeprzeć nawet przy użyciu niebezpiecznego narzędzia, i nie przekroczył granic obrony koniecznej. Osoba napadnięta nigdy nie może być pewna, czy napastnik nie ma broni ukrytej pod ubraniem” – zdroworozsądkowo uzasadniała wyrok sędzia Maria Kostecka.

Nie zawsze jednak tak bywało. Prawo nakazywało bowiem napadniętemu (i nakazuje zresztą nadal) odpowiedzieć w sposób współmierny. Przejaskrawiając – jeśli ktoś napadnie nas z nożem, należy najlepiej odszukać w szufladzie taki sam nóż, najlepiej o tej samej długości ostrza, broń Boże nie bronić się siekierą albo pistoletem.

Dlatego rząd Zjednoczonej Prawicy w 2017 r. zmienił Kodeks karny, dopisując do art. 25 Kodeksu karnego paragraf 2a: „Nie podlega karze, kto przekracza granice obrony koniecznej, odpierając zamach polegający na wdarciu się do mieszkania, lokalu, domu albo na przylegający do nich ogrodzony teren lub odpierając zamach poprzedzony wdarciem się do tych miejsc, chyba że przekroczenie granic obrony koniecznej było rażące”.

– Każdy napadnięty w takich warunkach powinien być przekonany, że może skutecznie podjąć się działań obronnych przed napastnikiem i nie musi się bać, nie musi się lękać – przekonywał, przedstawiając wówczas ten projekt nowelizacji minister Zbigniew Ziobro. – Nie musi być sparaliżowany strachem i wyobrażnią związaną z tym, co się stanie później, kiedy ewentualnie organy ścigania uznają, że dopuścił się on przekroczenia granicy obrony koniecznej.

Minister mówił też wówczas bardziej wprost: „Przez tę zmianę chcemy powiedzieć, że osoba broniąca się we własnym domu czy na ogrodzonym terenie może liczyć na większe zrozumienie ze strony organów ścigania, nawet jeśli dojdzie do przekroczenia granic obrony koniecznej”.

Właśnie w Poznaniu okazało się, że – mimo obrony własnej posesji przed włamywaczem, który zaczyna nawet dusić jednego z domowników – niekoniecznie napadnięty nie musi się bać organów ścigania. Choć to, czy może liczyć na „większe zrozumienie”, dopiero się okaże.

Sprawa ta pokazuje, że wciąż mamy nad Wisłą problem z większym skupianiem się na prawach przestępców do popełniania przestępstw niż normalnych ludzi, którzy padają ich ofiarami. Jasne jest, że nikt nie powinien godzić się np. na bezkarne zastrzelenie nastolatków, którym wpadnie do głowy zjeść jabłko z cudzego sadu. Ale czy naprawdę musimy dyskutować o tym, czy można wbić nóż w kryminalistę duszącego nasze dziecko przed naszym własnym domem?

mogą mieszkańcom niczego zarzucić. „Po zebraniu wszystkich informacji i szczegółowym przeanalizowaniu tej sprawy prokuratorzy i policjanci nie zdecydowali się na postawienie domownikom żadnych zarzutów związanych z zabójstwem czy usiłowaniem zabójstwa. W naszej opinii oni bronili się przed tym napastnikiem” – mówił mediom Andrzej Borowiak, rzecznik wielkopolskiej policji.

Zareagował też sam minister sprawiedliwości. „We własnym domu każdy musi czuć się bezpiecznie. A przestępca, który napadnie domowników, musi liczyć się z tragicznymi konsekwencjami. Dlatego rozszerzyliśmy granice obrony koniecznej, by napadnięty mógł bronić się bez

W środku sezonu wakacyjnego media społecznościowe załapała fala zdjęć półnagich gwiazd, domagających się prawa do pokazywania biustu na plaży. „Zdjęcie z wakacji – beztroska, odpoczynek, plaża i ciało. Za granicą najczęściej plażując topless i nikogo to nie dziwi. W Polsce można za to dostać nawet mandat – oczywiście, jeśli jest się kobietą” – narzekała Maja Ostaszewska, dobra bądź co bądź aktorka, która ze względu na zaangażowanie w niemal każdą możliwą akcję sprzeciwu wobec po pierwsze PiS, po drugie wobec wszystkiego, co kojarzy się z konserwatyzmem i prawicą, stała się swoistym memem.

Z kolei Blanka Lipińska, autorka wątpliwej jakości, choć zdecydowanie poczytnych książek z gatunku określonego jako „porno dla mamusiok”, pytała filozoficznie: „Za granicą widok piersi na plaży albo całkowicie nagich ludzi (jak np. na PUBLICZNEJ plaży w Barcelonie) to coś absolutnie normalnego. Chcemy być tacy »europejscy« ... może już zatem czas wyjść z zaścianka i zacząć takimi być?”.

Aktorka Ewa Skibińska wyznawała, że „zawsze chciała opalać się równo”. „Równość. Bez białych pasków na skórze. Chcę słońca bez wyjątków i całą sobą i nie mam zgody na seksualizację, dzielenie ludzi wg wyglądu, oraz zawstydzanie” – nawoływała (pisownia oryginalna). Koleżanki postanowił wesprzeć m.in. Andrzej Chyra. Wszystkim wpisom towarzyszy hashtag #topfreedompl.

RÓWNOŚĆ KLATKI PIERSIOWEJ

O co chodzi? Wyjaśnienie możemy znaleźć na stronie kampanii: „Topfreedom.pl to ruch, w którym mówimy o równości. Równości do odsłonięcia klatki piersiowej wszędzie tam, gdzie połowa społeczeństwa ma do tego prawo. Topfreedom upomina się o neutralność ciała, o prawo do karmienia piersią w miejscach publicznych, o równy strój szkolny niezależnie od płci, o nieseksualizowanie dziewczynek, o szacunek dla każdego ciała – z jego bliznami po mastektomii, grubością, niepełnosprawnością, transpłciowością, starością i pięknem”. A więc obok idei słusznych, takich jak promowanie szacunku dla osób niepełnosprawnych, obrona dzieci przed seksualizacją czy racjonalne podejście do kwestii karmienia piersią w przestrzeni publicznej, dodano wątki ideologiczne. Najnowszym jest walka o prawo do pu-

Nagością w patriarchat



Zuzanna Dąbrowska

Kobiety i mężczyźni nie będą równi w Polsce dopóty, dopóki te pierwsze nie będą mogły w miejscach publicznych pokazywać piersi – przekonują autorzy kampanii społecznej, do której zaproszono liczne celebrytki. W rzeczywistości, podobnie jak cały współczesny ruch feministyczny, jest to antykobiecego sabotaż



FOT. CELESTYNA KRÓL / TOPFREEDOM.PL

blicznego pokazywania biustu (na razie wskazuje się na możliwość plażowania topless). Jestem głęboko przekonana, że nie chodzi tak naprawdę o równość wobec prawa i oceny społecznej, ale o głębokie, de facto antykobiece zmiany kulturowe.

Inicjatorką całej akcji jest „ratownica medyczna, trenera instruktorów medycznych” Ane Piżl, która określa się jako „osoba niebinarna i trans” i pozostaje w związku z kobietą. Jeżeli w tym momencie łapią się państwo za głowę, to przykro mi, ale nie odrobili państwo lekcji z postępowości. Im dalej w media społecznościowe aktywistki, tym „ciekawiej”. „Pomyłką jest fakt, że od urodzenia włożyliśmy dziecko w płęć, w rolę, w określoną ekspresję, ubiór, zabawki, BIKINI i modele zachowań i to wszystko na podstawie genitaliów” – przekonuje. Ta doświadczona ratowniczka medyczna (sama nie lubi określenia „ratowniczka”, bo kojarzy jej się z „księżniczką”) w swoim manifestie dotyczącym kampanii nagiego biustu uzasadnia: „Nie zgadzam się na kulturę, w której kobiety mają na plażach zasłaniać ciało (w zależności od miejsca na świecie – włosy, piersi, twarze), żeby »nie kusić« mężczyzn. To obraża ludzi wszystkich płci”.

Osoba o światopoglądzie, który choć wydaje się zagmatwany, to sprowadza się do afirmacji wszystkiego, tylko nie płci biologicznej jako niepodważalnego faktu, próbuje przekonać społeczeństwo, że ciała kobiet i mężczyzn niczym się nie różnią. Że kobiecość jest tym samym, co męskość, a wszelkie różnice to sztuczny, narzucany przez wielki patriarchy koncept kulturowy, który należy wyplenić z głów. Gdyby chciał być złośliwym, można by stwierdzić, że „ratownica medyczna” Ane Piżl przeprowadza publiczną autoterapię, pracując na oczach całego internetowego świata własne trudności i problemy związane z płcią. Gdyby chciał być złośliwym, można by napisać, że osoba, która z płci właśnie i seksualności uczyniła centrum swojej działalności, wykorzystuje „celebrytki zaangażowane” do swojej egoistycznej, ideologicznej krucjaty przeciwko kobiecości, z którą sama może mieć problem. Na stronie topfreedom.pl jako wspierających kampanię wymieniono m.in. Miko Czerwińskiego – specjalistę ds. kampanii i rzecznictwa skompromitowanej Amnesty International, żyjącą z kreowania, a następnie zwalczania problemów ak-

tywistkę Maję Staśko oraz „ortodoksyjną Żydówkę” Miriam Synger.

TO KOBIECIOM NIE SŁUŻY

Trzeba stwierdzić jasno: rozmywanie różnic, a ostatecznie ich zupełne (deklaratywne) zniesienie, nie służy kobietom. To problem, który podejmowałam na łamach tygodnika „Do Rzeczy” kilkakrotnie (odsylałam do tekstu „Feministki, które nienawidzą kobiet”, „DRz” nr 3/2022). Organizatorzy topfreedom twierdzą, że jeśli kobiety zrzuca staniki, to będą traktowane mniej seksualnie, niż zakrywając biust.

Inicjatorka kampanii próbuje przekonać społeczeństwo, że ciała kobiet i mężczyzn niczym się nie różnią. Że kobiecość jest tym samym co męskość, a różnice to sztuczny koncept kulturowy

Jest wręcz odwrotnie i aż dziwne, że celebrytki tak zaciekle broniące „praw kobiet” (czyli przede wszystkim prawa do aborcji) nie widzą tej sprzeczności. To właśnie epatowanie nagością sprawa, że kobieta jest postrzegana przede wszystkim jako „obiekt seksualny”, a nie podmiot. Ponadto istnieje zasadnicza różnica między „deerotyzacją” kobiet (do czego powinno się dążyć poprzez np. walkę z pornografią, uprzedmiotawiającą nas bardziej niż cokolwiek innego) a udawaniem, że kobieta nie różni się od mężczyzny. Pierwsze to ważne zadanie społeczne, które powinny realizować feministki przy jednoczesnym podkreślaniu kobiecości jako odrębnego zestawu cech, czyniących kobiety wyjątkowymi, a więc wymagającymi odpowiedniego traktowania (rozumianego jako np. dogodne narzędzia prawne dla matek pracujących zawodowo). Drugie szkodzi kobietom, wypłukując klasycznie rozumiany feminizm z jego sensu.

Kampania topfreedom.pl ma na celu nie tylko rewolucję w społecznym spojrzeniu na nagość, lecz także ostatecznie zmianę prawa. Obecnie kwestię tę reguluje Kodeks wykroczeń: „Kto publicznie dopuszcza się nieobyczajnego wybryku, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo ka-

rze nagany”. Przepis odnosi się zarówno do kobiet, jak i mężczyzn i może dotyczyć tak nagiego biustu, jak przyrodzenia pokazywanych w przestrzeni publicznej. Organizatorzy odwołują się do sprawy z 2008 r. (co samo w sobie pokazuje, że problem jest wymyślony – niczego „świeższego” widocznie nie udało się znaleźć), kiedy to dwie kobiety na terenie szczecińskiego kompleksu basenowego opalały się w samych majtkach. Kwestię tę szeroko opisał mec. Aleksandra Polińska w pracy doktorskiej „Nagość. Studium prawne ze szczególną perspektywą polskiego prawa karnego”.

Sąd pierwszej instancji uznał, że zachowanie kobiet narażało elementarne poczucie estetyki u innych osób przebywających w tym dniu na kąpielisku. Sąd rejonowy, w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem i dobrym obyczajem, stwierdził, że można opalać się topless, ale w miejscach ustronnych. „Zjawisko wstydu przed nagością jest (w ocenie sądu) oczywiste” – wskazuje Polińska. Na skutek apelacji „Sąd Okręgowy [...] zmienił zaskarżony wyrok w ten sposób, że uniewinnił obie obwinione od popełnienia przypisanego im wykroczenia. Sąd okręgowy nie zgodził się z ustaleniem, że zachowanie obwinionych było nieobyczajnym wybrykiem”. Przywołano opinię dr. hab. Radosława Krajewskiego, który za konieczne uważa uregulowanie tego typu zachowań na przyszłość i proponuje dodanie do art. 140 kw § 2 w brzmieniu: „Nie popełnia wykroczenia ten, kto w miejscu publicznym do tego przeznaczonym, ale poza pływalnią lub innym obiektem o podobnym przeznaczeniu opala się lub kąpie bez górnej części kostiumu plażowego”.

Wsparcie celebrytów okazało się konieczne, ponieważ – jak przyznano na stronie kampanii – społeczeństwo nie jest gotowe na „zrzucenie staników”: „41 proc. osób akceptuje opalanie się na plaży bez górnej części garderoby, ale tylko na wyznaczonym odcinku plaży, 22 proc. akceptuje takie opalanie na każdej plaży, a 37 proc. nie akceptuje takiego opalania na jakiegokolwiek plaży. We wnioskach z badań pada stwierdzenie, że Polacy skłonni byłiby zaakceptować opalanie się kobiet w stroju topless, ale tylko w wyznaczonych miejscach”. Tylko przyklasnąć zdrowemu rozsądkowi prezentowanemu przez większość naszych obywateli. Na plaże dla nudystów marsz!

Agata Szymczewska podczas występu na XIII Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego, który był przełomem w karierze jednej z najlepszych dziś i najpopularniejszych polskich skrzypaczek FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mistrzowie smyczka



Radosław Wojtas

Skrzypce to instrument piękny, ale trudny. Niewybaczający błędów, niewdzięczny i niepozwalający na szybki progres w początkowym etapie nauki, co bywa zniechęcające. Prawdziwe mistrzostwo osiągają nieliczni. Do Polski przyjechała światowa elita młodych skrzypków na jeden z najbardziej prestiżowych konkursów muzycznych na świecie. Bo polska scena konkursowa muzyki poważnej to nie tylko Chopin

Kiedy w 2006 r. młoda skrzypaczka z Koszalina po raz pierwszy wychodziła na scenę XIII Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego, nie miała wielkich oczekiwań. Nie myślała o kolejnych etapach, a już na pewno nie wybiegała myślami do finału, nie zaprzętała sobie głowy nagrodami.

– Towarzyszyły mi różne emocje, ale przede wszystkim chciałam zrealizować swój plan, który powzięłam, przygotowując się do konkursu. Był on prosty w założeniach: chciałam wyjść w pierwszym etapie na scenę i zagrać na miarę swoich możliwości. Zagrać tak, żebym mogła z podniesioną głową i z uśmiechem zejść ze sceny i żebym mogła powiedzieć, że tu

i teraz nic nie mogłam zrobić lepiej, nie mam nic więcej do dodania, że zaoferowałam wszystko, co mogłam. Bardzo się na tym koncentrowałam – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Lepszego planu 21-latką wymyślić chyba nie mogła, bo kolejne werdykty jurorów otwierały przed nią następne etapy konkursu. – Każdy taki werdykt traktowałam z ogromną wdzięcznością, odbierałam jako bonus, na który zupełnie nie liczyłam – mówi. – Trochę się to zmieniło w momencie, gdy doszłam do finału. Wiedziałam już, że jestem bardzo dobrze przygotowana do konkursu. Zależało mi na występie z orkiestrą jako solistka, specjalnie na tę okazję kupiłam sukienkę! No i do tego wszystkiego dochodziła wizja, że na moim studenckim koncercie, na którym było wtedy niewiele ponad 10 zł, po dobrze zagranych koncertach Sibeliusa i Wieniawskiego może znaleźć się nagle 25 tys. dol. Nie powiem, żeby nie było to dodatkową motywacją – dodaje z uśmiechem skrzypaczka.

Nietrudno się domyślić, że artystka, której historię tu kreślę, wygrała XIII Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego. Ba! Rozbiła bank, zdobywając pierwszą nagrodę, Złoty Medal oraz Nagrodę Publiczności. I to był przełom w karierze skrzypaczki z Koszalina, bo konkurs ten otwiera drogę do najbardziej renomowanych scen świata, a ze znakomitego – bo inny wygrać w Poznaniu nie może – ale w skali globalnej niezbyt znanego skrzypka robi nazwisko, które w branży wymienia się z uznaniem. I tak też było w przypadku Agaty Szymczewskiej – wtedy już bardzo dobrej, ale niezbyt jeszcze w świecie znanej – dziś jednej z najlepszych i najbardziej wziętych polskich skrzypaczek, najmłodszej w Polsce profesor skrzypiec.

LEWANDOWSCY SKRZYPIEC

Choć w konkursach im. Henryka Wieniawskiego startują skrzypkowie młodzi (limit to 31 lat) i zwyciężają w nich osoby tak młode jak 21-letnia wówczas Agata Szymczewska, to są to już prawdziwi mistrzowie w swoim fachu. Tu nie trafiają ludzie przypadkowi. Tu nie robi się przeglądu talentów w poszukiwaniu tego jednego diamentu. Tu trafiają wyłącznie diamenty, ludzie, którzy całe życie poświęcają muzyce. Tu szlifuje się z nich brylanty.

Agata Szymczewska zaczynała grać jako kilkulatka. Jest córką pianistów,

nauczycieli gry na fortepianie, ale ten instrument był nie dla niej. – Jeśli chodzi o fortepian, to dzieci od razu zaczynają grać na pełnowymiarowym instrumencie, a ja byłam zbyt drobna, miałam małe rączki. Skrzypce mają to do siebie, że można znaleźć niewielki egzemplarz i na nich zaczynać naukę. Moje pierwsze skrzypce były niewiele większe od pilota do telewizora – wspomina. Od razu stały się jedną z jej ulubionych zabawek. – Był początek lat 90., Polska była wtedy taka szara, smutna, a te małe skrzypczki to była moja maskotka – mówi.

Nawet takie dopasowane do wieku i wzrostu skrzypce nie są najwygodniejszym instrumentem. – Obsługa skrzypiec jest dla dziecka bardzo trudna. Po kilku miesiącach nauki gry na fortepianie czy na gitarze kilkulatek potrafi już zagrać jakąś melodyjkę, np. „Sto lat”, albo nauczyć się fragmentu kołedy, żeby zagrać rodzinie podczas uroczystości Bożego Narodzenia, ale ze skrzypcami tak nie jest. Nawet jeśli dziecko nauczy się grać jakąś melodię, to później przychodzi ten smutny moment, gdy ją gra, ale nikt nie może rozpoznać, jaka to melodia. To może być zniechęcające, czasem bardziej nawet dla rodziców,

którzy czekają na efekty – mówi Agata Szymczewska.

Z czasem postępy są szybsze, co ma też związek z anatomią, czyli ze wzrostem dzieci. Ale jeśli myśli się o poziomie mistrzowskim, trzeba zaczynać wcześniej. Tu, jak w uprawianym wyczynowo sporcie, nie ma drogi na skróty, nie ma taryfy ulgowej, a czasu nie da się oszukać. Bez przynajmniej 10–15 lat solidnego treningu nie ma co marzyć o poziomie mistrzowskim. – Gdyby Robert Lewandowski w wieku 16 lat wymyślił sobie, że chciałby zostać piłkarzem najpierw Bayernu, a później Barcelony, do tego momentu spędzałby czas z kolegami pod blokiem, a teraz wpadł na pomysł, żeby pokopać piłkę... no to tak nie działa. Zarówno trening sportowca, jak i trening muzyka musi trwać od najmłodszych lat, jeśli faktycznie myśli się o mistrzostwie – mówi Agata Szymczewska.

KONKURS, KTÓRY ZMIAŁA ŻYCIE

Każdy z uczestników trwającego właśnie XVI Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego ma za sobą lata treningów i miesiące przygotowań specjalnie do tego wydarzenia.

Chętnych było wielu. Do tegorocznej edycji, która odbywa się sześć lat po poprzedniej (odstępów zwykle są pięcioletnie, powodem obecnego przesunięcia była pandemia), zgłosiło się ponad 200 muzyków z 30 krajów. Także ze względu na COVID-19 zmieniono zasady eliminacji. Nie organizowano przesłuchań, uczestników wybierano na podstawie przesłanych nagrań.

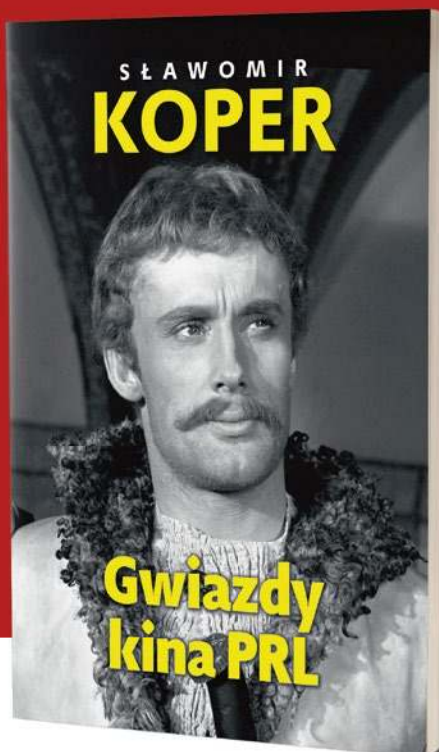
Ostatecznie w konkursie usłyszymy 31 artystów: siedmiu Polaków, pięciu Niemców, sześciu Amerykanów, pięciu obywateli Korei Południowej, czterech Chińczyków, trzech Japończyków, a także reprezentantów Austrii, Niderlandów, Francji, Kazachstanu, Szwajcarii i Singapuru. Większość to kobiety (25 skrzypaczek). Najmłodszy z uczestników konkursu ma 16, a najstarszy 29 lat.

– O zakwalifikowaniu się do konkursu dowiedziałam się od koleżanki, która podeszła do mnie na uczelni i powiedziała: „Jest lista. Gratuluję, dostałaś się!”. Rozryczałam się. To były dla mnie wielkie emocje i naprawdę – nie jest to kokieteria z mojej strony, mówię szczerze – zupełnie nie spodziewałam się, że się zakwalifikuję. Zgłoszenie wysłałam, żeby nie żałować, że nie spróbowałam, a nie z myślą, że może

REKLAMA

POZNAJ NIEZWYKŁE ŻYCIE GWIAZD KINA PRL

PATRONATY MEDIALNE:



■ się udać. A jednak się udało! Trzeba było otrzeć łzy i wziąć się do roboty – mówi „Do Rzeczy” jedna z Polek biorących udział w tegorocznej edycji konkursu, Sulamita Sara Ślubowska.

Wiadomość przyszła w maju, a kolejne miesiące upłynęły na przygotowaniach. – Mam to szczęście, że większość wymaganego programu grałam już wcześniej, więc z szerszej perspektywy można powiedzieć, że przygotowujemy się do konkursu przez całe życie – mówi skrzypaczka. – Każdym utworem, który będziemy grać na konkursie, trzeba zająć się osobno, regularnie do niego wracać, ćwiczyć, czyścić. Moje przygotowywanie się w dużej mierze polegało na graniu koncertów. To najlepszy sposób, żeby zmierzyć się ze stresem i sprawdzić swoje pomysły – czy poruszają publiczność, czy pokazują wszystkie walory naszej osobowości muzycznej – dodaje.

Konkurs rozpoczął się 7 października. Gwiazdą inauguracyjnego wieczoru była laureatka poprzedniej edycji konkursu – Gruzinka Veriko Tchumburidze. Towarzyszyła jej Orkiestra Filharmonii Narodowej pod dyktando Andrzeja Boreyki. Przesłuchania ruszyły 8 października i potrwały do 20 października. Do drugiego etapu zakwalifikuje się 15 uczestników, a do finałowych występów – sześciu. W pierwszych etapach skrzypkowie występują solo lub z fortepianem, kolejne etapy są dla widowni dużo bardziej atrakcyjne, bo skrzypkowie zaprezentują się z towarzyszeniem Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus oraz wybitnych polskich altowiolistów. Finałiści z kolei wykonają koncerty skrzypcowe z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Poznańskiej pod dyktando Łukasza Borowicza. Występy będzie można śledzić na kanale YouTube Wieniawskiego Society oraz w mediach społecznościowych.

Młodzi skrzypkowie poddadzą się ocenie publiczności oraz jury pod przewodnictwem Augustina Dumay oraz Daniela Stabrawy. Skład jurorski to międzynarodowe grono osobowości muzycznych. Wśród 12 jurorów są oczywiście uznani wiolinisti, dyrygenci, ale są i mistrzowie gry na innych instrumentach (np. chiński wiolonczelista Jian Wang), jest kompozytor, autor oper i dzieł orkiestrowych, producent i reżyser teatralno-filmowy René Koering. Jest wśród nich także impresario muzyczny i animator kultury Grzegorz Kotów, który wśród swoich podopiecznych ma m.in. rozchwytywaną w ostatnich latach

na świecie wybitną skrzypaczkę Bomsori Kim (laureatkę drugiego miejsca poprzedniej edycji Konkursu Wieniawskiego) oraz zwycięzcę ostatniego Konkursu Chopinowskiego – Bruce’a Liu. To nowatorskie podejście, przełamanie schematu, że grono jurorskie składać musi się głównie z pedagogów. Organizatorzy konkursu – Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu – podkreślają, że pozwala to ocenić artystów z różnych punktów widzenia.

Od decyzji jury zależy wiele, ponieważ Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego to nie tylko najstarszy konkurs skrzypcowy na świecie (pierwszą edycję zorganizowano w roku 1935), lecz także jeden z najbardziej prestiżowych. – Konkurs ma bardzo wysoką rangę, ma ogromne zasięgi na YouTube i w mediach społecznościowych i może być fantastyczną trampoliną do kariery. Nagroda, i to nie tylko dla laureata, oprócz pieniędzy jest też seria wielu koncertów – mówi Agata Szymczewska. – Zawsze powtarzam uczestnikom, że nie trzeba zdobyć pierwszej nagrody, by wrócić z tego konkursu jak zwycięzca. Podstawą są oczywiście świetny występ i zaskarwienie sobie publiczności. Jeśli ktoś jest na to gotowy, jest przygotowany, potrafi to zrobić, to myślę, że może spać spokojnie – dodaje.

Agata Szymczewska przekonała się na własnej skórze, jak diametralną zmianę w karierze może nieść sukces odniesiony w Konkursie im. Henryka Wieniawskiego. – Z dnia na dzień moje nazwisko stało się znane w świecie muzyki klasycznej, w świecie festiwalu, instytucji kultury, poznali je dyrektorzy filharmonii i różnych ważnych wydarzeń muzycznych na całym świecie. Telefon cały czas dzwonił, cały czas przychodziły różne propozycje. Pierwsze tygodnie po konkursie były dla mnie bardziej stresujące niż same występy konkursowe, bo poukładanie tego nowego życia stało się ogromnym wyzwaniem. Nikt mnie nie przygotował na taki sukces – mówi Agata Szymczewska.

SZCZYPTA MAGII

Szlifowanie formy to jedno, znalezienie najlepszego dla siebie instrumentu to inna sprawa. Jest to rzecz szalenie istotna, niełatwa i nietania. Złoty okres dla skrzypiec to końcówka XVII i XVIII w. To wtedy stworzono najlepsze i najbardziej do dziś pożądane przez wszystkich wiolinistów świata instrumenty. Wśród nich prym

wiodą te wykonane przez włoskiego lutnika Antonio Stradivarięgo. Stradivariusy uważane są za największe osiągnięcie lutnictwa w historii i są niedoścignionym do dziś wzorem. – Ten nicpoń Stradivarius, bo tak go chyba trzeba nazwać, zabrał swoje tajemnice do grobu i nikomu nie przekazał tajników swojego fachu – mówi Agata Szymczewska. – Teorie dotyczące niedoścignionego brzmienia tych skrzypiec są różne: że to zasługa drewna, że to kwestia lakieru itp. Dziś możemy zbadać je niezwykle dokładnie, prześwietlić, pobrać próbki lakieru. Ale co z tego, skoro i tak współczesne skrzypce nie dorównują instrumentom z końca XVII i XVIII w., które charakteryzują się niesamowitym brzmieniem, wielką klasą dźwiękową, a samo przebywanie w ich obecności jest w pewnym sensie doznaniem metafizycznym. To trochę tak, jakby powiesić w kuchni oryginalny obraz Leonarda da Vinci i gotować przy nim rosół. Myślę, że ten rosół mógłby minimalnie lepiej smakować – uśmiecha się skrzypaczka.

Sulamita Sara Ślubowska ma szczęście. Na konkursową scenę będzie wychodzić ze stradivariusem z 1709 r. Unikat został jej użyczony przez lutnika i kolekcjonera Florianę Leonharda. – Ostatnia prosta przygotowań polegała także na zapoznawaniu się z nowym instrumentem. Jaka jest różnica między stradivariusem a innymi skrzypcami? Nie ma porównania. To jak przesiąść się z wysokiej klasy mercedesa do maserati. Jest to instrument, który współpracuje, który jest partnerem do dialogu. Musiałam trochę przy nim spokornieć i oddać ukłon samemu instrumentowi, żeby to on jak najlepiej wybrzmiewał, a nie żebym to ja cały czas pokazywała, jak świetnie lub mniej świetnie gram na skrzypcach. Skupiłam się na tym, żeby te fenomenalne skrzypce pokazać z jak najlepszej strony – mówi Sulamita Sara Ślubowska.

Mało który skrzypek na świecie, nawet z absolutnej czołówki, może sobie pozwolić na zakup instrumentu na własność. Pówd jest banalny. – Jeśli chce się kupić coś przyzwoitego, to myślę, że należy zacząć szukać w przedziale cenowym między 2 a 3 mln euro – mówi Agata Szymczewska. Jeśli mówimy o stradivariusach, to kwotę tę trzeba przemnożyć minimum dwukrotnie. – Większość z nas jest skazana na dobre serce innych ludzi, którzy są gotowi za taki instrument zapłacić albo nam go wypożyczyć. Oby tych dobrych ludzi nigdy nie zabrakło – dodaje Agata Szymczewska.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Inwestycja w Zamek Królewski to inwestycja w wizerunek Polski



FOT. ADRIAN STOK



**Z prof. Wojciechem Fałkowskim,
dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum
rozmawia Tomasz Rowiński**

TOMASZ ROWIŃSKI: W Zamku Królewskim w Warszawie dzieje się tak wiele ciekawych rzeczy, że nie widzę szansy, byśmy o wszystkim zdołali porozmawiać. Zaczniemy może od otwartej niedawno wystawy malarstwa Bernarda Bellotta.

PROF. WOJCIECH FAŁKOWSKI: Wystawa dzieł Canaletta jest zamierzeniem ogromnym, na które składa się 150 obiektów w kilkunastu salach. Gromadziliśmy te obrazy, rysunki, grafiki przez

cztery lata. O współpracę poprosiliśmy kilkanaście muzeów od Los Angeles, przez Londyn i Drezno, aż do Warszawy, ponieważ Muzeum Narodowe również pomogło nam w gromadzeniu tej kolekcji. Traktujemy tę wystawę jako naszą, zamkową, ponieważ Canaletto malował na dworze Stanisława Augusta. Był ulubieńcem monarchy, całej tej dworskiej grupy wokół króla. Jednocze-

śnie był portrecistą Warszawy. To dzięki niemu mamy wspaniałe widoki naszej stolicy z końca XVIII w., i to zarówno tej eleganckiej strony miasta, jak i zwyczajnej, codziennej, ożywionej przez handel, przekupniów czy żebraków. Jest obraz Warszawy różnorodny, niesłychanie żywy, kolorowy, a jednocześnie dokładny i wierny.

Skąd pochodzą dzieła, które możemy oglądać na wystawie?

Zamek Królewski posiada bardzo dobrą kolekcję dzieł Canaletta, ale ona nie jest wystarczająca do tego, by

■ przygotować tak dużą i reprezentatywną wystawę, z jaką mamy teraz do czynienia. Przypominam, że zebraliśmy w jednym miejscu dorobek ze wszystkich etapów twórczości malarza. Znaczące wsparcie otrzymaliśmy od muzeum drezdeńskiego. Artysta w Dreźnie spędził kilkanaście lat swojego życia, gdzie był także zaangażowany w życie dworu i elity arystokratycznej Saksonii. Wiele dzieł Canaletta jest jednak rozproszonych, trzeba ich szukać, choćby w National Gallery w Londynie czy John Paul Getty Museum w Los Angeles. Wiele obrazów mamy dzięki kolekcjom kilku muzeów we Włoszech. Nasze wypożyczenia objęły zatem całą sieć placówek. Owszem, nie wszystkie nasze życzenia zostały spełnione, niekiedy ze względów konserwatorskich, a czasem wynikało to z tego, że dzieło Canaletta było sztandarowym płótnem w danej kolekcji i nie chciano się

cej jego pracy – zarówno naukowej, jak i popularnej.

Do kiedy możemy podziwiać malarstwo Bellotta w tym obszernym wyborze?

Wystawę otworzyliśmy 23 września i będzie można ją oglądać aż do 8 stycznia, czyli mamy ponad trzy miesiące. Myślę, że każdy, kto będzie chciał, zdoła do nas dotrzeć w tym czasie.

Zamek Królewski bez wątpienia stał się miejscem, gdzie odbywają się ważne wystawy. Jak rozumiem, nie ma w tym przypadku.

Strategia Zamku, realizowana już od pięciu lat, zakłada stworzenie Wielkiego Muzeum. Wielkiego przez swoje wystawy, znaczące w skali międzynarodowej, przez rozbudowę kolekcji i utrzymanie misji społecznej Zamku jako symbolu polskiej historii i chwały. Te trzy rzeczy można pogodzić

rzeźby, brązy i meble, które pasują do danego wnętrza i je wyraźnie wzbogacają. Tak powstał królewski pokój Wettynów. Wnętrze to zostało zaaranżowane na nowo, jest w tej chwili jednym z najpiękniejszych na Zamku.

Drugą częścią jest galeria na parterze, Galeria Arcydzieł, którą otwiera ekspozycja daru Karoliny Lanckorońskiej. Galeria Lanckorońskich to dwa portrety Rembrandta oraz pozostałe obrazy z tego daru, ale na parter doszły także nowe dzieła z kręgu Caravaggia. Jest również znakomity „Cud wody”, obraz Jacopa Bassana z okresu włoskiego renesansu. Tam również zamierzamy otworzyć gabinet włoski, który będzie pokazywał sztukę Florencji i Sieny z XIV i początku XV w.

Jest wreszcie pałac Pod Blachą z apartamentami księcia Józefa Poniatowskiego, gdzie koncentrujemy się na epoce końca Rzeczypospolitej i czasach Księstwa Warszawskiego. Ekspozycja nawiązuje do epopei napoleońskiej oraz walki o odbudowę państwa zaraz po rozbiorach. Wszystkie te trzy części wymagają dodatkowych inwestycji związanych zarówno z zakupami, jak i aranżacją nowych wnętrz. Jak pan widzi, plan działania Zamku jest bardzo szeroki i musi się opierać na bardzo dużej kompetencji kustoszów, a jednocześnie dobrym rozeznaniu rynku. Jest to konieczne, by pozyskiwać dzieła sztuki zarówno wysokiej klasy, jak i odpowiednie do danej komnaty. Ta praca nad wypełnieniem wnętrza i podniesieniem rangi kolekcji musi iść w parze z aktywną i na wysokim poziomie działalnością wystawienniczą. To dopiero pokazuje Zamek w działaniu i przyciąga uwagę. Stąd praca nad wystawami Caravaggia, Botticellego i teraz Bernarda Bellotta. Ale – dodam – takich wartościowych wystaw było w ostatnich latach więcej.

O jakich nowszych nabytkach malarskich Zamku warto wspomnieć?

Cztery lata temu kupiliśmy obraz Bellotta obrazujący rzymski Kapitol. Jest to dzieło z serii zamówionej przez ostatniego polskiego monarchę, pokazującej różne znane miejsca Rzymu.

Obraz odnalazł się poza Polską?

Zakupiliśmy go w Londynie, a jego historia jest niezwykle barwna. Po rozbiorach, jako własność prywatna króla, został sprzedany i znajdował się w róż-

Strategia Zamku, realizowana już od pięciu lat, zakłada stworzenie Wielkiego Muzeum. Wielkiego przez swoje wystawy, znaczące w skali międzynarodowej, przez rozbudowę kolekcji i utrzymanie misji społecznej Zamku jako symbolu polskiej historii i chwały

go pozbywać. Jednak większość naszych partnerów zareagowała przychylnie i dzięki temu mamy wystawę największą w dziejach polskiego muzealnictwa i jedną z największych na świecie. Dotyczy to zarówno liczby prezentowanych prac, jak i jej reprezentatywności dla dorobku twórczego Bernarda Bellotta.

Oprócz malarstwa poświęconego Warszawie czego może się spodziewać ktoś, kto przyjdzie obejrzeć tę wystawę?

Zaczynamy od portretów północnych Włoch i doliny Padu, a także Wenecji. Później oglądamy Drezno, Pirnę, Monachium i Wiedeń, a także wspaniały zamek Königstein. Naszą podróż z malarzem kończymy w Warszawie, razem z wedytami stolicy Polski. Można zatem powiedzieć, że odwiedzający przemierzają całą Europę Canaletta – od jego rodzinnej Wenecji, aż do miejsc daleko na północ od Alp. To, że udało nam się pokazać wszystkie etapy twórczości Canaletta, jest znaczącym osiągnięciem. Jest to wystawa, która bardzo dobrze pokazuje dokonania twórcy, pozwala też na stworzenie nowej monografii dotyczą-

i konsekwentnie je realizujemy. Zamek, jeśli chce być znakiem Polski, to musi przygotowywać piękne wystawy, ważne muzealnie, a także przyciągające uwagę szerokiej publiczności. Z drugiej strony staramy się kupować dzieła sztuki, które wypełnią historyczne wnętrza apartamentów królewskich i uatrakcyjnią klasyczną ekspozycję muzealną, pokazującą historię sztuki europejskiej głównego nurtu. Inwestycja w Zamek jest inwestycją w wizerunek Polski na świecie.

Jak wygląda koncepcja muzealna i zakupowa Zamku?

Można powiedzieć, że Zamek składa się z trzech części. Po pierwsze, z wnętrza historycznych, które obejmują apartamenty prywatne króla i sale publiczne z końca XVIII w., a także np. Gabinet Marmurowy powstały z polecenia Władysława IV Wazy, sto lat przed Stanisławem Augustem Poniatowskim. Zależy nam, żeby te wnętrza wypełnić dziełami sztuki i rzemiosła najdoskonalszymi, o wyjątkowej wartości historycznej i muzealnej. W związku z tym kupujemy obrazy,

nych rękach w Imperium Rosyjskim. Po rewolucji bolszewickiej nowa władza zorganizowała w Sztokholmie wielką aukcję, z której dochód miał być przeznaczony na wyposażenie Armii Czerwonej idącej na Europę po trupie Polski. Wtedy to obraz został sprzedany i zniknął z rynku na prawie sto lat. Dopiero niedawno udało się go namierzyć w jednej z prywatnych kolekcji. Dzięki temu wrócił na miejsce, z którego wyszedł. To pokazuje także, że Zamek prowadzi świadomą politykę odbudowy dawnej kolekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. Warto wspomnieć też uroczy, pochodzący z początku XVII stulecia obraz Caraccioli, współpracownika i towarzysza Caravaggia, przedstawiający św. Jana Chrzciciela. To jest dzieło, które było w tym czasie niezwykle modne, malowane w niezwykle efektownej manierze związanej z warsztatem mistrza Caravaggia. Te dwa obrazy pokazują różne zainteresowania i różne obowiązki Zamku. Z jednej strony najlepsze przykłady sztuki europejskiej, z drugiej strony odbudowa wystroju z ostatnich lat Rzeczypospolitej.

Zamek chwali się też obrazem „Madonna karmiąca” Defendentego Ferrariego.

Tak, to zdumiewający i wspaniały obraz pokazujący hieratyczną postać Madonny w stylu gotyckim z dzieciątkiem malowanym tak, jak to miało miejsce już w okresie Rafaela na początku XVI w. i z tłem zupełnie XX-wiecznym, surrealistycznym, ujętym w arabeskę. W jednym obrazie znajdujemy zatem trzy zupełnie różne epoki artystyczne i dzięki temu możemy patrzeć na niego z różnych perspektyw. Dzieło to faktycznie nie ma sobie równych w całym szeregu przedstawień Matki Boskiej karmiącej Dzieciątka.

Warto też zwrócić uwagę na „Kornelię, matkę Grakchów” Angeliki Kaufmann.

Naturalnie. Kupiliśmy ten obraz po wielkim boju na aukcji w Nowym Jorku, po czym otrzymaliśmy gratulacje, a także wyrazy lekkiej zazdrości kustoszów z innych muzeów, którzy łakomym okiem patrzyli na to dzieło.

Co to jest za obraz?

To jest wspaniała scena wpisująca się w XVIII-wieczną modę przywoływania historii starożytnej w celach dydaktycznych. Kornelia pokazuje swoje dzieci jako swój największy skarb przyjaciółce

Nasze plany na najbliższy rok wyglądają bardzo ambitnie i wymagają znacznego budżetu, co w obecnych czasach musi wzbudzać pewien niepokój

chwalącej się biżuterią. Wśród tych dzieł jest też dziewczynka, co jest elementem nowatorskim. Zwykle przedstawiano tylko dwóch braci Grakchów, którzy przeszli do historii jako wybitni politycy, tymczasem na tym obrazie Kornelia mówi: „Zobaczcie całą trójkę moich dzieci”. To znakomite dzieło, zarówno ze względu na wartość historyczną – wyszło spod ręki rozchwytywanej w epoce oświecenia malarki, jak i ze względu na to, że znakomicie współgra z naszymi wnętrzami epoki stanisławowskiej drugiej połowy XVIII w. Jest niewątpliwą ozdobą naszej kolekcji.

Jakie są najbliższe plany wystawiennicze Zamku Królewskiego?

Nasze plany na najbliższy rok wyglądają bardzo ambitnie i wymagają znacznego budżetu, co w obecnych czasach musi wzbudzać pewien niepokój. Jednak z całą pewnością uczymy równą rocznicę wybuchu powstania styczniowego – stanie się to już w styczniu 2023 r. Wystawa, która powstaje na tę okazję, będzie przypominać ów niepodległościowy zryw i jednocześnie pokazywać osobiste zaangażowanie w jego trwanie polskiego ziemiaństwa, inteligencji, wszystkich warstw społecznych. Nieco później przypomnimy rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Odbędzie się wystawa organizowana z Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius, na której znajdą się ciekawe obiekty z Uppsali i Paryża. W tym wypadku także wykorzystamy nasze kontakty zagraniczne, by nie tylko przypomnieć postać wybitnego polskiego astronoma, lecz także pokazać jego wszechstronność. Był on przecież ekonomistą i matematykiem, uczył się medycyny i filozofii. Będzie to okazja do szerokiej prezentacji dorobku Kopernika i jednocześnie czasów, w których żył i pracował.

To będzie wystawa interdyscyplinarna?

Jak najbardziej. Pokażemy traktat Kopernika „O obrotach sfer niebieskich”, ale będą też astrolabium i portret Kopernika sporządzony przez Matejkę, który ma wprowadzić charakter imagi-

nacyjny, a jednocześnie jest sam w sobie wspaniałym obrazem, który dostał tytuł „Rozmowa z Bogiem”. W tym samym czasie będziemy otwierać wystawę prezentującą zbrojownię nieświejską Radziwiłłów. Na przełomie XVI i XVII w. był to najlepszy i wypełniony najznakomitszym uzbrojeniem skład broni w Europie, jedna z najciekawszych kolekcji uzbrojenia w skali międzynarodowej. Na tę wystawę przyjedzie, niepokazywana od stulecia w Europie, zbroja z Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Będzie to niezwykle wydarzenie podnoszące rangę wystawy.

Co to za zbroja?

To jest zbroja Radziwiłła Czarnego, która została przetransportowana do Stanów Zjednoczonych w latach 20. XX w. i od tego momentu nigdy nie wróciła do Europy. Mówimy o programie wystaw tylko w pierwszym półroczu, natomiast w drugim półroczu będą niespodzianki wielkiej klasy i w skali międzynarodowej – jeśli uda nam się je zrealizować. Tu pewną trudnością mogą być finanse. Liczymy jednak, że założony plan zostanie zrealizowany i będzie szeroko komentowany, a także wzbudzi emocje w środowiskach zainteresowanych sztuką i historią.

Wobec tych wszystkich dzieł dokonanych i planów można przyjąć, że ranga Zamku Królewskiego jako muzeum będzie rosła. A przecież nie udało nam się jeszcze porozmawiać o zbliżających się prezentacjach dzieł Hasióra czy Abakanowicz.

Zamek chce być partnerem najlepszych muzeów świata. Żeby to osiągnąć, musimy mieć dobrą kolekcję na wymianę i pokazywać ważne oraz atrakcyjne wystawy z różnych dziedzin, i to właśnie robimy. Konsekwentnie, bardzo sprawnie i z dużymi efektami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Wojciech Fałkowski
– historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.
Dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie – Muzeum.

Twórcy serialu „Wielka woda” dobrze są zaznajomieni z zasadami kręcenia kina katastroficznego.

Niezbędne są znaki niepowstrzymanego kataklizmu, niezbędna jest Kasandra – ktoś, kto wie, że będzie źle, ale czyje przestrogi są zlekceważone. Niezbędny jest niewierny Tomasz, który pożałuje, ale będzie już za późno. Politycy, naukowcy, żołnierze, okazują się cymbałami, niezdolnymi do zrozumienia Kasandry. Gdy katastrofa nadejdzie, wątki poszczególnych bohaterów muszą nabrać wymiaru osobistego, bo stawką musi być ocalenie rodziny. Bohater, by nie był nazbyt spiżowy, musi też walczyć z własnymi demonami. Pokonać lęk wysokości albo coś w tym stylu. W finale zwycięstwo nad żywiołem musi być jednocześnie zwycięstwem nad gorszą częścią swej natury, a zwykle to pierwsze jest nawet warunkowane przez to drugie.

Dopiero kiedy przypomnimy sobie, jak wiele podobnych historii widzieliśmy na ekranie, zaczynamy dostrzegać, jak trudne jest napisanie kolejnej. Trzeba w znany schemat włożyć coś nowego lub przynajmniej opowiedzieć historię w zaskakujący sposób. Ze zdumieniem – bo scenariusze to wciąż pięta achillesowa polskiego kina i telewizji – odkryłem, że Kasper Bajon i Kinga Krzezińska poradzili sobie bardzo dobrze. „Wielka woda” to pierwszy od dawna polski serial, w którym dramatyczne sytuacje między postaciami w naturalny sposób wynikają z podejmowanych przez nich decyzji, a i sami bohaterowie nakreśleni są ciekawie. Z istotnymi wyjątkami, ale o tym szarzej w drugiej części tekstu, gdzie będę się czepiał. Na razie chwale.

PUNKT KULMINACYJNY

Oto Kasandra – grana przez Agnieszkę Żulewską hydrolog Jaśmina Tremer. Jest rok 1997. Gdy Polska cierpi z powodu suszy, ona jedna siedzi nad analizami, z których wynika, że Wrocław zagrożony jest wielką powodzią. Niewiernych Tomaszów jest mnóstwo – niemal wszyscy we Wrocławiu pukają się w czoła – jeden jednak bierze rzecz na poważnie, choć jego motywacja okaże się nieco inna niż dobro publiczne. Zaprasza więc Tremer do miasta, gdzie dziewczyna zderza się z murem niezrozumienia. Wody tymczasem przybywa. A widz odkrywa powikłaną przeszłość bohaterów – Tremer to była ćpunka, która wciąż jedzie na metadonie. Z kolei zapraszający ją do Wrocławia Jakub

Powódź prywatna



Piotr Gociek

Serial „Wielka woda” sprawdza się jako dramat rodzinny, ale gubi szansę na opisanie niesamowitego wysiłku mieszkańców Wrocławia broniących miasta latem 1997 r.

Marczak (Tomasz Schuchardt) to dawny kumpel z burzliwej młodości, kiedy to oboje byli członkami anarchistycznej załogi. Dziś Marczak jest ważną figurą w lokalnej polityce. A jednocześnie wychowuje nastoletnią córkę (Klarę gra Blanka Kot, córka Tomasza Kota, którego z kolei widzimy w roli prezydenta miasta). Na horyzoncie pojawia się też matka Jaśminy Tremer, znakomita diwa operowa, teraz żyjąca jedynie dawnymi urazami, obżerająca się ponad miarę i uwięziona we własnym mieszkaniu. Niełatwe wyzwanie aktorskie podjęła Anna Dymna.

W sześciu odcinkowym serialu punktem kulminacyjnym jest zalanie Wrocławia przez wielką wodę, lecz jak wcześniej przez trzy odcinki budować napięcie? Tu z pomocą idzie wątek wsi Kęty, gdzie trzeba było w odpowiedniej chwili wysadzić wały, by osłabić napór żywiołu na Wrocław. Nie udało się, bo na wałach stanęli mieszkańcy, nie zgadzając się na zalanie swoich gospodarstw. Tu ważną postacią jest jeden z gospodarzy Andrzej Rębacz (Ireneusz Czop), którego ojciec gaśnie tymczasem w jednym z wrocławskich szpitali (jedna z ostatnich ról Jerzego Treli, którego pamięci poświęcony jest zresztą drugi odcinek

serialu). Jest i spore grono postaci drugoplanowych, nakreślonych zgrabnie, choć niekiedy nazbyt jednowymiarowych.

Nie zmienia to faktu, że robota aktorska jest pierwszorzędną, a ludzkie dramaty prawdziwe. Sprawdza się więc „Wielka woda” jako dramat rodzinny, także jako dramat miasta: mamy sceny w zalewanym szpitalu, mamy mieszkańców ratujących dobytek, a potem bezradnie obserwujących powódź tysiąclecia. W drugiej części serialu zgrabnie wkomponowano w narrację archiwalne zdjęcia z 1997 r., przypominamy sobie więc niewiarygodną skalę żywiołu. Nie ma nudy, jest napięcie, jest groza. Jest tymczasowa kostnica wypełniana się ciałami, jest dorobek całego życia znikający pod mętnym przypływem, jest ewakuacja ogrodu zoologicznego (tu akurat poniosła scenarzystów licentia poetica, ewakuacja była sprawna i z minimalnymi stratami, tymczasem w jednym z epizodów widzimy całe stado zebr gnające przez ulice Wrocławia).

Skoro jest tak dobrze, to co trzeba wytknąć? Niepokojąco wygląda w „Wielkiej wodzie” zderzenie sfery prywatnej ze sferą publiczną. Ale po kolei. Już na wstępie informują nas twórcy, że opowieść jest jedynie inspirowana wielką powodzią,



W sześciuodcinkowym serialu punktem kulminacyjnym jest zalanie Wrocławia przez wielką wodę. FOT. ROBERT PAKA/NETFLIX

że zastrzegają sobie dowolność w konstruowaniu postaci i wydarzeń. Kpił kiedyś Kurt Vonnegut w „Syrenach z Tytana”, że w jego powieści „nie zmieniano żadnych nazwisk ku ochronie niewinnych, wychodząc z założenia, że ochrona niewinnych i tak należy do codziennych niebieskich obowiązków Boga Wszechmogącego”. Może tak być w powieści fantastycznej, ale gdy mierzymy się z rzeczywistością, trzeba być ostrożnym, inaczej posypie się lawina pozwów. Zamiast prawdziwej wsi Łany, gdzie rzeczywiście miał miejsce protest mieszkańców, mamy więc wieś Kęty. Pojawia się fikcyjny zbiornik retencyjny Gierżonów. Bezimienny jest prezydent Wrocławia, bezimienny jest wiceminister, który akurat przebywa w okolicy.

STADO IDIOTÓW?

To praktyki normalne, serial to nie dokument, tylko dzieło fikcji oparte na faktach. Niepokojące jest jednak to, w jaki sposób nakreślono działania aparatu państwa i samorządu. Wszyscy przedstawiciele administracji – rządowej, lokalnej – oraz wszystkie ważne figury policji, wojska i straży pożarnej pokazane są jako stado idiotów oraz szkodników. Cóż, świadkowie opowiadają o chaosie we Wrocławiu, to

znaczy kłopotach ze skoordynowaniem działań, nie ma więc co bronić „państwa z kartonu”. Ale gdy chwila próby nadeszła, to policcy strażacy, policjanci i żołnierze, a przede wszystkim rzesze mieszkańców Wrocławia, pracowali razem, by powstrzymać żywioł. Pracowali bez wytchnienia, pracowali bohatersko. I zwyciężyli, to znaczy ocalili zabytkową część miasta oraz inne połacie Wrocławia. Co do polityki – Polska rządzona była naonczas przez Sojusz Lewicy Demokratycznej (w filmie jest ledwie zauważalne info, że chodzi o jakąś Lewicę), a interwencji saperów w Łanach najbardziej domagał się ówczesny minister spraw wewnętrznych Leszek Miller.

Wicekomendant policji odmówił użycia siły wobec demonstrantów. W serialu „Wielka woda” pokazany jest ochoczy do pałowania trep, który „od 1981 r. udoskonalał szyk falangi”. Pisała „Wyborcza”: „Łany stały się symbolem. Dla jednych mniejszego zła, czyli próby ocalenia wielkiego miasta kosztem zatopienia kilkuset gospodarstw i domów w 15 wioskach; dla innych determinacji zwykłych ludzi z bezduszną, arogancką władzą gotową użyć policji i wojska, by zniszczyć dobytek ich życia w imię ratowania wrocławskich zabytków”. No ale jakież polski filmowiec

ośmieliłby się głośno powiedzieć, czy nie daj Boże pokazać, że rząd SLD, z którego wywodzą się dzisiejsi europosłowie PO, był bezduszny i arogancki?

Zatem – krzywdzą twórcy „Wielkiej wody” wszystkie te tysiące ludzi, którzy walczyli o ocalenie Wrocławia. A jeśli chodzi o protest w Łanach, czyli fikcyjnych serialowych Kętach, to próbują wyważyć racje, ale nie mogą się powstrzymać przed typowo warszaską stereotypizacją: mieszkańcy Łanów to „wsioki”, jak elegancko mówi o nich Jaśmina Tremer. Oczywiście we flanelowych koszulach w czarno-niebieską kratę, oczywiście oczywiście się świecą na widok wódki, oczywiście są miłośnikami disco polo. Sceny, w których dowiadujemy się, że wojsko nie może ratować Wrocławia, bo „ćwicz na poligonie z NATO”, miasto jest bezradne wobec powodzi, bo „przygotowywało się do wizyty Ojca Świętego”, a jedyni strażacy niosący skuteczną pomoc to oddział przybyły w Francji, są po prostu polickim wymierzonym polskim żołnierzom i strażakom.

„Wielka woda”, sprawna realizacyjnie, zgrabnie napisana, trzymająca w napięciu, sprawdza się więc – powtórzę – jako dramat rodzinny. Niezbyt odbiega od prawdy, gdy pokazuje bałagan w dokumentach i kompetencjach. Ale traci szansę oddania hołdu prawdziwym bohaterom obrony miasta. Traci tym samym szansę na stworzenie opowieści, która nie dość, że zgodnie z prawdą, to jeszcze w hollywoodzkim stylu pokazywałaby triumf zwykłego człowieka. Triumf narodowej samoorganizacji. Dziesięć tysięcy ludzi ruszyło wzmacniać wały w jednym tylko miejscu – by ratować wrocławskie zoo, ale i tym samym ocalić Sępólno czy Biskupin. Do historii przeszła msza odprawiana przez proboszcza Stanisława Golca w kościele przy ul. Wittiga: „Pomodlić możemy się kiedy indziej, teraz bierzcie łopaty i gumowe buty i idźcie ratować zoo”.

Została opowieść o głupich Polakach, dobrych Francuzach; o tępych wsiokach oraz mądrej, pięknej pani hydrolog, która musi być dobra, gdyż nie lubi strzelania do sarenek. I co z tego, że w napisach końcowych czytamy coś o tym, że wielka powódź stała się fundamentem nowej tożsamości mieszkańców Wrocławia, skoro o tym dlaczego nie ma w serialu ani słowa. Twórcy „Wielkiej wody” o pisaniu scenariuszy i konstruowaniu postaci wiedzą dużo. O Polsce i o tożsamości – niewiele.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Miłość blondynki



★★★★★
REŻ. ANDREW DOMINIK
„BLONDYNKA”
(„BLONDE”)
USA 2022

wyst. Ana de Armas, Lily Fisher, Julianne Nicholson

O nieprzekładalności literatury na film – „Jej woskowoblada skóra wydzielala fale ciepła jak ulice w letnim słońcu” – czytamy w powieści Joyce Carol Oates „Blondynka”. Nie da się takich melodii przełożyć na film, musiał więc reżyser Andrew Dominik ułożyć historię po swojemu, upraszczając kolaż literacki o... Marilyn Monroe? Nie, powieść Oates jest powieścią o Normie Jeane, dziewczynie, która odtrutki na niezbyt udane życie szukała w drodze ku ekranowi i sławie, a potem przemieniła się w symbol. Symbole są zaś własnością publiczną, każdy rości sobie do nich prawo. A w Hollywood przybiera to wymiar dosłowny, stąd wcześniej w filmie pojawia się

scena, w której Znany Producent gwałci aspirującą debutantkę.

Trudno streszczać „Blondynkę” bez popadania w banał: poszukiwanie miłości, akceptacji, rozszczepienie na istotę cierpiącą prawdziwie i jej kolejne ekranowe wizerunki. „To nie jestem ja” – mówi zdumiona i załamana dziewczyna po filmowym debiucie, po tym, gdy ujrzała siebie samą uwiecznioną w celuloidzie. Książka Oates nie była (i nie miała być) rzetelną biografią i reżyser tej zasady przestrzega, nadając historii duszny klimat koszmaru niczym z filmów Davida Lyncha. Jeśli chodzi o wykorzystanie języka kina, to jest to najbardziej dojrzałe dzieło Andrew Dominika; długa owacja na stojąco po pokazie na festiwalu

N

w Wenecji była zasłużona. Powracają kluczowe symbole: koła i lustra. Zwłaszcza ten ostatni jest ważny – ekran jest lustrem, obiektyw kamery jest lustrem, podobnie zdjęcia prasowe młodziutkiej pin-up girl. Ale lustrem są też oczy tych wszystkich, którzy, patrząc na udręczoną bohaterkę, roszczą sobie do niej prawo. Oczywiście widzą co innego: które z odbić jest realne, gdzie jest prawdziwa Norma Jeane?

A na de Armas w roli głównej jest fenomenalna, zgadzam się. Odrzucam natomiast oskarżenia „Blondynki” o seksizm, epatowanie przemocą i szokiem, lewica dorzuca do tego jeszcze zarzut propagandy antyaborcyjnej, zirytowana faktem, że aborcja i lęk przed aborcją pogłębiają traumę bohaterki. Oto opowieść o tym, jak świat miażdży tych, którzy nie są przygotowani do przestrzegania jego podłych reguł i marzą o czymś więcej. Dzieje się tak nie tylko w Hollywood, lecz także w show-biznesie widać to akurat najwyraźniej. ©©



NOWE SERIALE: „AVENUE 5”

Fantastyka rzadko dobrze znosi krzyżowanie z komedią, ale twórcom serialu „Avenue 5” się udało. Pierwszy sezon chwalony był (rok 2020) przez widzów i przez krytyków, teraz dostajemy sezon drugi. Pasażerowie luksusowego kosmicznego statku pasażerskiego wypadają z kursu i powrót na Ziemię ma

zająć nie tygodnie, lecz lata. Ten chwyt to okazja do obśmiewania ludzkich przywar, praktyk wielkiego biznesu oraz daremności ludzkich wysiłków – im bardziej podróżnicy próbują sobie pomóc, tym bardziej sobie szkodzą. ©© **Piotr Gociek**

• sezon 2 „Avenue 5”, USA 2022, HBO

HBO

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „Shantaram”, USA 2022



• sezon 2 „Biały Lotos” („The White Lotus”), USA 2022



• sezon 1 „The Bear”, USA 2022



Czarownica z Białowieży

KINO

Simona Kossak to postać anegdotyczna lub, jak kto woli, legendarna.

Nie ulega wątpliwości, że wyprzedziła epokę, głosząc hasła ekologiczne w kraju rządzonej przez dwóch panów G. „Ziemia nie jest naszą własnością, jesteśmy tu tylko współlokatorami” – tak brzmiało credo wnuczki ulubionego malarza Polaków, która zamiast podtrzymywać rodzinne tradycje, złapać za pędzel lub chociaż maszynę do pisania, została biologiem i wyjechała na drugi koniec Polski. Marzyło się jej zasypanie przepaści między człowiekiem i przyrodą. Wyszło inaczej. Jak sama przyznała, przekroczyła granicę i znalazła się po stronie drzew i zwierząt. Miała na pieńku z drwalami i myśliwymi, uko-

chanej puszczy broniła nawet przed innymi naukowcami. Miejscowi uważali, że Simonie brakuje piątej klepki. Po biografii pióra Anny Kamińskiej i filmie „Miejsce w raju” sprzed ośmiu lat trudno powiedzieć o tej barwnej postaci coś odkrywczego. Koryncka-Gruz eksploatuje wątek rodzinny. Cioteczna wnuczka Simony, teraz już dorosła, odbywa

sentymentalną podróż do „Dziedzin-ki” – domu pełnego oswojonych zwierząt. Opowieści o kruku Korasku, dzikim Żabce czy oślicy Hepuni można słuchać w nieskończoność. Historie o toksycznych relacjach wewnątrz rodziny Kossaków budują zaś legendę męczennicy. Simona raczej nie byłaby tym zachwycona. ©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. NATALIA KORYNCKA-GRUZ
„SIMONA”
POLSKA 2022



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SŁUŻBA NIE DRUŻBA

HBO max

Starszaki może pamiętać: 7 października był onegdaj Dniem NRD. Po wschodniej stronie Odry obchodzono zaś święto Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Cóż, tempus fugit, ale jeśli kogoś kręci egzorcyzmowanie demonów przeszłości, nie polecam „Ostatnią egzekucję”.

Franziska Stünkel bez pośpiechu i zbędnych fajerwerków snuje opowieść o naukowcu, który podpisał pakt z diabłem, czyli z osławioną Stasi. Marzył mu się awans na uczelni, a wylądował w „wydziale piłkarskim”. Werownicy popełnili jednak błąd, ponieważ doktor Walter nie nadaje się do tej roboty: ma sumienie i brzydzą go metody stosowane przez kolegów z resortu. Ale na tym nie koniec – służbowy pobyt w RFN sprawi, że zacznie wątpić w wyższość komunizmu nad kapitalizmem. Film robi wrażenie głównie dzięki poruszającej kreacji Larsa Eidingera. Napisy końcowe potwierdzają najgorsze podejrzenia: nie jest to historia wyssana z palca. Brrr!



wyst. Lars Eidinger, David Striesow, Luise Heyer

★★★★★
REŻ. FRANZISKA STÜNKEL
„OSTATNIA EGZEKUCJA”
 („NAHSCHUSS”)
Niemcy 2021

POTRÓJNY LUTZ

KINO

O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna? Kto widział „Euforie” i „Sex Education”, nie może mieć złudzeń. Panny z Finlandii starają się nadążyć za anglojęzycznymi koleżankami, lecz są wyraźnie mniej postępowe. Nie ćpają, kochanków szukają zaś w kręgu rówieśniczym. Mimmi upatrzyła sobie introwertyczną łyżwiarke, heterozycka Rönkkö bardzo chciałaby się zakochać, ale miłość myli się jej z fizjologią. Trochę potrwa, nim zauważy, że wulgarny język skutecznie odstrasza facytów. Dziewczyny są tak różne, że w ich przyjaźni trudno uwierzyć. Chciałyby decydować o sobie, lecz są emocjonalnie niedojrzałe: dopiero odkrywają, kim są i czego chcą od życia. W filmach tego typu rodzice zwykle są groteskowi lub nieobecni. Tutaj po prostu nie nadążają za pociechami, dla których seks jest jak szklanka wody, a lektura papierowych gazet jawi się jako szczyt ekstrawagancji. Czas umierać? ©



wyst. Aamu Milonoff, Eleonoora Kauhanen, Linnea Leino

★★★★★
REŻ. ALLI HAAPASALO
„DZIEWCZYNY”
 („TYTÖT, TYTÖT, TYTÖT”)
Finlandia 2022

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „FIFA 23”

Wiele wskazuje na to, że ostatnią „FIF-ę” zapamiętam dobrze. I choć nigdy nie będę myślał o niej z takim sentymentem, jak o moich dwóch pierwszych odsłonach serii, tych z numerkami 98 i 99, to przyznaję, że EA żegna się z nazwą „FIFA” godnie. Rewolucji nie ma, bo chyba nikt jej

nie oczekiwał, są za to drobne i dobre zmiany, jak choćby nowy system wykonywania stałych fragmentów gry. Pececiarze dostali wreszcie wersję next-genową, konsolowcy połączone rynki Ultimate Team dla Xbox i PlayStation, a jedni i drudzy cross-play. Wszystko zmierza w dobrą stronę, oby

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



podobnie było za rok, gdy ta najlepsza gra piłkarska ukaże się pod nowym tytułem. ©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** sportowa
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC, Switch
• **Producent, dystrybutor:** EA Sports, Electronic Arts



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Car Samozwaniec

Historię Dymitra Samozwańca znamy przede wszystkim z „Borysa Godunowa” Aleksandra Puszkina i skomponowanej na podstawie tej tragedii opery Modesta Musorgskiego „Borys Godunow” (w 1989 r. przełożonej na język filmu przez Andrzeja Żuławskiego). Ale przedstawił ją również w swoim, niestety niedokończonym dramacie „Dymitr” Friedrich Schiller, wpisując ją w najbardziej go w niej interesujący spór wolności i despotyzmu. Spór polsko-rosyjski.

W dramacie tym król Zygmunt III Waza przemawia do Dymitra tymi słowami:

*Tu, w Polsce,
Jak dobrze wiesz, swoboda, złota
wolność,
Że nawet król, choć pierwszy na
świeczniku,
Musi się liczyć ze szlachtą i nieraz
jej ustępować. A tam, dokąd jedziesz,
Samodzierżawie i prawo nahałki;
Tłum rabów, którzy tarzają się
w prochu
Przed swoim panem.*

I poucza Samozwańca, by siły szukał u siebie, wśród swoich, gdyż „nie ma lepszej tarczy / Niż duch i serce własnego narodu. / Rosję zwycięży tylko sama Rosja”.

*Wielkość narodu inaczej się tworzy.
Nie za pomocą cudzoziemskich piórek.*
Teraz „Dymitr” Friedricha Schil-

lera, w nowym przekładzie Antoniego Libery, ukazuje się w edycji PIW razem ze znakomitą esejem Andrzeja Nowaka „Co ma ożyć w pieśni”, posłowiem objaśniającym czytelnikowi nie tylko polityczne podłoże awantur, romantycznych i tragicznych losów Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszech, lecz także dzieje konfliktów i wojen Rzeczypospolitej i Moskwy na początku XVII w. Przez okres PRL wyciszanych w nauczaniu historii, od niedawna dopiero postrzeganych z należytą uwagą,



FOT. DOMENIK PUBLICZNA

jak na to zasługują, nie tylko ze względu na zwycięstwo hetmana Żółkiewskiego pod Kłuszynem i polskie sztandary na Kremlu. Nie zapominajmy też, że rocznie kapitulacji polskiego garnizonu w roku 1612, zamykającą czas dymitriad, czci się w Rosji od 17 lat jako Dzień Jedności Narodowej. Dlaczego w Moskwie wybrano tę właśnie datę? „Żeby nie było już więcej marzeń o wolności przychodzącej w oparciu o zachodnie mocarstwo, żeby wszyscy Rosjanie skupili się wokół instytucji samodzierżawia i jego świętej wojny z podstępny Zachodem – oto sens propagandy tego święta, konsekwentnie przypominany przez prezydenta Putina” – odpowiada prof. Nowak.

Ale posłowie to, już tytułem nawiązujące do słynnego cytatu z Schillera wykorzystanego przez Adama Mickiewicza w „Konradzie Wallenrodzie”, ma obok wymiaru historycznego również wymiar literaturoznawczy. Nie po raz pierwszy Andrzej Nowak wykazuje się ogromną erudycją, tu akurat znajomością twórczości nie tylko autora „Demetriusa” (Dymitra), nie

bez powodu nazywanego piewą wolności, lecz także recepcją zarówno jego dzieł, jak i wcale licznych utworów na kanwie historii (i legendy!) Dymitra Samozwańca powstałych niemal w całej Europie. A przy okazji przypomina dramat Adolfa Nowaczyńskiego „Car Samozwaniec”, rzeczywiście – jak powiada – niesłusznie zapomniany, podobnie jak niemal cały dorobek autora „Wielkiego Fryderyka”.

Pod piórem Antoniego Libery „Dymitr”, mimo licznych anachronizmów popełnionych przez Schillera, nabrał niesłychanej świeżości. Te kilkadziesiąt stron tekstu czyta się z przyjemnością i niesłabnącym nawet na chwilę zainteresowaniem. Można tylko żałować, że twórca nie dokończył swojego dzieła, umierając w trakcie jego pisania w 1805 r. w wieku 46 lat. A wystarczy porównać przekład Libery z dostępnym w Internecie tłumaczeniem Eligiusza Szrajbera (był jeszcze przekład Włodzimierza Lewika), by przekonać się, że ta pasjonująca historia o samozwańczym (?) pretendencie do tronu musiała zabrznieć po nowemu. Nie tylko ze względu na, powiedzmy, okoliczności społeczno-polityczne.

Ale żeby już nie zachwycać się bez końca „Dymitrem”, zwróć uwagę na zdanie, które znalazło się w sporządzonym przez Schillera, po napisaniu dwóch aktów dramatu, „Planie dalszego ciągu”. Oto w rozdziale zatytułowanym „Tajemniczy mężczyzna w Tule” czytamy: „Podczas tej opowieści Dymitr zdaje się przechodzić kolasną przemianę. Początkowo głucho milczy. Ale gdy nakręcający się coraz bardziej morderca, widząc w oczach rozmówcy zgrozę i szaleństwo, bezczelnie i bezwzględnie domaga się zapłaty, Dymitr w szale powala go i przebija sztyłem”. Osobiście wolałbym, żeby u Schillera nikt się nie nakręcał. ©©



★★★★★
FRIEDRICH
SCHILLER
„DYMISTR”
PIW,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Okruchy arcydzieła

Jakże wiele jest powodów, by tę książkę odnotować. Po pierwsze, znakomita poezja, którą doskonale oddał tłumacz Antoni Libera: kwestie Schillera płyną, brzmia, układają się naturalnie; w głowie widziałem podczas lektury cały spektakl, który nie był ramotą sprzed dwóch wieków, lecz dramatem współczesnym. Pisał „Dymitra” niemiecki twórca w latach 1804–1805 i nigdy nie dokończył. To, co ocalało, 70 stron tekstu, dostajemy w edycji wzbogaconej licznymi przypisami i posłowiem prof. Andrzeja Nowaka („Co mażyć w pieśni. O Dymitrze dzisiaj”). Wszystkie te dodatki to oczywiście drugi powód do lektury. (Gwoli ścisłości był i w roku 1906 przekład Eligiusza Wiktora Sznajdera).

Ipowód kolejny – a także powód do opłakiwania faktu, że Fryderyk Schiller swego dzieła nie ukończył – jakże rzadko kwestie polskie (w tym przypadku relacje polsko-rosyjskie) były przedmiotem rzetelnej analizy. Królowała (ba, do dziś królują) narracje suflowane przez zaborców: kraj głupców i leni, kraj, który nie zasłużył na istnienie, kraj rusofobów przeszkadzających światu w normalnych stosunkach z Moskwą. Kraj, który wielki i godny podziwu nie był nigdy, a dziś ma być panną służącą Europy.

Polska u Schillera to kraj potężny i bogaty, obiekt podziwu, a czasem lęku, choć mroczna przyszłość majaczy na horyzoncie. Gdy niesiony entuzjazmem polski dwór chce wesprzeć pretensje Dymitra i ruszyć na wojnę z Moskwą, Lew Sapieha broni kruchego pokoju i niedawno wynegocjowanego traktatu. A gdy wielki kanclerz koronny nalega: „Dla powszechnej zgody pójdź z większością”, Sapieha odpowiada: „Głosy trzeba raczej ważyć niż liczyć je. Bo państwo, którym rządzi większość – głupota – długo nie pociągnie. Wcześniej czy później upadnie”.

Lata czarne są jednak dopiero w przyszłości, w czasie akcji dramatu Schillera nasi wschodni sąsiedzi postrzegają nas nie tylko jako silnych, lecz także jako nie w ciemię bitych. „Czy chytry Polak szedłby za oszustem nadstawiać karku?” – mówi jeden z rosyjskich wieśniaków. To, że kraj taki jak Polska wspiera pretendenta Dymitra, jest dla Rosjan dowodem, że musi być to car prawdziwy.



★★★★★
FRIEDRICH SCHILLER
„DYMISTR”
PIW

Dwa akty ocalały, jest i plan dalszego ciągu. Nakreślił w nim poeta kilka arcyciekawych dramatycznych zwrotów. Jakość ocalałych scen dowodzi, że gdyby Schiller „Dymitra” ukończył, byłby to dramat wystawiany regularnie na scenach świata. Śmierć przerwała jego pracę. ©©

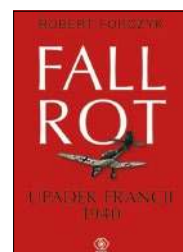
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Sześć niepublikowanych dotąd tekstów zmarłego w 2016 r. bioetyka (filmowa biografia „Johnny” w kinach). Najciekawszy „Jak nie być pluszowym katolikiem” – mocny głos w obronie godności osób nienarodzonych.



KS. JAN KACZKOWSKI
„ZAMIAST CZEKAĆ, ZACZNIJ ŻYĆ”
ZNAK

Upadek Francji w roku 1940 – korzeni klęski trzeba szukać w traumie po hekatombie pierwszej wojny światowej, ale to nie wszystko. Autor sporo miejsca poświęca drugiej części kampanii, już po ewakuacji Dunkierki.



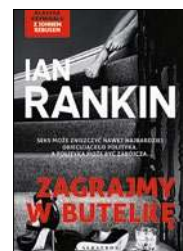
ROBERT FORCZYK
„FALL ROT”
REBIS

Ostatnia książka polityka i pisarza, autora słynnych „Maksym”, ukazała się w roku 1844, cztery lata przed śmiercią wicehrabiego. Pierwszy polski przekład to zasługa Wiktora Dłuskiego. Przedmowa Tomasza Swobody.



FRANÇOIS-RENÉ DE CHATEAUBRIAND
„ŻYWOT RANCÉGO”
WIELKA LITERA

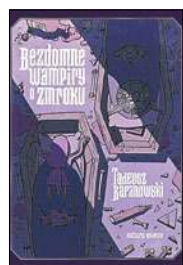
Czwarty tom popularnej serii o inspektorze Rebusie, omiary dotąd przez polskich wydawców, choć wydany oryginalnie w 1992 r. Polityk w domu publicznym, dwa trupy plus pacjent z psychiatryka – czego chcieć więcej?



IAN RANKIN
„ZAGRAJMY W BUTELKĘ”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „BEZDOMNE WAMPIRY O ZMROKU”

Klasyka polskiego komiksu i humoru. Edycja obejmująca obydwa tomy przygód mocno nietypowych wampirów Szlurpa i Burpa, w tym te, które powstały do scenariuszy ważnej postaci francuskiego komiksu – Jeana Dufaux. Historia tej serii sięga jeszcze czasów nieistniejącego już pisma harcerskiego „Na Prze-



TADEUSZ BARANOWSKI
„BEZDOMNE WAMPIRY O ZMROKU”
KULTURA GNIEWU 2022

łaj”. Tom wzbogacono o dziewięć premierowych plansz, otrzymujemy więc wydanie wzorcowe i luksusowe, to znaczy pełne, zbiorowe i bardzo, bardzo zabawne. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wielki powrót

Z jednej strony mamy kampanię „Puste ramy”, w której udział biorą muzea z całej Polski i która przypomina, że w wyniku drugiej wojny światowej z polskich zbiorów publicznych, prywatnych i kościelnych zaginęło kilkaset tysięcy dzieł sztuki i dóbr kultury. Przygnębiająca jest myśl, że znaczna ich część – niestety – bezpowrotnie. Z drugiej strony są

wystawy takie jak „Łukaszowcy. Wielki powrót”, które udowadniają, że nie wszystko stracone.

Cykl niedawno odzyskanych siedmiu obrazów Bractwa św. Łukasza oraz czterech makat według projektu Mieczysława Szymańskiego miał nieco inną historię wieloletniej „utruty”. Dzieła te trafiły do polskiego pawilonu na Wystawie Światowej w Nowym Jorku. Miały na niej pozostać najdalej do jesieni 1940 r. Historia chciała inaczej. Do Polski powróciły dopiero po 83 latach.

Obrazy autorstwa grupy malarzkiej Bractwo św. Łukasza przedstawiają najwznioślejsze chwile z historii Polski. Makaty natomiast opiewają sukcesy Jana III Sobieskiego. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie

KIEDY? do 23 października



FOT. MACIEJ CIOCH



FOT. MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH WIELICZA

POSOLONE Z ARCYDZIEŁA

Nikogo pewnie nie zdziwi, że jedna z najcenniejszych kolekcji solniczek znajduje się w Wieliczce. Ale już same solniczki... One już zadziwić i zachwycić mogą. Wykonane ze szlachetnych metali czy najlepszej porcelany, z kości, kamieni czy masy perłowej są małymi arcydziełami sztuki. Dziś powszechne (choć zwykle po prostu wyglądające), w wiekach średnich pojawiające się (tak jak sól) tylko na królewskich i książęcych stołach. Imponująca kolekcja z Wieliczki liczy ponad 1 tys. obiektów i ciągle się rozrasta. ©©

GDZIE? Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka

KIEDY? ekspozycja stała

NA SŁUCH

Płyta dla snobów?



GRZEGORZ BRZozowicz

Nie spotkałem się wcześniej, by fani tak okrutnie potrakowali album swojego idola. Na amerykańskim portalu AllMusic nie ma pozytywnej recenzji, natomiast padają opinie: „Pretensjonalne ponad wszelką wątpliwość”, „Co się stało z Björk?”.

Nie da się ukryć, że na pierwszej od pięciu lat płycie Islandka nie ma zamiaru przypodobać się słuchaczom. To płyta wyzwanie. Jest to opowieść o wspólnotowej naturze sieci grzybów (uproszczając, odpowiednik naszego Internetu) i osobistych doświadczeniach Björk. Wokalistka bowiem żegna się jako córka ze zmarłą matką, a jako matka żegna się z córką opuszczając rodzinny dom. Jednocześnie tworzy muzyczne ilustracje wielu rodzajów miłości

i sposobów ich wyrażania. Używa do tego zaskakujących form dźwiękowych, łącząc m.in. klarnetowy sekstet, wielogłosowe śpiewy z napastliwymi rytmami muzyki gabber (135 – 145 BPM), najbardziej agresywnego podgatunku techno.

Tę płytę jest bardzo łatwo odrzucić. Jeśli jednak oddamy się we władanie Björk, to czeka nas wprawdzie niełatwa muzyczna przygoda, ale z pewnością bardzo emocjonalna. Tych 13 utworów prowadzi nas od straty i żalu, przez samo uzalanie, do dotarcia do miłości i nadziei. W finałowym utworze, „Her Mother's House”, Björk wysłała córkę Isadorę w świat, błogosławiąc ją słowami: „Im bardziej cię kocham / Im więcej wolności ci dam / Tym łatwiej przetrwasz”. ©©



★★★★★
BJÖRK
„FOSSORA”
ONE LITTLE INDIAN



★★★★★
WILKI
„WSZYSCY MARZĄ O MIŁOŚCI”
AGORA

Wilki świętują 30-lecie istnienia, wydając ósmą płytę, która jest przewidywalna do bólu. No – stalgiczne balladki o trudach „nastoletniej” miłości mieszają się z chłopackimi wzdychaniami do wolności. Dziesięć piosenek skrojonych pod radio, które i tak będzie wołało stare hity.



★★★★★
NOCNY KOCHANEK
„O JEDEN MOST ZA DALEKO”
MYSTIC

Zdrzycy metalu, wykorzystując metalowe klisze od Van Halen do Metaliki, tradycyjnie kpią z moralności i poprawności, tarzając się w erotycznych i alkoholowych przekroczeniach. Fani przy piwku będą zachwyceni, ale ta prześmiewcza formuła wyraźnie utraciła powab nowości. ©©

Cyrkulacje dzisiejszego cyrku artystycznego

FOT. KRZYSZTOF RADZIŃSKI



Grzegorz Kondrasiuk

W trybie reaktywnym – do którego krytycy oraz użytkownicy mediów społecznościowych są przyzwyczajeni – umykają nam inicjatywy pozytywistyczne, procesy kulturowe oparte na długim trwaniu. Walczę z tymi tendencjami, dlatego czasem zdarza mi się pisać teksty afirmatywne. Upprzedzam: to będzie jeden z nich

artystów również jest z Ukrainy, tak więc niespodziewanie festiwal stał się miejscem polsko-ukraińskich spotkań na widowni i prezentacją „wschodniej szkoły” sztuk cyrkowych. To ekstremalnie wysoki poziom umiejętności oraz wciąż nieodeślone do lamusa założenie estetyczne, konieczność wytworzenia przepychu wizualnego. Oraz – spora dawka patosu...

Spośród festiwalu tanecznych, cyrkowych, pantomimy czy teatru ulicznego Cyrkulacje wyróżnia formuła konkursowa z wieloma nagrodami. Jest to jednak „konkurs z misją” – ponieważ cyrk artystyczny jest wciąż na dorobku. Oprócz wsparcia finansowego dla niezależnych artystów impreza ta ma założenia promocyjne: chce być trampoliną wysyłającą talenty z naszego kąta Europy na prężny i wiecznie głodny światowy rynek. Konkurs udowadnia, że stary dobry cyrkowy numer (oparty na

założeniu, że ma on przede wszystkim prezentować nadzwyczajne umiejętności) ma się świetnie i również nie zamierza odchodzić do lamusa. Dziś wspiera go jedna z późnych wnuczek cyrku, telewizja, bo numer świetnie można wyeksponować w formatach tzw. talent show. Ale Cyrkulacje są też pojedynkiem na poszukiwanie własnej formy wśród powtarzalnych wzorców ruchu, gdzie sportowy wyczyn schodzi na dalszy plan. Kto wygra tym razem? Zobaczmy.

W ubiegłym roku główną nagrodę zdobył Łotysz Aleksey Smolov występujący na kole Cyra. Koło Cyra to jeden z większych i bardziej efektownych przyrządów cyrkowych. To spora obręcz, o na oko dwumetrowej średnicy. Wprowadza ją w ruch artysta akrobata, który znajduje się wewnątrz niego, rozpięty rękami i nogami. Wirując nieraz z zawrotną prędkością, wykreśla figury w różnych

płaszczyznach, wzbudzając przy okazji grozę ryzykownymi nieraz figurami, np. zbliżając się do podłogi albo wchodząc w trajektorię ciężkiego rekwizytu. Tymczasem Smolov – mistrz ewolucji akrobatycznych – poszedł krok dalej. Wychojąc z koła Cyra, potraktował jego ruch jako okazję i do tańca, który można wykonywać w mikrosekundach możliwości otwierających się pomiędzy obrotami koła Cyra, i do manipulacji rekwizytem, który w jego rękach wyglądał na znacznie lżejszy... Na obecną edycję artysta powrócił razem z litewsko-łotewską grupą Taigi Cirkas (Konstantin Kosovec, Elena Kosovec, Aleksey Smolov), ze spektaklem „Up to this Point”. Grają tu akrobaci, ale także lina pionowa i Cyr – wykorzystywane poza schematami, tak jakby unieważnione zostały wszelkie odziedziczone sposoby robienia show z użyciem tych rekwizytów, a wyobraźnia powędrowała w świeże, odkrywcze regiony. Świat nowych gatunków, miesających cyrk, teatr fizyczny, teatr przedmiotu, taniec. Rzadkie to smaki, warto ich szukać. ©

CYRKULACJE
– WSCHODNIOEUROPEJSKI FESTIWAL
CYRKU WSPÓŁCZESNEGO
KONKURS ETIUD
29 WRZEŚNIA–9 PAŹDZIERNIKA,
LUBLIN
FUNDACJA SZTUKMISTRZE, CENTRUM
SPOTKANIA KULTUR W LUBLINIE



Wojna, czyli spacer po



Marek Jurek

Kontrofensywa ukraińska i rosyjska mobilizacja wprowadziły wojnę w nową fazę. Czy to świt przerwania walk czy ich eskalacji?

Mocarstwo może przegrać wojnę, nawet okupując terytorium przeciwnika. W pierwszej wojnie światowej nie naruszo- no niemieckich granic, a mimo to Niemcy ponieśli bezprecedensową klęskę. Choć jednak rząd księcia Maksymiliana Badeńskiego dążył do zawieszenia broni, choć dowództwo armii wiedziało, że wojna

jest już przegrana – trzeba było rewolucji, by rozwiązać ręce dążącym do pokoju politykom. Rewolta na uniwersyteckich kampusach i na ulicach amerykańskich miast zmusiła również Stany Zjednoczone do zaniechania obrony Republiki Wietnamu. Czy na coś podobnego można liczyć dziś?

Być może mobilizacja wywoła społeczne wstrząsy, z nadzieją rejestrujemy ich wszystkie potencjalne sygnały. Strzelaninę w punkcie poboru w syberyjskim Ust-Ilimsku, „klasówkowy” bunt uczniów w Chabarowsku, antyputinowską deklarację opozycyjnych radnych jednej z rad dzielnicowych w Petersburgu. Jak do tej pory największym antywojennym ruchem społecznym okazała się jednak ucieczka poborowych za granicę, a nie sporadyczne, izolowane protesty. Być może rosyjskie

sfery gospodarcze, świadome katastrofalnych skutków „ekonomii wojennej”, będą kontestować eskalację, być może politycy przeciwni izolacji Rosji od świata będą próbować zmiany władzy. Nadzieje na to ostatnie oparte są na przekonaniu, że Rosja musi uczestniczyć w międzynarodowych strukturach współpracy, nie biorąc jednak pod uwagę, że w Rosji w elitach (szeroko rozumianej) władzy są również tacy, którzy chcą po prostu reguły współpracy międzynarodowej obalić. Dlatego pobór, który w planie osobistych rządów Putina można traktować jako akt desperacji – w szerszym planie rosyjskiej polityki może mieć swoją logikę. Dla tych, dla których świat „wielobiegunowy” to nie tylko hasło kontestacji porządku międzynarodowego, lecz także realny postulat jego całkowitej zmiany. Obalenia tych reguł, które – nomen

Ukraińskie czołgi wjeżdżają do Kupiańska, który został odbity z rosyjskich rąk, 28 września 2022 r.

FOT. IVAN CHERNICHKIN/ZABORONA/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

grani

omen – można nazwać atlantyckimi; nie od NATO, ale od ogłoszonej w 1941 r. Karty atlantyckiej.

TAKO RZECZE FIODOR ŁUKJANOW

Żeby lepiej zrozumieć tę perspektywę, warto posłuchać Fiodora Łukjanowa. Ten liberalny imperialista i zwolennik „suwerennej demokracji”, wyglądający na profesora literatury z prowincjonalnego uniwersytetu na środkowym zachodzie USA, wydawca „Russia in Global Affairs”, od lat stara się elegancko tłumaczyć Zachodowi polityczne roszczenia Kremla. Również w czasie obecnej wojny. Z melancholią pisze, że „cała historia ludzkości sprowadza się do ustanawiania granic i prób ich przekraczania, dosłownie i w przenośni”. To, że o tym zapomnieliśmy, jest pokłosiem złudzeń, które zaczęły się rodzić pół wieku

temu i przetrwały upadek Związku Sowieckiego. Ich początkiem był Akt końcowy helsińskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w którym – szczerze oświadcza Łukjanow – „w istocie chodziło o podział sfer wpływów między ZSSR i USA, oparty na uznaniu istniejących granic, tak formalnych (narodowych), jak i nieformalnych (politycznych). Przy czym w tej drugiej sferze był pewien niuans: Moskwa zgodziła się na »trzeci koszyk«, czyli górnolotne zasady humanitarne, co otworzyło wyrwę wewnątrz granic politycznych. To zaś odegrało pierwszoplanową rolę później, szczególnie w zaostrzeniu kryzysu systemu sowieckiego”. Potem „konfrontacja przekształciła się w próby przekroczenia niewidzialnych granic mentalnych i ideologicznych” i „jakkolwiek do tego doszło, system przestał funkcjonować. To, co teraz widzimy, pokazuje, że problem granic wraca w swej wersji najbardziej klasycznej. Rosja próbuje rozwiązać problem granic mentalnych i ideologicznych, modyfikując granice terytorialne”.

Łukjanow pisze jak Kissinger, ale jego postulaty to po prostu rewitalizacja doktryny Breżniewa. Nie jest optymistą, jeśli chodzi o (żywione przez polityków, takich jak Emmanuel Macron) nadzieje na rekonstrukcję porządku międzynarodowego w drodze negocjacji. Umowy helsińskie bowiem „nie ustanowiły status quo, ale je uznały. Dziś nie mamy czego formalizować, bo wszystko się zmienia. [...] Świat przeżywa nieprawdopodobnie niebezpieczny okres, który od wszystkich działających podmiotów domaga się maksymalnej ostrożności i pełnej świadomości konsekwencji swoich działań. [...] Tymczasem nie pojęliśmy jeszcze w pełni niebezpieczeństwa. Czas je sobie uświadomić, zanim będzie za późno”.

Droga do pokoju prowadzi według Łukjanowa przez ustępstwa wobec Rosji, w czym miał rację Macron, gdy mówił, że Putin nie może tej wojny przegrać. I wydaje się, że w stanowisku tym Łukjanow jest bardziej szczerzy niż cyniczny. Reprezentuje opinię tej części elit rosyjskich, które zadowalał „nacionalizm meblowy”, zabiegi o dobre i wygodne „miejsce przy stole” międzynarodowych rokowań. Dziś widzą, że sam stół się może rozpaść. Tym niemniej, wykladając założenia polityki rosyjskiej, Łukjanow dobrze opisuje jej głębokie tendencje. W jednym z ostatnich wywiadów (dla prasy francuskiej) mówił zresztą, że Rosja jest „moralnym zwycięzcą” wojny na Ukrainie, gdyż jej działania

obnażyły „izolację Zachodu”, który ma przeciw sobie „całe globalne Południe”.

„WIELOBIEGUNOWOŚĆ”, CZYLI ZIEJĄCY CHAOS

Tak jak złamanie zasady nierozpo-
wszechniania broni jądrowej dało podsta-
wę do silniejszych zabiegów o „wielobie-
gunowość”, tak jej użycie może być aktem
fundacyjnym nowego „wielobiegunowego”
świata. Cóż ta wielobiegunowość oznacza
w praktyce? Wojciech Golonka pisze, że
„utrzymanie bądź podważenie amery-
kańskiej hegemonii”. Po co jednak używać
takich relatywistycznych eufemizmów? To
tak, jakby politykę Hitlera sprowadzać do
walki o „podważenie powersalskiej hege-
monii Francji i Wielkiej Brytanii”. A prze-
cież chodziło o nieco więcej niż tylko
o zastąpienie w życiu umysłowym Woltera
– Spenglerem, a w porządku międzynaro-
dowym Imperium Brytyjskiego – pewnie
równie liberalnym Imperium Nordyckim.
Nawet jeśli politycy są cyniczni, to kultura
czy kontrkultura, którą reprezentują, ma
konsekwencje uniwersalne, a analiza
polityki powinna je odślaniać.

„Wielobiegunowość” to uczynienie
biegunami porządku międzynarodowego
państw takich jak Chiny komunistyczne,
Iran czy sama Rosja. To panowanie już
mniej lub bardziej niedoskonałych zasad,
które ich promotorzy musieli szanować
choćby częściowo – ale po prostu rehabi-
litacja czystej przemocy i przymusu w po-
rządku międzynarodowym. Z obietnicą
ładu ukształtowanego przez ich równowa-
gę sił. Tak naprawdę ta „wielobiegunowość”
to wielość jednobiegunowych światów na
naszej planecie, w których każde z mniej-
szych lub większych mocarstw może robić
nie tyle to, co robią Stany Zjednoczone
(choć to również), ale przede wszystkim
to, co sami Amerykanom przypisują. Żeby
zrozumieć tę dystynkcję, wystarczy przy-
pomnieć sobie to, co w czasie aneksyjnego
orędzia Putin mówił o precedensowym
(jak sam podkreślił) użyciu broni nuklear-
nej przez Amerykę.

To tylko dygresja, ale istotna. Perspek-
tywa narodowa nie polega na przeko-
naniu, że skoro wszyscy mają własną,
to nikt nie może dzielić naszej, więc
jedyną rozsądną polityką jest możli-
wie najdalszy izolacjonizm. Interesy
i tendencje narodowe, choć odrębne,
często bywają zbieżne. Polska odzyskała
niepodległość dzięki zwycięstwu Stanów
Zjednoczonych w czasie zimnej wojny, co
nie znaczy, że sam fakt amerykańskiej

przewagi (zawsze przecież ograniczonej, nawet jeśli się ją nazwie „hegemonią”) jest wystarczającą gwarancją naszej niepodległości czy bezpieczeństwa.

NUKLEARNA „DEESKALACJA”

Rosyjscy zwolennicy eskalacji z zachwytem przyjęli aneksję wschodniej Ukrainy. Nie dlatego, by miało to ułatwiać w przyszłości wasalizację całej. To oczywiście niemożliwe, choć różne rzeczy mogą być przedmiotem woluntarystycznej politycznej wiary. W istocie jednak chodzi o coś innego: o spalenie mostów, o decyzję, która przedłuża wojnę, o torpedowanie nawet teoretycznych możliwości praktycznego kompromisu (bo trudno zawierać rozejm z „agresorem” na „rosyjskim terytorium”), o krok od „operacji specjalnej” w kierunku wojny totalnej i państwa stanu wyjątkowego. Eskalacja bowiem pociągnąć musi również zmiany w polityce wewnętrznej. Rosja najlepiej wie, że skuteczne prowadzenie wojny wymaga też gotowości tłumienia społecznego niezadowolenia. To zaś otwiera drogę do spełnienia oczekiwań tych, którzy uważają, że i w sprawach społecznych czas, by Rosja przestała udawać Zachód i psuć życie społeczne pozorami tolerancji.

Użycie broni atomowej otwierałoby drogę do takiego przełomu. Rosyjscy zwolennicy tej opcji uważają, że nie musi to oznaczać końca świata, tylko koniec epoki, którą chcieliby zamknąć. Nawet w oficjalnej doktrynie wojskowej (pisanej w języku „liberalnych imperialistów”) użycie bomby atomowej traktowane jest jako krok „deeskalujący” niekorzystnie rozwijający się dla Rosji konflikt. Zakładają, że Zachód nie zdecyduje się (a w każdym razie nie musi się zdecydować) na adekwatną odpowiedź. Błędem byłoby więc rozpatrywanie tej możliwości wyłącznie jako przejawu ślepego uporu jednego człowieka i jego zastraszonych popleczników. Dla wszystkich, którzy w Rosji marzą naprawdę o konfrontacji z Zachodem, którym nie chodzi o pozory „wielobiegunowości”, ale o realne rzucenie wyzwania Stanom Zjednoczonym, którzy chcą serio wznowić doktrynę Breżniewa, czyli „odzyskać prawo” do najazdów na sąsiednie państwa, użycie broni jądrowej może być decydującym krokiem w tym kierunku. W końcu broń atomowa mogła przez pół wieku strzec powojennego układu sił właśnie dlatego, że została „precedensowo” (jak mówił Putin) użyta.

Ani nie jest prawdą, że egzaltacja jest jedyną formą solidarności, ani że solidarność dyspensuje od odpowiedzialności

Dla nas – żeby po tych ogólnych rozważaniach przejść do spraw najważniejszych, do niepodległości i bezpieczeństwa Polski – to iście diabelska alternatywa. Z jednej strony, w wypadku zastraszenia Zachodu, prowadzi do zapaści w geopolityczną próżnię. W drugim, w wypadku „adekwatnej odpowiedzi”, oznacza eskalację, która może zmienić Polskę w nuklearne pobojowisko. Wojna to spacer po grani między tymi dwiema przepaściami.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ NARODOWA

W tej sytuacji polska polityka powinna uświadomić sobie, że Rzeczpospolita jest jedyną instancją, która może działać w celu ochrony długofalowego bezpieczeństwa kraju i społeczeństwa. Nie chodzi o udawanie, że wojny nie ma, o odsuwanie wyzwań, które potem trzeba podjąć w większej skali, o ignorowanie geopolitycznych problemów, które nabrzmiewają. Chodzi po prostu o takie działania, które chroni Polskę przed ponoszeniem nieproporcjonalnych kosztów kolektywnej polityki.

Zwolennicy nastawienia egzaltacyjnego uważają, że program uczynienia z Polski chorążego wszelkiego, postulowanego i jeszcze niepostulowanego, zaangażowania mogą krytykować tylko ci, którzy uważają, że należy Ukrainę pozostawić samą sobie, bo ta wojna nas nie dotyczy. Ta opozycja jest tyleż wygodna w ignorowaniu zastrzeżeń i krytyki, co zupełnie politycznie fałszywa. Przypomnę tu stanowisko, którego bronię od początku, od ubiegłego roku, od momentu koncentracji wojsk rosyjskich na ukraińskiej granicy, wiele tygodni przed wybuchem wojny. Po prostu jako przykład podejścia, które przypomina przede wszystkim, że zaangażowanie w kolektywne przedsięwzięcia powinno odpowiadać proporcjom wysiłku i ryzyka, powinno zachowywać narodową odpowiedzialność.

Od początku kryzysu, bo wiele tygodni przed wybuchem wojny, zacząłem powtarzać, że choć trzeba zrobić, co można, by wojnie zapobiec, to w wypadku jej wybu-

chu musimy zająć solidarne stanowisko z całym Zachodem, zbliżone do amerykańskiego, ale nie wybiegające przed szereg, bo to nie my rozstrzygniemy o wyniku tej wojny. Powinniśmy na forum NATO popierać wsparcie Ukrainy, ale w ramach szerszego nastawienia wspierających ją państw, a nie – jak pisałem już w grudniu – jednostronnie „żądając »jeszcze większych« sankcji czy zgłaszając inne postulaty, których nikt nie zamierza podjąć”. A już zupełnie nieracjonalne byłoby wyprzedzanie stanowiska amerykańskiego.

Nasz rząd postanowił jednak działać zupełnie inaczej, najpierw ogłaszając, że jesteśmy „reżyserem sankcji”, wzywając publicznie (jak prezydent Duda w Stanach Zjednoczonych), by „nie bać się” Rosji (czyli wojny nuklearnej), domagając się kontynuacji wojny aż do wydania i Norymbergi Putina, a w końcu – na planie bardziej materialnym – podejmując (niczym demonstracyjne narodowe samookaleczenie) jednostronne „sankcje” energetyczne wobec Rosji, zanim inni się do nas przyłączyli.

Podkreślając, że wojna obniża bezpieczeństwo Polski i całego regionu, a Rosja pokoju nie chce – pisałem też o tym, że jedyną drogą do przerywania działań wojennych jest militarna presja. Szczególne znaczenie przypisywałem tu zapowiadanej wiosną, a realizowanej od paru tygodni ukraińskiej kontrofensywy. „Optymalny scenariusz wojny – pisałem już w czerwcu – to udana ukraińska kontrofensywa, która [...] nakłoni Rosję do wycofania się na linie przerywania ognia sprzed 24 lutego i do podjęcia rozmów pokojowych. Tak w przybliżeniu może wyglądać bardzo wymagający scenariusz odparcia agresji. W sytuacji podziałów politycznych w łonie Zachodu to on mógłby stanowić wspólny horyzont polityki NATO”.

Przypominam to, bo ani nie jest prawdą, że egzaltacja jest jedyną formą solidarności, ani że solidarność dyspensuje od odpowiedzialności. Presja jest konieczną przesłanką pokoju, bo wszelkie próby mediacji – od Macrona do Erdoğan – rozbiły się o wojenne nastawienie Putina. Co nie zmienia faktu, że presja musi mieć polityczny cel. I o ile wymaga kolektywnego wsparcia dla Ukrainy, o tyle potrzebuje uczestników, a nie chorążych. I nie potrzebuje egzaltacji, która wypycha Polskę na pierwszą linię konfliktu, a dodatkowo utrudni nam (psychologicznie i politycznie) udział w pokojowych rozstrzygnięciach, gdy przyjdzie ich czas.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DZIENNIKARSKI POKER



od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Zapraszają:

Poniedziałek - **Adrian Stankowski**

Wtorek - **Tomasz Sakiewicz**

Środa - **Adrian Stankowski**

Czwartek - **Piotr Lisiewicz**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Bombowa sprawa

FOT. HANDOUT/DANISH DEFENCE/APP/ISTOCK NEWS



Łukasz Warzecha

Możemy nigdy się nie dowiedzieć, kto wysadził gazociągi na Bałtyku. Możemy też jednak przeanalizować, kto miałby z tego największą korzyść

Do prawdopodobnego sabotażu gazociągów Nord Stream (uszkodzona jest również jedna z dwóch nitek NS2) doszło dwa tygodnie temu. Nadal nie wiemy, kto się go dopuścił, i zapewne nieprędko się dowiemy. Pewne natomiast wydaje się, że był to skutek profesjonalnej akcji wyspecjalizowanych służb. Jej skutkiem jest ucięcie dostaw rosyjskiego gazu do Europy północnym połączeniem bezpośrednio do Niemiec, do Greifswaldu, gdzie następnie gaz płynął do rurociągów NEL i Opal. Nie była to jedyna droga potencjalnego dostarczania surowca do Europy – pozostają jeszcze gazociągi Jamał (biegnący przez Polskę) oraz Braterstwo (biegnący przez Ukrainę). Z oczywistych względów politycznych NS1 był jednak główną drogą przesyłania gazu z Rosji na Zachód. Korzystała z tego również w jakimś zakresie Polska. Po tym, jak odmówiliśmy płatności za rosyjski gaz w rublach, zrywając tym samym przedwcześnie rosyjski kontrakt (i tak kończący się w tym roku), korzystaliśmy nadal z tego samego rosyjskiego gazu, tyle że kupowanego znacznie drożej,

bo za pośrednictwem Niemiec – tam dostarczanego przez NS1, a następnie do nas rewersem przez gazociąg jamalski. To oczywiście teraz już niemożliwe.

Nie jest jasne, czy Nord Stream 1 i jego bliźniak będą się nadawały do użytku. Eksperci różnią się w ocenach. Niektórzy twierdzą, że w normalnych warunkach politycznych naprawa byłaby możliwa, ale w odległym terminie, mniej więcej ok. roku. Największym problemem może być wypompowanie działającej korozyjnie wody morskiej, która mogła także uszkodzić polimerową powłokę wewnątrz rur. Warunki jednak nie są normalne, a jeśli działania naprawcze nie zostaną rychło podjęte, uszkodzenia mogą się powiększać. Inni eksperci natomiast uważają, że zaatakowane rury nie będą już w ogóle nadawały się do użytku. Koszty przywrócenia połączenia poszłyby zapewne w setki milionów lub nawet miliardy dolarów, choć z punktu widzenia pieniędzy, o których mowa, przy sprzedaży gazu nie są to wciąż sumy porażające.

WZAJEMNE OSKARŻENIA

Trwa oparta na hipotezach i domniemaniach debata o tym, kto dokonał sabotażu gazociągu na dnie Bałtyku. To znaczy – trwa na Zachodzie, w tym w Stanach Zjednoczonych, bo w Polsce, zgodnie z obowiązującą narracją, z automatu większość mediów i polityków uznała, że oczywiste jest, iż zamach jest rosyjskiego autorstwa. To jednak bynajmniej nie jest pewne, aczkolwiek hipotetyczni sprawcy ograniczają się do dwóch państw: USA

i Rosji właśnie. Obie strony oskarżają się nawzajem.

Jak wygląda dyskusja na ten temat w Polsce, najlepiej pokazał przypadek Radostawa Sikorskiego, który wysłał słynny tweet „Thank you, USA”, sugerujący, że sabotażu dokonał Waszyngton. Z pewnością nie było to rozsądne zachowanie ze strony osoby publicznej, obecnego europosła i byłego ministra spraw zagranicznych. W przypadku braku dowodów osoby publiczne w takich sytuacjach powinny się powstrzymać przed wydawaniem sądów czy produkowaniem – jak to określił Sikorski – „roboczych hipotez”.

Jednak histeria, która wybuchła w Polsce po stronie rządowej wokół wpisu Sikorskiego, również wiele wspólnego z rozsądkiem nie miała. Kto zna byłego szefa MSZ, ten wie, że posadzanie go o bycie rosyjskim agentem wpływu ma tyle samo sensu, co wysuwanie takich oskarżeń wobec Jarosława Kaczyńskiego czy Antoniego Macierewicza. Sikorski jest natomiast chorobliwym egocentrykiem, który nie przepuści okazji, żeby wyskoczyć z przyciągającą uwagę deklaracją. I o nic innego tu najpewniej nie chodziło.

Jeśli idzie o czysto organizacyjną i techniczną stronę sabotażu, to obie strony miały sposobność i środki. Jak pokazują dane, w pobliżu miejsca sabotażu znajdowały się zarówno jednostki rosyjskie, jak i amerykańskie. Wskazuje się m.in. na obecność amerykańskich helikopterów wojskowych, a z drugiej strony – na odnotowywane od jakiegoś czasu loty rosyjskich dronów w rejonie Morza Północnego i Bałtyku. Trudno z tego wyciągnąć definitywne

wnioski, nie dysponując pełnymi danymi, które posiadają zapewne tylko wywiady i które zresztą i tak mają wyłącznie wartość poszlakową.

Faktem jest natomiast, że to z amerykańskiej strony padły jeszcze w lutym słowa przez wielu odczytywane jako groźba „unieszkodliwienia” rosyjskiego gazociągu, przy czym chodziło wtedy o NS2. Prezydent Joe Biden zapowiadał najpierw, że USA załatwią sprawę Nord Stream, a następnie, pytany, jak USA miałyby zadziałać w sprawie gazociągu należącego do innych państw, oznajmił enigmatycznie: „Obiecuję wam, że będziemy w stanie to zrobić”. Na tę wypowiedź powoływała się zresztą już po sabotażu Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ. Z drugiej strony amerykańska administracja oczywiście gorąco zaprzeczyła, żeby Waszyngton miał cokolwiek wspólnego z sabotażem, nazywając go „aktem terroryzmu”.

CZYJA KORZYŚĆ?

Pozostaje zatem skorzystanie z jednego z podstawowych kryteriów rozwiązywania zagadek kryminalnych, czyli pytania cui prodest selus, is fecit – zbrodnię ten popełnił, komu przyniosła ona korzyść. Tyle że i z tego punktu widzenia wynik jest niejednoznaczny.

Wbrew obowiązującej w Polsce narracji rosyjska wina wydaje się pod tym względem mniej prawdopodobna niż amerykańska. Rosja miałaby zaatakować własną i przez siebie współfinansowaną infrastrukturę, a tym samym straciłaby podstawowy sposób nacisku na postawę przede wszystkim Niemiec: dorozumianą obietnicę przywrócenia handlu gazem po korzystnych dla Berlina cenach w przypadku przeforsowania jakiegos układu pokojowego. Zwolennicy tezy o rosyjskim sprawstwie twierdzą, że w ten sposób Rosjanie unikaliby konieczności tłumaczenia się i szukania usprawiedliwień w razie kolejnych ograniczeń albo zamknięć dopływu gazu przez NS1, a nawet ewentualnego postępowania arbitrażowego, narażającego ich na kary. To jednak mało przekonujący argument. Szantaż gazowy ma sens, o ile jest dawkowany, czyli o ile można dopływem gazu sterować w zależności od zachowania drugiej strony. Rosjanie, wysadzając własny gazociąg, tracą tę możliwość. Przypomina to trochę sytuację, w której człowiek szantażowany wyciekami intymnych zdjęć sam je ujawnia i w ten sposób wytrąca szantażystom

narzędzie z ręki. Trudno też wyobrazić sobie w obecnych okolicznościach, żeby Gazprom podporządkował się jakimkolwiek orzeczeniom arbitrażowym.

Są jednak argumenty bardziej przekonujące. Siergiej Wakulenko, do lutego pracownik wydziału innowacji Gazpromu, a teraz niezależny analityk spraw energetycznych mieszkający w Bonn, w analizie opublikowanej przez Carnegie Endowment for International Peace, prestiżowy think tank, stwierdza, że wysadzenie gazociągów mogło być ostrzeżeniem wysłanym przez Rosję Zachodowi. Sygnałem pokazującym, że Moskwa jest w stanie osiągnąć europejskiej infrastruktury krytycznej i jeszcze bardziej zakłócić dostawy energii. Taka interpretacja pojawia się również w innych miejscach. Odnotowuje ją również polski Ośrodek Studiów Wschodnich, uznając wariant rosyjskiej dywersji za bardziej prawdopodobny, choć trudno właściwie stwierdzić dlaczego. OSW wspomina również, że przez NS1 gaz nie płynął już od kilku tygodni przed zamachem – co jednak nie oznacza, że winni są Rosjanie.

Warto także pamiętać, że dużej części rosyjskich działań nie można rozpatrywać według kryteriów tradycyjnej zachodniej racjonalności. Nawet sam atak na Ukrainę trudno jest według takich kryteriów uzasadnić. Rosjanie stosują czasem np. całkowicie bezproduktywną zemstę (stąd pozornie absurdałny zamachy na dysydentów cieszących się azylem na Zachodzie), można ostatecznie więc wyobrazić sobie, że podobna motywacja zadziałała i tutaj.

ARGUMENTY ZA SPRAWSTWEM USA

Co natomiast może przemawiać za sprawstwem amerykańskim? Tu argumentów jest więcej. Po pierwsze (wspomina o tym również raport OSW), to właśnie kwestia wytrącenia Rosji z ręki narzędzia nacisku na Niemcy. Skoro transferu gazu przywrócić się już nie da, to znika marchewka, którą Rosja mogła kusić Berlin i niektóre inne państwa, aby wywierały na Kijów nacisk w sprawie dogadania się z Rosją na warunkach Putina.

Po drugie, trwałe uszkodzenie NS1 oznacza straty dla Gazpromu, który za sprzedawany w Europie gaz inkasował przecież pieniądze. Zarazem ograniczenie możliwości kupowania gazu z Rosji wzmacnia uzależnienie od LNG importowanego do Europy m.in. z USA – czyli daje Ameryce konkretną korzyść ekono-

miczną. We wrześniu na nasz kontynent trafiło aż ok. 70 proc. eksportowanego z Ameryki LNG (4,37 mln ton), podczas gdy w lipcu było to 63 proc., a w sierpniu 56 proc.

Po trzecie, warto zwrócić uwagę, że uszkodzono nie tylko NS1, lecz także w połowie NS2. Trudno powiedzieć, czy pozostawienie w całości jednej nitki tego drugiego gazociągu było celowe czy też był to rodzaj wypadku służb specjalnych przy pracy. Dość, że w dużej mierze niewczy to niemieckie nadzienie na odbudowę w przyszłości dominacji nad kontynentem, opartej na najważniejszym dla Berlina fundamencie tanich surowców z Rosji. Dlaczego miałyby na tym zależeć Rosji, która zapewne wciąż traktowała Niemcy jako jeden z najmniej wrogich wobec siebie państw, trudno pojąć. Nietrudno natomiast wpasować takie działanie w strategiczną linię działań Ameryki, dążącej do maksymalnego osłabienia obozu rosyjsko-chińskiego, w którym wpływ Niemiec na europejską politykę był istotnym elementem.

Duże zaskoczenie, a nawet konsternację, wywołał prof. Jeffrey Sachs, który w Radiu Bloomberg oznajmił, że o wysadzenie gazociągów podejrzewa właśnie Amerykanów, być może we współpracy z Polską. Indagowany przez prowadzących rozmowę ekonomista wyjaśnił, że poza obecnością amerykańskich śmigłowców w rejonie przecieków i w czasie, gdy do nich doszło, opiera się na dziwnym komentarzu sekretarza stanu USA, Antony'ego Blinkena, który, mówiąc o zamachu na gazociąg, powiedział, że „to znakomita okazja, aby zakończyć uzależnienie od rosyjskiego gazu”. Sachs stwierdził, że to dość dziwny komentarz, jeśli mówi się o – jak to określił Biały Dom – akcie terroryzmu.

Zastanawiać może jeszcze jedno. Jeśli faktycznie polskie władze byłyby przekonane, że ataku na NS1 i NS2 dokonali Rosjanie, to czy przy swoim przewrażliwieniu nie powinny natychmiast podjąć działań w celu radykalnego zwiększenia ochrony naszych gazociągów, w tym Baltic Pipe? Tymczasem Baltic Pipe nie ma nawet zatwierdzonego planu ochrony i formalnie nie jest infrastrukturą krytyczną. Tę niefrasobliwość można tłumaczyć albo typowym dla Polski bałaganem, albo zakulisową wiedzą o tym, że za atakiem na trzy rury Nord Stream nie stoi nasz wróg, ale nasz sojusznik.

Jednak jak było naprawdę, możemy nie dowiedzieć się nigdy. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Lejek decyzyjny to ciekawa figura. Chodzi o to, że gdy się przegapi moment kluczowy, to w działaniu można wejść w takie coś bez możliwości cofnięcia się. Jest za późno. Co gorsza, lejek w miarę upływu czasu, szczególnie gdy się nie wie, że się w niego weszło, zawęża pole decyzyjne. A najgorsze jest to, że podmiot w lejku nie wie, co jest na wyjściu, czyli do której butelki przeznaczenia spadnie. A wiadomo, że spadnie, bo po to są lejki.

Dziś ten model warto odnieść do czasów covidowych „dni pierwszych”, kiedy praktycznie cała ludzkość weszła w spiralę podobnych działań, które doprowadziły w średnim horyzoncie do potwornych kosztów społeczno-gospodarczych.

Aby to przeanalizować, trzeba się mocno zanurzyć w nieliczne źródła, które wskazują, co się działo w tych „dniach pierwszych”. Jakie podejmowano decyzje? Kto je podejmował i na jakiej podstawie? Jakże były losy pierwszych kosztów domina, które pociągnęły za sobą następne, i jak to się różniło pomiędzy krajami? Gdzie były i jakie miały źródła podobieństwa i różnice strategii przyjętych przez poszczególne rządy? Wreszcie – przy tak dużych podobieństwach w działaniach – czy nie było jakiegoś centralnego ośrodka tym sterującego, wydającego podobne rekomendacje?

I jedno zastrzeżenie, zanim zacznę. Oczywiście jest wiele wersji scenariuszy „dni pierwszych”. Jedne z nich mówią, że wszyscy dali z siebie, co mogli, inne – że to globaliści wywołali i sterowali całym procesem, czego poszlaki rozrzućli w swych wcześniejszych zapowiedziach programowych. Ja zakładam tu wersję pośrednią, bo tylko na taką mam na razie dowody.

Co kluczowe dla świata i poszczególnych krajów decyzje były podejmowane w pośpiechu, przez nieformalne i niekompetentne grona, na podstawie głównie emocji, przeczuć i faktów medialnych. To wspólny element historii krajowych, które omówię w dalszej części. To kwintesencja covidowych początków – globalne w skutkach decyzje były podejmowane przez kilkuniosobowe grona, w dodatku samouczące. Demokracja w takich wypadkach nie ma procedur, droga na skróty zaś nie jest w żaden sposób mitygowana ustrojowo.

USA, CZYLI PARU KUMPLI PLUS BIG PHARMA

Historia wprowadzenia obostrzeń w Ameryce to jakiś koszmarny sen wariata. Kiedy niewątpliwie stymulowane wieści o tym, jak z wirusem walczyły Chiny,



Covidowy lejek



Jerzy Karwelis

Pandemia pokazała, że demokratyczna formuła władzy nie zdała egzaminu. Pogryzła nas w chaosie

zaczęły coraz bardziej emocjonować medialnie amerykańską publiczność, trzeba było coś zrobić.

Okazuje się, że zadziałało to tak: zięć Trumpa, Jared Kushner, zadzwonił do swoich kolegów ze wspólnej uczelni Wharton School, Nata Turnera i Adama Boehlera. Dlaczego do nich? No bo ich znał i ufał, że są na tyle rozsądni, że mu pomogą. Nat Turner zaczynał jako sprzedawca węży ogrodowych, założył agencję reklamową, którą sprzedał firmie Google za miliony, potem odstąpił za 1,9 mld dol. firmie Roche swoje oprogramowanie do dokumentacji elektronicznej związanej z onkologią. To tyle, jeśli chodzi o kompetencje medyczno-epidemiologiczne tego pierwszego. Drugi, Boehler, szefował Amerykańskiej Międzynarodowej Korporacji Finansowania Rozwoju, wcześniej – co było jego jedyną „kompetencją” – dowodził usługami dostawczymi Landmark Health – firmy, która uzupełnia podstawową opiekę lekarską.

Ta trójka „ekspertów” zamknęła się 12 marca 2020 r. w biurze zięcia Trumpa i zaczęła rozwiązywać problemy. W swojej książce „Breaking History: A White House Memoir” Kusher opisuje te pierwsze dni: „Gdy uporaliśmy się z niedoborem wacików i innych materiałów, stanęliśmy przed kolejnym problemem: potrzebą opracowania wytycznych dotyczących zdrowia publicznego”.

Następnie natrafiono na problem potrzeby jednolitych rekomendacji dla służby zdrowia. Tu już nasi eksperci uznali się nie za tak kompetentnych jak w sprawach organizacyjnych i rozpoczęło się dzwonienie po znajomych, nie po instytucjach odpowiedzialnych za zarządzanie zdrowiem publicznym. Całość procedury odbywała się w zachodnim skrzydle Białego Domu. Po zebraniu w ten sposób różnych rad oraz uwag i dołożeniu do tego dwóch decydentów z dziedziny zdrowia publicznego rozesłano pisma do instytucji opieki medycznej jako rekomendacje. Departa-

ment Zdrowia i Opieki Społecznej rozpo-
wszechnił rekomendacje już 13 marca
jako tajne. Konferencja Trumpa tego dnia,
wprowadzająca lockdown, była już zatem
musztardą po obiedzie. Naiwny prezydent
ogłosił wtedy „15 dni na spowolnienie
transmisji”.

Piętnaście dni. Klasyczny lejek. Wszyst-
ko zostało postanowione wcześniej,
w nieformalnym gronie, rekomendacje zaś
przedłożone prezydentowi do podpisu,
jako naukowe stanowisko, uzgodnione ze
wszystkimi świętymi odpowiedzialnymi za
zdrowie publiczne. W tych gronach, przed
tą decyzją, nie było fachowców od epide-
mii, zakaźników, żadnej mowy o jakiejś
specjalnej biologii nowego wirusa, która
wymagałaby tak drastycznych środków.

No, był jeden „fachowiec”. Ważna jest
tu postać jednego z dwojga decydentów
medycznych, którzy dołączyli do naszej
początkowej trójki. To dr Fauci, szef NIAID,
Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Za-
kaźników, doradca ds. zdrowia prezydentów
USA. Jest on uważany za spiritus movens
całej światowej pandemii, konsultanta dla
WHO, która sama z siebie była już źródłem
rekomendacji na skalę światową. Był on
i jest szczerym propagatorem wszelkich
obostrzeń, głównym promotorem szcze-
pień na skalę masową, ostatnio z bezczelną
szczerością oświadczającym, że nie badano
najnowszych szczepionek na okoliczność
ich działania, bo nie ma czasu. Co dodaje
szczególnego smaczku, jest on zamieszany
w prowadzenie zakazanych przez admini-
strację badań nad uzłośliwianiem istnieją-
cych wirusów, które były prowadzone m.in.
w niesławnym Wuhan. Jest podejrzewany
o spreparowanie koronawirusa w podle-
głych mu laboratoriach, czyli o przekrocze-
nie zakazu w tej sprawie wydanego jeszcze
przez prezydenta Obamę, na okoliczność
czego był przesłuchiwany w Kongresie.
Jedyną wątpliwością jest obecnie to, czy wi-
rus się wydostał z wuhanńskiego laborato-
rium przez przypadek czy z wyrachowania.

W końcu gdy nasza trójka zobaczyła, że
nie jest w stanie ogarnąć całości, zadzwoni-
ono do kolejnego eksperta. Był nim nie
byle kto, tylko Scott Gottlieb, kiedyś szef
FDA (instytucji publicznej odpowiedzialnej
m.in. za dopuszczanie do obrotu lekarstw
i szczepionek), ale jednocześnie członek
zarządu firmy Pfizer, późniejszy producent
szczepionek na COVID. Ten oczywiście
ucieszył się, że może pomóc. Ba – nawet
wskazał, że chłopaki się za mało starają,
i zarekomendował dociśnięcie śruby
obostrzeniowej. „Kiedy czujesz, że robisz

więcej, niż powinienes, jest to znak, że
robisz to dobrze” – powiedział Gottlieb.

Amerykańska historia dni pierwszych
to jakiś koszmarny kumoterstwo, braku
procedur i całkowitego pominięcia fachow-
ców, którzy nie tylko byli pod telefonem,
lecz także byli elementami procedur na
taki wypadek. Procedury zostały jednak
całkowicie pominięte.

Na końcu tej smutnej tragikomedii
mamy odpowiedzialność prezydenta. Nie
mam go zamiaru bronić, ale to, co mu po-
łożono na biurku, było w równym stopniu
szkodliwe jak indolentne. Ta rysa charak-
teru covidowych początków powtarza się
pod każdą, walczącą z COVID, szerokością
geograficzną.

EUROPA, CZYLI ZACZĘLI WŁOSI

W „dniach pierwszych” wszystko
decydowało się w czasie dosłownie kilku
dób. Kiedy jeszcze się wszystko ważyło,
w którą stronę to pójdzie, już 28 lutego na
północy Włoch Walter Ricciardi rozpoczął
masowe testowanie. Chińska ekipa zjawiła
się ze swoimi radami, jak walczyć z COVID,
i zaraz mieliśmy powtórkę z Wuhan, tyle że
już na gruncie europejskim.

Pamiętamy Bergamo i co się tam
działo. Wybuchła klasyczna sekwencja
zdarzeń – masowe testy zaczęły wy-
krywać coraz więcej zakażonych, z tych
cięższych chorych wwożono do szpitali pod
respiratorami w świetle kamer, potem
wywożono trupy w spektakularnym
konwoju, który transmitował cały świat.
Tydzień po takich przygodach Włosi
jako pierwsi od 8 do 10 marca wpro-
wadzili serię obostrzeń, cały zachodni
świat zrobił to kilka dni później.

W kwestii pandemicznych stosunków
Chiny – Włochy mieliśmy do czynienia
z dziwnym fenomenem. Najpierw
w lutym Włosi w ramach pomocy europej-
skiej przekazali Chinom środki medyczne
i pomoc. Następnie miesiąc później, w mar-
cu, Chińczycy przesłali środki medyczne
i pomoc... Włochom (przypomina to sytu-
ację, w której Polska przekazała Ukrainie
prawie pół miliona ton węgla, by później
od niej odkupić 200 tys. ton). Przesłanie
sprzętu, wraz z chińskimi poradami, jak
go stosować, to nie tylko wręcz fizyczne
zagwarantowanie sobie wpływu na rozwój
pandemii u Włochów, lecz także jego ema-
nacja na cały kontynent.

Wirus na pełnej petardzie wjechał do
Europy i przestał być egzotyczną zabawą
azjatyckich zamordystów. Ba, wytworzył
się mechanizm importowania rozwiązań

chińskich. Gdy się popatrzy na wykresy
zakażeń z tych czasów, to widać wyraźnie
„przekazanie pałeczki” w sztafecie covido-
wej. Dni okresu marzec–kwiecień 2020 r.,
kiedy Zachód decydował się na strategię
spłaszczania krzywej zakażeń za wszelką
cenę, to dni, w których dokładnie w Chi-
nach przestano chorować na koronawirusa,
a już na pewno na niego umierać. Do
zera. Chiny wyciągnęły wtyczkę z covido-
wego gniazdka dokładnie 17 kwietnia.

Strategia chińska została sprzedana
światu jako skuteczna, bo zahamowała
rozprzestrzenianie się wirusa, a w rze-
czywistości Pekin postawił na nabranie
odporności stadnej poprzez wstrzymanie
raportowania zakażeń i ograniczenia
testów. Tyle rola początkowa Włochów,
bardziej medialna niż tworząca standardy
strategii dla Starego Kontynentu.

WIEKA BRYTANIA, CZYLI SANITARYŚCI PRZEJMUJĄ WŁADZĘ

Zobaczmy, jak radzili sobie wyspiarze,
bo tam też było ciekawie. Wiemy dużo
dzięki temu, że jeden z graczy wąskiego
grona puścił farbę. To Rishi Sunak, szef
skarbu Wielkiej Brytanii. Jego rewelacje
zawdzięczamy temu, że Sunak startował na
niedawno opuszczone przez Johnsona sta-
nowisko premiera. I chciał wiele ugrać tym,
że był jedynym sprawiedliwym w okresie,
kiedy wszystko się decydowało. Z jego re-
lacji wynikają jednak rzeczy istotne, które
łatwo oddzielić od jego obecnej taktyki
wyborczej.

Narady na temat zdrowia odbywały się
oczywiście w gronie rządowym. I z począ-
tkowych propozycji panikarskiej taktyki
straszenia ludzi nie chciano skorzystać.
Wtedy zjawił się nieszczęsny Neil Ferguson
ze swoim zespołem z Imperial College ze
swoim modelem rozwoju pandemii, opisa-
nym w sławnym Protokole nr 9 z 16 mar-
ca 2020 r. Wówczas wszyscy spanikowali.
Decyzje przeszły od ciał rządowych do ciał
ekspertkich, głównie komitetu SAGE, który
jest grupą naukowców odpowiedzialną
za doradzanie rządowi w przypadkach
kryzysowych.

Powstałe tam rekomendacje oparte
były m.in. na modelu Fergusona, który
przewidywał, że bez lockdownów i obo-
strzeń umrze w krótkim czasie pół miliona
Brytyjczyków, z ostrymi interwencjami zaś
mniej niż 20 tys.

I takie rekomendacje wraz z tymi
zatrważającymi danymi przedstawiano
rządowi, który w całości je akceptował.
Ministerstwo zdrowia przedstawiało je

■ jako wynik analiz opartych na nauce, co nie było prawdą. W związku z tym rządem brytyjskim zaczął rządzić sanitaryzm.

Był to sanitaryzm w czystej postaci, gdyż element epidemiologiczny był tutaj jedynym czynnikiem decydującym. Nie koszty społeczno-gospodarcze takich decyzji. Rekomendacje naukowców nigdy nie były przeliczane na koszty. Liczył się efekt sanitarny, sprzedawany pod hasłem, że jeśli wszyscy się pochorują, to będzie to o wiele gorsze dla ekonomii niż zamknięcie (wtedy tak myśłano) gospodarki na dwa-trzy tygodnie.

Kolejnym ważnym elementem był wyraźny wpływ na decyzje rządowe opinii publicznej. Johnson, który zwlekał przez kilka dni z wprowadzeniem obostrzeń, został odsądzany od czci, był medialnie ogłoszonym mordercą z krwią na rękach. Wielka Brytania na początku przeciągała decyzję o wejściu w lejek. Potem nagle oduściła i podażyła głównym nurtem obostrzeń. Zdaje się, że ta decyzja nie była powodowana wyłącznie ekspertyzami naukowymi, ale głównie pragnieniem załagodzenia społecznego buntu wobec tego, że Albion robi inaczej niż inne kraje, co oznacza, że swą niezrozumiałość (?) ślamazarnością powiększa ofiary pandemii.

FRANCJA, CZYLI TROP GLOBALISTYCZNY

Zajrzyjmy też nad Sekwanę. Oto główni aktorzy: Rada Ochrony Zdrowia (rada obrony i bezpieczeństwa narodowego odpowiedzialna za podejmowanie decyzji kryzysowych związanych z ochroną zdrowia). Jej obrady były tajne, a jej członkowie nie ponosili odpowiedzialności prawnej za podejmowane decyzje.

We Francji zachowano pozory legalności i rzeczowości podejmowanych decyzji. Rząd ogłosił obostrzenia 12 marca, dzień po tym, jak pandemię ogłosiła WHO. W telewizyjnym oświadczeniu z 12 marca 2020 r. prezydent Francji Emmanuel Macron zapowiada zamknięcie żłobków, szkół i uniwersytetów. Pracownicy są zachęcani do pracy zdalnej. Ministerstwo zdrowia zwraca się z prośbą o przenoszenie mniej pilnych interwencji chirurgicznych.

Podczas przemówienia nadanego 16 marca 2020 r. o godz. 20 w telewizji państwowej Emmanuel Macron ogłasza lockdown. Po południu zwołuje w Pałacu Elizejskim Radę Obrony w ograniczonym składzie. Sześciokrotnie podkreśla, że „Francja jest w stanie wojny” z COVID-19.

Po przemówieniu prezydenta minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner precyzuje w nocy z 16 na 17 marca instrukcje, które mają wejść w życie 17 marca 2020 r. o godz. 12. Jako pierwszy używa on określenia „confinement” (lockdown).

Wydaje się to typowym wejściem w lejek, ale mamy tu do czynienia z ciekawym aspektem różnicującym. Od początku, od ogłoszenia przez Macrona „wojny z COVID”, mamy w jego przypadku do czynienia z szerszym kontekstem pandemii. Jest to echo globalistycznych narracji, że COVID to dobry pretekst do resetu, który ma przeformułować dotychczasowy stan świata. Prezydent Francji ciągle o nim mówi. „Grand Basculement” jest praktycznie w każdym jego przemówieniu. Antyglobaliści mają tu używanie, bo narracja wielkiej pocovidowej zmiany jest tak nachalna i odpowiadająca podejrzewaniem globalistów o złe zamiary, że wygląda na to, iż władze Francji chcą zrealizować te zamierzenia. Stąd bardzo ostre podejście do egzekwowania covidowych obostrzeń i jednoczesna gwałtowna reakcja dymiących tłumów na ulicach.

POLSKA, CZYLI OLABOGA

Mieliśmy zajrzeć do nas, do Polski. Jak to u nas było. Było po polsku. Czyli ratuj się, kto w Boga wierzy. Właściwie decyzje podejmowało kilkuosobowe grono, do czasu powołania Rady Medycznej przy premierze mieliśmy do czynienia z małą grupą: premier, minister zdrowia, główny inspektor sanitarny. Co do jądra decyzyjnego, to lekarzy było niewielu, epidemiologów zaś zero. A było kogo się spytać. Rządził de facto szef GIS, pan Pinkas, który poczuł siłę i sam się chwalił, że (na tak mało eksponowanym stanowisku) nadziedziczył jego czas, by się mógł wykazać.

Początki pandemii to przeciąganie liny pomiędzy tym wąskim gronem a Narodową Radą Rozwoju przy prezydencie i jej sekcją zajmującą się zdrowiem. Coś takiego, jak w przypadku SAGE w Wielkiej Brytanii. Tu jednak sytuacja wyglądała odwrotnie niż na Wyspach. Tam władzę przejęła grupa naukowców nielicząca się z gospodarczymi i społecznymi kosztami decyzji. W Polsce decyzjami kluczowymi dla kraju zajęli się urzędnicy. Potem doszli do nich zakaźnicy, ale ci nie podźwignęli tematu. Trzeba rozumieć, że ta grupa specjalizacji dotąd zajmowała się biegunkami, czasem HIV, częściej leczeniem wirusowego zapalenia wątroby. Czyli chorobami

powolnymi, „nudnymi”, szlampowymi. A tu przyszedł taki wirus o piorunująco szybkim działaniu i nie bardzo było wiadomo, co zrobić.

Polska w pierwszych dniach COVID to u decydentów kompletny blamaż. Decyzje podejmowano nie na podstawie badań czy modelowania innego niż potwierdzającego przyjętą tezę. Były poetyckie nawoływania, że należy wzmocnić wspólną pracę, a o rozmiarach transmisji wirusa decydowano na podstawie medialnych doniesień z kraju i zagranicy. Potem doszły jeszcze rekomendacje z WHO, które stały się biblią polskiej strategii. Rozdźwięki między rządem a Radą przy prezydencie zaczęły zanikać, coraz więcej jej członków przechodziło na stronę covidowej mocy. W końcu został tylko dr Jerzy Milewski, jako jedyny chyba bezkompromisowo dopominający się o unaukowanie podstaw podejmowanych decyzji (za co dostał podziękowanie w postaci niekontynuowania współpracy z nim na kolejną kadencję).

Naprawdę w Polsce rządziły wrażenia medialne, nie przeprowadzano praktycznie żadnych analiz. Pozostaje otwarte pytanie: Co wybraliśmy z obostrzeniowego menu tak źle, że zmarło u nas praktycznie najwięcej ponadnormatywnych ofiar?

Mógł być to śmiertelny koktajl teleporad, triazu szpitalnego, ujednolicienia szpitali, wywalania z oddziałów, przerywania kuracji, zaciągania długu zdrowotnego. Wsparty rozstrojem systemowym służby zdrowia i demoralizacją jej pracowników poprzez dodatki covidowe, w które wyposzczona służba zdrowia chciała grać na całego.

Najgorsza z polskiej specyfiki covidowej jest jednak pogarda. Inne kraje chociaż milczą nad tymi trumnami. My, ustami ministra zdrowia, przekonujemy, że Polacy w COVID sami się pozabijali w liczbie 200 tys. głów, prowadząc niezdrowe życie. To prawda. Bo jak można się zdrowo prowadzić, skoro jeśli zachorujesz, to cię służba zdrowia nie przyjmie, nie zdiagnozuje, nie poleczy?

WNIOSKI, CZYLI WŁADZA A PANDEMIA

Poznaliśmy już szczegóły, pora więc na wnioski. Po pierwsze, we wszystkich krajach widać znaczący wpływ mediów na kształtowanie podstawowego paliwa pandemii, czyli strachu.

Mamy tu dwie możliwe wersje motywacji, w dodatku wzajemnie niewykluczające się. Jak już pisałem w poprzednim artykule,

mamy do czynienia z właścicielskim połączeniem mediów i Big Pharmacy, a więc „grzanie” tematu było w interesie tego duetu. Po drugie, nie dość, że Big Pharma dużo płaciła mediom za podtrzymywanie strachu, to głównym klientem mediów w sprawie covidowej były budżety rządowe. Te wszystkie akcje „zostań w domu”, „dystansuj się”, „maseczkuj”, „dezynfekuj”.

Jednak na początku media jechały „za darmo”, w celach sensacyjnych, czyli monetyzacji widowni. W dodatku to ciekawy moment, bo na początku bagatelizowały sprawę (wraz z późniejszymi jastrzębiami sanitaryzmu) i przekonywały, że to kapiszon, jak z tą ptasią grypą. Ale potem nagle, prawie w ten sam dzień, na całej planecie, przełączyły wajchę na odwrotny bieg, który był utrzymywany praktycznie do końca, jeżeli w ogóle można mówić już o „końcu” pandemii.

Dlaczego to ma znaczenie? Ano dlatego, że w większości znanych mi przypadków nie tylko politycy (co zrozumiałe) podejmowali decyzje na podstawie stanu świadomości społecznej wtedy panikowanej na potęgę przez media, lecz także robili to... doradcy, którzy mieli przecież reprezentować walor naukowej perspektywy, a mieli wyłącznie medialną. W przypadku polityków to zrozumiałe, bo ci wiszą w demokracji liberalnej na sondażach i jak suwenir sobie coś tam nawet ubzdura, to trzeba na to poważnie odpowiedzieć. W socjologii jest takie pojęcie jak społeczny dowód słuszności, co oznacza, że jeśli najbardziej poronione zachowania społeczne mają duże zasięgi społeczne, to jest to fakt społeczny. Prawda czy rozsądek nie mają tu większego znaczenia. Politycy o tym wiedzą i wiedzą, że muszą się do tego dostosować. Inaczej polegą. A to oznacza, że interesem bujają media, a politycy muszą odpowiadać na medialnie wygenerowane zapotrzebowania. W COVID była to potrzeba zapewnienia natychmiastowego bezpieczeństwa, wygenerowana przez indukujące społeczną panikę media.

Kolejna rzecz, która wyszła, to to, że żadne ustrojowe hamulce czy mechanizmy nie są w stanie powstrzymać władzy, która chce podzielać na skróty. Wystarczy tylko nadzwyczajna okoliczność i nawet nie zgoda, ale bierność suwerena. A to pokazuje, że przedstawicielski charakter władzy jest już minioną ułudą. Dlatego społeczeństwa zachodnie, wierzące wciąż w mit, że ich wybrańcy reprezentują ich wolę, a nie interesy elit, miały (i wciąż mają) duże zaufanie do dowolnych posunięć władzy.

Przecież oni to my, to dlaczego mieliby nam robić źle? Widocznie tak trzeba, bo im tam „widniej”.

I teraz te wszystkie konstytucje można sobie wsadzić do autoklawu i zdezynfekować. Żadne tam umowy społeczne, kompromisy nie miały znaczenia – jeśli zdecydowano przykręcić śrubę, to już na całego. Walono po łbie niemaseczkujących się, wywalano z roboty nieszczepiących się, zamykano konta z pieniędzmi kierowcom ciężarówek. System ironicznie zwany demokracją liberalną pokazał swoją prawdziwą twarz. Była to twarz uśmiechniętego premiera Kanady Trudeau. Uśmiechniętego nie dlatego, że jest sympatyczny, ale

Głównym celem władzy w tak nietypowej sytuacji jest jedno – pokazać spanikowanym, że „coś” się robi

dlatego, że wyraża kwintesencję zglobalizowanej demokracji liberalnej: „Mamy gdzieś waszą wolność. I co nam zrobicie?”.

Władza funkcjonująca, odwrotnie od opozycji, zawsze poszerza swoje działania poza ramy konstytucji. Ale w covidowych czasach to już była jazda po bandzie. I muszę powiedzieć, że mam wrażenie, że się spodobało. Władzy. Gdy się ogląda te decydujące głosowania w poszczególnych parlamentach, te śmiałe skoki na główkę bez wody, z krawędzi lejka, to widać, że postarali się w „dniach pierwszych” wszyscy. I rządzący, i opozycja. Wszędzie. Dali mandat do działań nieograniczonych władzy wykonawczej. A tu jest jak u Suworowa – rubel za wejście, dwa ruble za wyjście. Czyli dać łatwo, ale odebrać ciężko.

Kolejny wniosek to sama władza. Jest ona w obecnych czasach sprawcza, ale nie decyzyjna. Jak widać, łatwo przenieść ośrodki decyzyjne poza nią, w nieformalne ciała. Wystarczy tylko ją do tych decyzji przekonać (choćaby na zasadzie omówionego wyżej mechanizmu medialnego oddziaływania na wywoływanie nastrojów społecznych), a ta użyje swojej sprawczości, czyli zrobi to, do czego jest powołana – wdroży swoje (?) decyzje w życie.

Lejek ma też swoje polityczne konsekwencje. Władza nie może się przecież przyznać, stanąć w prawdzie i powiedzieć: „Pomyliliśmy się”. Bo za negatywne skutki swej pomyłki może politycznie wiele za-

płacić. A więc się brnie. Brnie w lejek, czyli pogarsza się sytuację. Tak to jest w lejku, jeśli się szastasz i szarpiesz, to szybciej się osuwasz. Stąd te eskalacje, kiedy już wszystko wiadomo, że to nie działa, wprowadza się coraz ostrzejsze posunięcia, kompletnie nieadekwatne do sytuacji. Bo głównym celem władzy w tak nietypowej sytuacji jest jedno – pokazać spanikowanym, że się „coś” robi. Że się działa, próbuje. I to jest prymarne w stosunku do tego, czy to działa. Akt jest kluczowy sam w sobie, pokazywanie, że władza nie śpi, walczy, a co będzie – sami zobaczymy, bo nikt nie wie.

Stąd ta ekwilibrystyka, zaprzeczanie logice. Najważniejsze stają się wtedy samoobronne cenzurowanie innych opcji tłumaczenia rzeczywistości oraz nachalna propaganda własnej wersji. Tak, to władza, nie chcąc przyznać się do błędów, staje się źródłem autorytarnej cenzury. To wcale nie chodzi o to, żeby jacyś antyszczepionkowcy nie namówili na śmiertelne zdjęcie maseczek chorowite babcie. To chodzi o to, żeby nikt nie pokazał, że król jest nagi, a więc wszelkie palce na to wskazujące będą ucinane. W interesie władzy, nie pandemicznych obaw populacji.

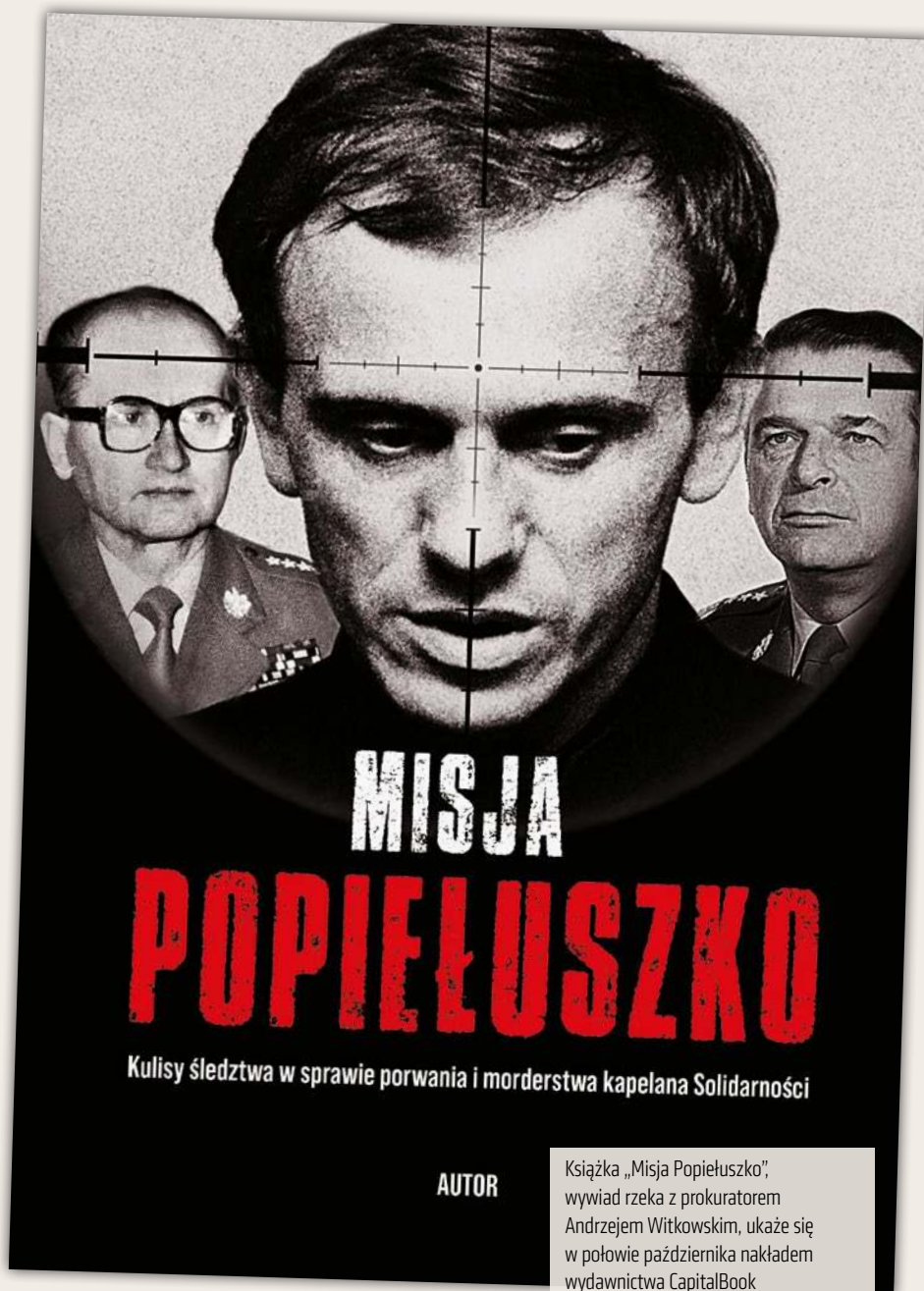
To pokazywanie, że robimy „coś”, musi mieć swoją drogą jakiś widowiskowy charakter. A więc ma być widać, że władza się stara. Stąd w wielu przypadkach „widowiskowe” obostrzenia. To stąd nasz bohater, wspomniany szef GIS, się wygadał, że maseczki mają głównie charakter sygnału psychologicznego, że wirus wciąż jest aktywny. Nosiliśmy więc maseczki nie w celu spowolnienia transmisji, ale by sobie nawzajem pokazać, że wirus jest wśród nas, i nie powstrzymywać transmisji zarazków, ale właśnie transmitować wirus paniki.

W sumie straty społeczne i gospodarcze to jeden z wyników kosztów tych działań. Można zrozumieć, że nikt z władz nie mógł ich przewidzieć, choć dobrego świadectwa to władzom nie wystawia. Okazuje się, że praktycznie na całym świecie. Ale nikt nie zastanawia się, że się okazało, iż ta formuła władzy (głównie w liberalnej demokracji, bo tam szalał wirus zaimportowany z autorytarnych Chin) nie zdała egzaminu. Ujawniły się systemowe problemy z omijaniem ustalonych reguł, nawet ustanowionych na sytuacje nadzwyczajne. Co oznacza wielkie wyalienowanie się władzy od woli ludu wyborczego. I najgorsze jest to, że lud tego nie widzi, co się musi władzy szczególnie podobać. Każdej.

RYSZARD GROMADZKI: Z jakiego powodu w pana ocenie nie ma woli politycznej, żeby zakończyć śledztwo w sprawie porwania i morderstwa ks. Popiełuszki? Skąd ta powściągliwość władzy, jeśli chodzi o nastawienie do tego śledztwa?

PROK. ANDRZEJ WITKOWSKI: To jest sprawa bardzo złożona. Problem ma swoje zakorzenie jeszcze w roku 1991, kiedy po raz pierwszy mnie od tej sprawy odwoływano. To wtedy było kompletne zaskoczenie, na pewno dużo większe niż wówczas, gdy po raz drugi to nastąpiło w 2004 r., wtedy już nie było takiej wielkiej niespodzianki jak przedtem. Jakie były powody? Oczywiście jest to problem natury politycznej, na pewno nie prawnej. Śledztwo, które do tej pory jest otwarte, od 20 lat czeka na jakąś konkluzję, finał, taki czy inny. Dlaczego w taki sposób ta sprawa jest załatwiana? Wydaje mi się, że trzeba źródeł tego stanu rzeczy szukać w uwarunkowaniach mających decydujący wpływ na poglądy i oceny osób sprawujących urzędy publiczne w naszym kraju, wysokiej rangi politycznej, że właśnie tak postępują z tą sprawą i to jest taki nacisk z zewnątrz. W mniejszym stopniu chodzi tu o prokuratorów, którzy wpływem tym ulegli, sprawując nade mną w jednym i w drugim przypadku, w latach 1991 i 2004, zwierzchność służbową. Miałem na to dowody, jako że moje stanowisko oczywiście w prokuraturze podzielano i trudno było mówić o braku zgody na moją koncepcję dalszego prowadzenia śledztwa z przyczyn faktyczno-prawnych, tak bym to określił; poza tymi newralgicznymi okresami rozwalania sprawy w jednym i drugim przypadku, kiedy to wytaczano przeciwko mnie najcięższe armaty. Zarówno ustalane fakty, jak i prawne ich zakwalifikowanie stwarzały kodeksowe podstawy do tego, żeby postępować tak, jak w każdym innym śledztwie się postępuje. Czyli, skoro mam dowody, które w sposób dostateczny uprawdopodobniają, że dana osoba dopuściła się czynu zabronionego pod groźbą kary przez ustawę, to się stawia zarzuty, prawda? A te najwyraźniej były nie do przełknięcia dla kogoś, kto miał wpływ na działania prokuratury. Mówię o tym w sposób nieco zawołowany, ale jestem prawnikiem, nie politykiem.

Nie miał pan wrażenia, że cały scenariusz śledztwa, które miał pan nadzorować, jest już ustalony, że jego finałem nie może być pociągnięcie do odpowiedzialności dwóch kluczowych postaci, czyli Kiszcza i Jaruzelskiego, że rzecz się powinna skończyć na Płatku i Ciastoni, a wszystko po to, żeby uspokoić



Książka „Misja Popiełuszko”, wywiad rzeka z prokuratorem Andrzejem Witkowskim, ukaże się w połowie października nakładem wydawnictwa CapitalBook



Z prokuratorem Andrzejem Witkowskim, prowadzącym śledztwo w sprawie porwania i morderstwa ks. Jerzego Popiełuszki w latach 1990–1991 oraz 2001–2004 rozmawia Ryszard Gromadzki

Misja Popiełuszko

opinię publiczną, że coś się robi? Natomiast osoby, które prawdopodobnie – wszystko na to wskazuje – odegrały decydującą rolę w tym zabójstwie, miały pozostać bezkarne ze względu na immunitety, które nadała im III RP?

Panie redaktorze, ja przystępowałem do tej sprawy tak jak do każdego innego śledztwa, które prowadziłem wcześniej. Niezrozumiałe, wręcz niewyobrażalne dla mnie byłoby realizowanie czyichś tam scenariuszy czy opcji, typu: ten tak, ten nie, ten wątek ruszamy, a ten odpuszczamy. Dla człowieka normalnego parającego się moją dziedziną byłyby to strategia obca, a nawet wroga; a więc nie tylko, że jej nie zakładałem, lecz także w ogóle nie istniały dla mnie tym podobny dylemat czy też jakakolwiek obawa, iż może on się pojawić. Ja i moi koledzy z zespołu śledczego wykonywaliśmy po prostu naszą robotę. Na początku wystąpiły pewne perturbacje, niedopowiedzenia; widać było, że ktoś świadomego lub nieświadomego nie panuje lub nie chce panować nad sytuacją. Oto jakiś decydent, kiedy tylko przejąłem tę sprawę, łaskawie zaokrętował mi do grupy śledczej dwóch byłych funkcjonariuszy Biura Śledczego PRL-owskiego MSW, wówczas już UOP, jako że zostali pozytywnie zweryfikowani. W śledztwie w 1984 r. w sprawie zbrodni na ks. Popiełuszcze wykonywali oni czynności procesowe pod ścisłym kierownictwem towarzysza Kiszczaka. Ja na razie nic nie miałem skądinąd do obu panów, ale sorry, ludzie, wyrośłem już z ery zabaw w ciuciubabkę, klasy i chłopa. Więc szanujmy się, takiej układanki personalnej nie mogłem tolerować! Interes śledztwa w 1984 r. był skrajnie odmienny, ba, przeciwny interesowi postępowania, za które się właśnie zabierałem prawie sześć lat później. Z oboma panami pożegnaliśmy się więc szybko i tak za obopólnym, dodam, zrozumieniem, ale też Kiszczak (bo to on za tą układanką musiał stać) po raz pierwszy dostał ode mnie prztyczka w nos. Używając języka piłkarskiego, w śledztwie tym od pierwszego gwizdka miałem ciąg na bramkę i do tego grałem równo z trawą. Wie pan, byłem takim gościem, też w boiskowym slangu, „nie do przejścia”, w czym moi procesowi przeciwnicy – usadowieni w dawnych strukturach PRL-owskiego MSW, a teraz pozytywnie zweryfikowani przez klub legitymizowanych opozycjonistów – szybko się zorientowali. Z upływem tygodni sprawa zaczęła nam rozkwitać niczym majowe konwalie. Nie wyobrażałem sobie, powtarzam, żadnych scenariuszy. Proszę

skonkretyzować, jakie sytuacje miał pan na myśli, może wtedy coś mi zaiskrzy...

Takie, z którymi pan się finalnie zmierzył wskutek nacisków WSI w 1991 r., późną jesienią, kiedy okazało się, że jest jakiś próg, którego nie pozwolono panu przekroczyć.

Rozumiem, ale prowadząc śledztwo, o takich problemach nie myśli się za-wczasu. One się pojawiają, „taki mamy i taki mieliśmy klimat”, by zacytować powszechnie znaną przede wszystkim z tego stwierdzenia panią klasyk; inna sławetna madame fatale polskiej polityki, każąca tytułować siebie „pani ministra”, akurat w tym kontekście zgodziłaby się, że termin „klasyczka” by nie pasował. Takie przeszkody są po to, by je pokonywać, nie traktując ich jako przeszkod. Jeżeli trzeba zetrzeć kurz ze stolika, to się go ściera bez wyszukanej fabuły, filozofii. Powiem tak: w latach 80. nikt z przełożonych prokuratorów nie śmiał wchodzić mi w drogę, kiedy miałem zabójcę na oku, tak na wyciągnięcie ręki, gdy rysowała się koncepcja zakończenia sprawy. To były tematy nazbyt skomplikowane, by się wtrącać. Nie mieli, bo nie mogli mieć zielonego pojęcia o szczegółach, niuansach postępowania. Był od tego prowadzący śledztwo. Taka była moja rola; jeśli chodzi o decyzje personalne co do przyszłych podejrzanych, to mój głos był decydujący. Ufali mi i nigdy się na mojej pracy nie zawiedli. Można powiedzieć, że przełożeni w tych najtrudniejszych sprawach pomagali mi, a już na pewno nie kwestionowali moich postanowień. Tak zostałem mentalnie ukształtowany jako prokurator prowadzący śledztwa w sprawach o zabójstwa, dodam, że niemających politycznego podłoża. Ten model decyzyjny pozostał mi we krwi na zawsze. I trafnie pan podniósł poważny problem – przypominając mi go właściwie – który akurat w śledztwie dotyczącym kierowania wykonaniem zabójstwa ks. Popiełuszki pojawił się na samym początku. Wtedy – używając dla odmiany terminologii wojskowej – wziąłem go z marszu. Gdybym się nim przejął, dalszy rozwój śledztwa byłby niemożliwy. Ale oto ponownie zaistniał, ba, eksplodował z całą mocą, jak pan słusznie zauważył, jesienią 1991 r. Pokróćcie opowieść o tej pierwszej jego odsłonie, dotąd nieujawnianej. Otóż jest piątek 5 października 1990 r. Jesteśmy po wielu przesłuchaniach, mamy skompletowany materiał dowodowy dostarczający podstaw do przedstawienia zarzutów generałom MSW Władysławowi Ciasło-

niowi i Zenonowi Płatkowi. Czynności te zaplanowaliśmy na poniedziałek 8 października. Niezbędne dokumenty i druki protokołów przygotowane do poniedziałkowych działań. Pozostaje odliczanie czasu, mieliśmy po sześciu prawie latach dopełnić dzieła sprawiedliwości poniechanej w toku procesu toruńskiego. W grupie śledczej była wtedy pani policjantka z Lublina o imieniu Gertruda, z którą współpracowałem na bieżąco, prowadząc najcięższe śledztwa w sprawach o zabójstwa w latach 80. Była osobą niebywale dokładną i pracowitą, a jednocześnie bystrą babką. Sporządzane przez nią protokoły przesłuchań były, niemal każdy, kreatywne w treści, opływające w nowe fakty i okoliczności. Posiadała umiejętność ich wyciągania od świadków i podejrzanych w sposób zazwyczaj dla nich miły i sympatyczny. Jeśli trzeba było w jej odczuciu, to potrafiła tupnąć, nieźle zakląć, tak że najstarsze recydywiści oblewali się rumieńcami. No więc jest to piątkowe, słoneczne przedpołudnie, my w „blokach startowych” i wtedy Gerta mówi: „Słuchaj no, może byśmy tak podjechali do kościoła na Żoliborzu. Chciałabym wejść w tę poniedziałkową atmosferę, rozejrzeć się po okolicy”. „W porządku” – odpowiadam. I już za moment jesteśmy w drodze. Pomodliliśmy się u św. Stanisława Kostki i przed grobem księdza. Pospacerowaliśmy naokoło, po czym ok. godz. 11 jesteśmy z powrotem w departamencie prokuratury. Wpada do pokoju prokurator Gurgul, który był wtedy kierownikiem grupy śledczej. Jest, zupełnie jak nie on, straszliwie czymś podekscytowany, ze ściągniętymi policzkami, prawie błędnym wzrokiem. Huknął nieomal z wyrzutem w głosie: „Gdzie wyście byli?”. „No – powtórzył łagodniej – gdzie wyście byli? Czy wy wiecie, co tu się dzieje?”. Chwilę odsapnął, jakby nabrał powietrza. My z Gertą milczymy, czekamy na dalszy ciąg. W końcu prokurator Gurgul ochłonął, po czym wyrzucił z siebie wieść z piątkowego wydania breaking news. Powiedział tak: „Słuchajcie, jest zgoda na Płatka, ale nie ma zgody na Ciastonia”. Co ja słyszę? Jakby mnie ktoś obuchem między oczy zdzielił. Milczenie. Gerta w tym momencie siedzi za biurkiem i zaczyna sobie ładne buźki kobiecie rysować długopisem na kartce; miała taki zwyczaj w chwilach napięcia, że się w ten sposób wyłączała, intensywnie jednocześnie główkując. Nadal cisza. To był moment, a wydawało się, że ciągnie się z godzinę. Siłę się, by nie wybuchnąć.

■ Stały mi przed oczyma minione trzy miesiące pracy po kilkanaście godzin na dobę, poświęcone wakacje, urlop, odłożone sprawy osobiste i rodzinne. Wreszcie Gerta odsuwa na bok kartkę z buźkami, podnosi jakby w zwolnionym tempie wzrok znad biurka i mówi spokojnie, z takim przekąsem: „Panie Józefie, co pan pier....?”. Była więc taka chwila konsternacji, jakby nagle nasza służbowa misja w Warszawie miała zakończyć się u samego zarania.

Czy w toku pierwszego postępowania, które pan prowadził i nadzorował w sprawie ks. Jerzego, tych 17 miesięcy, między czerwcem 1990 r. a grudniem 1991 r., zaznaczony był wątek udziału służb sowieckich w porwaniu i morderstwie ks. Popiełuszki?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że po skompromitowaniu się przez funkcjonariuszy departamentu IV MSW próbą aresztowania księdza w grudniu 1983 r., po przeprowadzonej operacji znanej pod nazwą „Prowokacja na Chłodnej” – co skutkowało umorzeniem przez sąd w lipcu 1984 r. postępowania karnego przeciwko ks. Popiełuszcze na podstawie amnestii – tym razem sprawę księdza przejęli pod swój bezpośredni nadzór towarzysze sowieccy. 12 września 1984 r. pewien niezależny (sic!) dziennikarz Leonid Toporkow z pewnej niezależnej (sic!), wydawanej w Moskwie gazety o nazwie „Izwestia”, obwieścił początek decydującej, a zarazem ostatecznej fazy rozwiązywania „problemu Popiełuszki”. W paszkwilanckim tekście pt. „Urok nie wrok”, co po polsku znaczy: „Lekcja na darmo”, użył on przeciwko ks. Popiełuszcze najmocniejszych w komunistycznej agresywnej propagandzie oskarżeń. A więc w kościele na Żoliborzu miały odbywać się polityczne mityngi, będące prowokacją wobec Związku Sowieckiego, w celu zburzenia „przyjaźni” między Polską a narodami ZSRS, co w perspektywie miało doprowadzić do wystąpienia Polski z Układu Warszawskiego i RWPG. Ksiądz Popiełuszko miał blisko współpracować ze zdeklarowanymi kontrrewolucjonistami. Z wypowiedzi księdza miała bić, według Toporkowa, nienawiść do socjalizmu. Treść artykułu stanowiła aż nadto czytelny sygnał dla komunistów w Warszawie, a w znaczeniu dosłownym – dla rządzącej ekipy towarzysza gen. Jaruzelskiego, że dalsze blamaże w rozwiązywaniu „problemu Popiełuszki” nie będą przez Moskwę tolerowane. Tak więc ci ostatni radykalizują swoje działa-

nia, zarówno pod względem propagandowym – w czym Urban prześciga w swej zjadłości Toporkowa – jak i w realizacji celów przy użyciu służb specjalnych cywilnych i wojskowych. Tym razem to musi się udać, bo inaczej polecą w Warszawie głowy, i to jakie głowy! Towarzysze z KGB jak na gwizdek przystąpili w tym czasie do wzmożonego nadzoru nad działaniami nie kogo innego, jak... kpt. Grzegorza Piotrowskiego. Z jakichś powodów do niego żywili szczególne zaufanie. Kapitan zaczął być często nachodzony w swoim gabinecie przez płk. Siergieja Michajłowa – zastępcę szefa warszawskiej rezydentury KGB. Michajłow z ramienia KGB sprawował nadzór nad walką z Kościołem katolickim w Polsce. Wchodził do gabinetu Piotrowskiego, kiedy chciał, również wcześniej niezapowiedziany, pomijając wszelkie procedury i czujne spojrzenia pań sekretarek, które zdążyły nawiąknąć do tych niecywilizacyjnych nawyków. Przy czym fakty częstej bytności Michajłowa u Piotrowskiego akurat w okresie bezpośrednio poprzedzającym uprowadzenie księdza dowodzą, że sowiecka służba roztoczyła ścisły nadzór nad jego poczynaniami w tym zakresie, być może uzgadniając również to, czego do dnia dzisiejszego nie wiemy. Skoro w tym miejscu jesteśmy, powiem, że o charakterze ówczesnych kontaktów zastępcy szefa warszawskiej rezydentury KGB z Piotrowskim świadczy fakt, że w okresie kilku dni po śmierci ks. Popiełuszki towarzyszył płk Siergiej Michajłow został odznaczony oraz awansowany do stopnia generalskiego. Dokładnie w ten sam sposób wyróżniono płk. Witalija Pawłowa – szefa rezydentury KGB w Warszawie. To nie były przypadki, zbiegi okoliczności, lecz związek wynikania między przyczyną a skutkiem, oparty na zwyczajnym rozliczeniu: coś za coś. Nie sposób nie wspomnieć też o treści wyjaśnień towarzysza gen. Zenona Płatka, dyrektora departamentu IV, złożonych w toku śledztwa w 1990 r. Podał on, że osobiście dobrze znał oficjalnego w tamtym okresie rezydenta KGB przy ambasadzie sowieckiej w Warszawie, towarzysza Jewgienija Siemaszkę, którego przełożonym był wspomniany Siergiej Michajłow. Siemaszko utrzymywał oficjalne kontakty nie tylko z departamentem IV, lecz także z innymi. Także z nim kpt. Piotrowski miał kontakty szczególne, których charakteru możemy się domyślać. Co istotne, Płatek podkreślił, że nasilenie wizyt towarzyszy sowieckich w departamencie IV przypadło – co również wielce znamienne – na okres od końca

września 1984 r. do dnia zatrzymania płk. Adama Pietruszki 2 listopada 1984 r. Poszerzonego spojrzenia na interesującą pana kwestię dopełnią dwie informacje, udostępnione do publicznej wiadomości już w latach dwutysięcznych. Otóż na sali rozpraw Sądu Wojewódzkiego w Toruniu, w ławach dla publiczności, od początku procesu zasiadali na każdej rozprawie po jednym (wymieniając się) trzech akredytowani dziennikarze sowieckiej agencji TASS: Anatolij Szapowałow, Michaił Tretiakow i Aleksander Potiomkin. Do kiedy? Otóż do 11 stycznia 1985 r., w którym to dniu wyjaśnienia skończył składać oskarżony Grzegorz Piotrowski. Potem do końca procesu ani razu nie pojawili się w sądzie. Wyjaśnienia Adama Pietruszki, jako ostatniego z oskarżonych, nie były dla nich istotne. Nie śledzili więc procesu z dziennikarskiej powinności – ten się dopiero „rozkręcał” – w przeciwnym razie pozostałoby do jego końca. Oni pilnowali trzech oskarżonych o dokonanie uprowadzenia i zabójstwa księdza, by nie wyszli poza wyznaczone im do odegrania procesowe role. Z czyjego ramienia, domyślamy się. Jako pierwszy informację tę podał do publicznej wiadomości pan redaktor Piotr Litka. Pozostałoby jeszcze wspomnieć o ustalonym w 2004 r. funkcjonariuszu kontrwywiadu WUSW w Toruniu, który na bieżąco współpracował z przedstawicielem KGB mającym swą siedzibę w pobliskiej bazie wojsk sowieckich. W dość zagadkowy sposób „znalazł” on 25 października 1984 r. w miejscu innym niż te, które wskazywali oskarżeni jako związane z przetrzymywaniem przez nich uprowadzonego księdza, różaniec, który należał, według przeprowadzonych przeze mnie i funkcjonariuszy policji, dowodów do ks. Jerzego. Ten udokumentowany fakt prowadzący śledztwo w 1984 r. zataili, nie włączając dokumentacji oględzin miejsca wraz z samym różańcem do akt głównych postępowania przygotowawczego. Ukryli je w utajnionych aktach kontrolnych WUSW w Toruniu. Czy za faktem „znalezienia” różańca stały konotacje owego funkcjonariusza toruńskiej „dwójki” z oficerem KGB, z którym utrzymywał on stały, bieżący kontakt? Nie wiemy. Dlatego, że po raz drugi, w 2004 r., odebrano mi śledztwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Witkowski – prawnik, prokurator z wieloletnim stażem, specjalizował się w śledztwach o zabójstwa.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna bez pudru

Kompania braci” znów na polskim rynku! Jedną z najpopularniejszych książek historycznych świata wznowiło wydawnictwo Bellona. To opowieść o żołnierzach kompanii E 506. pułku piechoty spadochronowej 101. Dywizji Powietrzno-desantowej armii Stanów Zjednoczonych.

Stephen E. Ambrose rozmawiał z olbrzymią liczbą weteranów tego oddziału i na podstawie ich relacji napisał niesamowity historyczny reportaż. Losy oddziału możemy śledzić od szkolenia w Stanach Zjednoczonych, przez lądowanie w Normandii, aż do zajęcia Orlego Gniazda Adolfa Hitlera w 1945 r.

Ambrose stworzył niezwykle sugestywny, naturalistyczny obraz wojny. Widziany nie z perspektywy sztabu, ale zwykłych żołnierzy. Wojna została pokazana nie w konwencji czytanki dla harcerzy, ale w całym swoim koszmarnie. Na kartach książki są śmierć, pot, krew i łzy. I chyba to zapewniło „Kompanii braci” tak szaloną popularność.

„Ludzie mają już dość globalnego spojrzenia – pisał Ambrose. – Nie chcą po raz kolejny czytać o Eisenhowrze i Naczelnym Dowództwie, o prezydencie Rooseveltcie, jego sztabie i strategii. Chcą

poznać historię i doświadczenia poszczególnych ludzi, żołnierzy, lotników i marynarzy. Chcą wiedzieć, co robili i dlaczego”.

Książka jest jednym wielkim hołdem dla bohaterstwa i poświęcenia młodych żołnierzy z kompanii E. Ze szczegółami przedstawia ich liczne heroiczne czyny. Ambrose pisze jednak również o popełnianych przez Amerykanów zbrodniach wojennych. A więc o sprawach, które – gdyby to polski autor pisał o polskim oddziale – zapewne zostałyby wycięte przez nożyce patriotycznej autocenzury.

„Jeden z jeńców próbował uciekać. Guarnere wyjął pistolet i zastrzelił najpierw jego, a potem resztę jeńców. – Nie miałem i nie mam żadnych wyrzutów sumienia. To było proste jak rozdeptanie owada. No, teraz oczywiście jesteśmy już innymi ludźmi, niż byliśmy wtedy – powiedział po czterdziestu pięciu latach”.

Taka jest

wojna – ma swoje heroiczne, a także paskudne oblicze. Stephen E. Ambrose przedstawił oba. Właśnie ta szczerść i naturalizm zyskały jej miliony czytelników na całym świecie. I widzów. Bo na podstawie „Kompanii braci” powstał słynny serial Toma Hanksa i Stevena Spielberga. ©©



★★★★★
STEPHEN E. AMBROSE
„KOMPANIA BRACI”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Premiera Zielonego Balonika

Pierwszy polski kabaret literacki powstał w Krakowie, była to jednak impreza dostępna tylko dla zaproszonych, a każdy z obecnych mógł coś zaprezentować na scenie. Chętni musieli się jednak liczyć z faktem, że zasiadający na widowni artyści mogą ich wygwizdać. Zresztą obowiązywała zasada, że tych, którzy się obrażali, nie zapraszano więcej. Pierwszy historyczny wieczór miał miejsce 7 października 1905 r., a konferansjerem był przybyły niedawno z Paryża Jan August Kisielewski, który prowadził przedstawienie w stanie mocno nietrzeźwym.

„Znalazł się konferansjer na estradzie – wspominał Tadeusz Żeleński (Boy) – we fraku, w białych getrach i zaczął przemowę pół po polsku, pół po francusku. Wymyślał publiczności od bydła, jak przystało artyście w obliczu filistrów. [...] Od słowa przeszedł do czynów i rzucił się z gołymi rękami na »sytych burżujów«, których uosobienie ujrzał w pysznym grubasie, malarzu Stanisławskim. Olbrzym ten dobrotliwie rozbroił napastnika, [...] ale młody kabaret został bez widowej głowy. Resztę [czasu] wypełniły jakieś improwizacje, chóralne kurdesze, no i pijaństwo”.

Wieczory Zielonego Balonika odbywały się w jednej z sal Cukierni Lwowskiej Jana Apolinarego Michalika. Pomieszczenie było niewielkie, w spotkaniach mogło

uczestniczyć niewiele ponad sto osób. Początkowo imprezy organizowano w każdą sobotę po premierze teatralnej, później jednak znacznie rzadziej.

Artyści przynieśli sławę lokalowi i w całym Krakowie opowiadano o ich „orgiach” na Floriańskiej. Było w tym dużo przesady, choć – owszem – zdarzyło się, że „żona przyszedłszy dyrektora departamentu kultury omal, na jednym z wieczorów »Balonika«, nie urodziła w lokalu dziecka”, ale spotkania z reguły kończyły się „tylko” na solidnym pijaństwie. Zamknięty charakter imprez robił jednak swoje, bo tajemnica zawsze wzbudzała ciekawość.

Zielony Balonik istniał do końca 1912 r. i pozostał imprezą elitarną, jednak w jego ramach wystawiano też szopki satyryczne dostępne dla publiczności. Ostatnie dwie wydano nawet drukiem, ale bywają czasami mało zrozumiałe, gdyż dotyczyły bieżących spraw krakowskich. Dzięki satyrze ocalono Barbakan, który Jan Styka planował zamienić na salę wystawową dla przyszłej panoramy o bitwie pod Grunwaldem. Trzeba byłoby tylko przebudować „nieco” zabytek i „ozdobić” go szklanym dachem. Wbrew pozorom projekt miał szansę realizacji, gdyż malarz obiecywał miejskim urzędnikom odmalowanie ich konterfektów jako głównych bohaterów malowidła. Na szczęście na wysokości zadania stanął Zielony Balonik... ©©

Jak być królem



Teresa Stylińska

Początek panowania Karola, choć tak późny (a może właśnie dlatego?), wygląda na obiecujący. Jego postępowanie po śmierci królowej, jego spokój i widoczne, mimo opanowania, wzruszenie zostały przez Brytyjczyków dostrzeżone i docenione. Druga epoka elżbietańska dobiegła końca, Wielka Brytania zaś wkracza w nowy okres. Jaki on może być?

Dzieje Anglii obfitują w krwawe konflikty, wśród których niepoślednie miejsce zajmują zbrodnie dyktowane zawiścią między braćmi rywalizującymi o tron. Dzisiaj taka rywalizacja w ogóle nie jest możliwa – zasady sukcesji są nie do podważenia, a i tron nie stanowi pokusy takiej jak dawniej. Gdyby jednak w tej mierze cokolwiek mogło zależeć od Andrzeja, drugiego w kolejności syna królowej Elżbiety, jego starszy brat Karol nie byłby dzisiaj Karolem III, królem Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. Andrzej bowiem, choć trudno w to uwierzyć, dokładał niegdyś starań, by zablokować bratu drogę do tronu.

Te bez wątpienia sensacyjne informacje zawiera przygotowywana właśnie do druku biografia królowej Camilli – czy raczej Kamilli, zgodnie z zasadami językowymi stosowanymi do członków rodzin panujących – pióra Angeli Levin. Z fragmentów książki, publikowanych przez dziennik „Daily Telegraph”, wynika, że plan był następujący: Karola należało pominąć, tron obejmie William, jego starszy syn, a ponieważ jest nieletni, Andrzej, książę Yorku, zostanie regentem, by sprawować władzę w imieniu bratanka.

Pikanterii tym planom dodaje to, że Andrzej miał działać w porozumieniu z Dianą, ówczesną żoną Karola. Rozmówcy autorki książki twierdzą, że książę bardzo mocno naciskał, królowa jednak okazała się odporna na jego podszepty, choć z reguły, według wtajemniczonych, ulegała swemu średniemu synowi.

Plan był pełen słabych punktów, takich jak przeświadczenie, że kwestia sukcesji wyniknie, gdy William będzie jeszcze dzieckiem, i brak odpowiedzi na pytanie, co zrobić z Karolem. Dawno temu sprawę rozwiązałyby sztylet lub truziczna. Ale teraz? Rzecz jednak przede wszystkim w tym, że plan był czystą sztuką dla sztuki. Zasady sukcesji są niewzruszone i nie da się ich obejść: tron przejmuje najstarszy syn zmarłego monarchy (czy też córka, po zmianach wprowadzonych w 2013 r.).

Pozostaje zadumać się nad intencjami dwojga współczesnych spiskowców. Diana żywiła do męża żal, czemu przesyła nie raz i nie dwa dawła wyraz publicznie. A Andrzej? Według Angeli Levin obaj bracia nigdy nie byli sobie bliscy. Spokojny, poważny Karol, miłośnik książek i zgłębiania ważnych tematów, od ochrony przyrody przez architekturę

do kwestii religijnych, i Andrzej, żądny blichtru, rozrywek i pieniędzy, niewiele mieli ze sobą wspólnego. Paradoksalnie jednak Karol, uważany czasem za dziwaka i nudziarza, na tle brata bardzo zyskuje. To, co dawniej działało na jego niekorzyść, dla króla stanowi atut.

CZAS NIEZMARNOWANY

Książę Walii zatem od ponad miesiąca panuje jako Karol III. Nie sprawdziły się spekulacje, że może przybrać inne imię, zapewne jedno z tych, które otrzymał na chrzcie świętym: Karol Filip Artur Jerzy. Czemu miałby swoje zmienić? Imię Karol w odniesieniu do tronu niedobrze się kojarzy. Karol I Stuart, ofiara rewolucji Olivera Cromwella, skończył na szafocie jako jedyny angielski król. Jego syn i następca Karol II, choć starał się sprostać trudnym i burzliwym czasom, w których przyszło mu rządzić, jest dziś pamiętany raczej jako ojciec kilkanaściora nieślubnych dzieci i patron zabaw na dworze. Więcej Karolów nie było.

Karol III nie uległ presji negatywnych skojarzeń. Ma 73 lata, objął tron jako najstarszy król w historii Wielkiej Brytanii, w wieku dobrze ponademerytalnym. Parę lat temu skwitował tę kwestię z właściwym sobie poczuciem humoru, którego nie odmawiają mu nawet krytycy. – Osiągnąłem – powiedział – wiek emerytalny, a jeszcze nawet nie zacząłem pracować.

Ponad pół wieku w roli następcy tronu nie było jednak czasem zmarnowanym. Karol przez lata oczekiwania zbierał doświadczenia – nie tylko z pozycji bliskiego obserwatora pracy królowej, lecz także aktywnego praktyka. Robił to, co wszyscy tzw. working royals, czyli pracujący członkowie rodziny królewskiej, których codzienne zajęcia polegają na patronowaniu organizacjom, spotykaniu się z ludźmi, uczestniczeniu w uroczystościach państwowych, a także, gdy trzeba, reprezentowaniu kraju również za granicą. W ostatnich latach, w miarę pogarszania się stanu zdrowia królowej, Karol w coraz większym stopniu wchodził w swą przyszłą rolę. Również jako szef Commonwealthu, skupionej wokół Wielkiej Brytanii Wspólnoty Narodów.

Pierwsze tygodnie panowania, wypełnione przez czas żałoby i uroczystości pogrzebowe, nie mogły oczywiście dać odpowiedzi na pytanie, jakim królem okaże się Karol. Niemniej samo pytanie jest oczywiste. Więcej nawet, gdyby podsumować rozważania snute na ła-

mach mediów brytyjskich i światowych, właściwe byłoby raczej sformułowanie: Czy Karol będzie dobrym królem? Tylko co to właściwie znaczy?

TAK GŁUPI NIE JESTEM...

Szukanie odpowiedzi na to pytanie zakresła obszar, na jakim może poruszać się król, zarazem zaś podkreśla oczekiwania, dodajmy, że niemałe – bo Elżbieta II, w ślad za swym ojcem Jerzym VI, wysoko ustawiła poprzeczkę. Podsumujmy je zatem: król musi pamiętać, że pełni rolę służebną wobec swego kraju i narodu. Musi mieć świadomość, że stanowi zwornik i wymierny symbol unii, która łączy cztery części Zjednoczonego Królestwa: Anglię, Szkocję, Walię i Irlandię Północną. Nie może tracić z pola widzenia spraw Commonwealthu. Swą rolę zaś musi pełnić tak, by nigdy nie dawać powodu do podejrzeń, że popiera tę czy inną stronę. Musi zachować bezwzględna neutralność. Nie wtrącać się, nie wypowiadać, niczego nie sugerować.

Tu właśnie kryje się sedno problemu o wymiarze osobistym, wobec którego stoi król Karol. Chodzi o to, czy człowiek przyzwyczajony do żywego angażowania się w sprawy, które uważa za ważne, angażowania wykraczającego czasem poza dopuszczalne granice, zdoła powściągnąć swe zapęły i zapanować nad chęcią zabrania głosu. Jako następca tronu również nie powinien być tego robić – a jednak niekiedy lekceważył rygory – i to z nie najgorszym skutkiem.

Doskonale ilustruje to historia tzw. black spider memos, memorandumów czarnego pajaka (jak złośliwie nazwano nieczytelne bazgroły księcia), czyli listów Karola do premiera Tony’ego Blaira i ministrów jego rządu. W 2015 r., za zgodą sądu, o którą walczył przez kilka lat, opublikował je dziennik „Guardian”. Dzięki temu czytelnicy dowiedzieli się, że następca tronu udziela ministrom rad i indaguje ich w sprawach, które nie leżą w jego kompetencjach. Chce na przykład wiedzieć, czy żołnierze brytyjscy w Iraku są należycie wyekwipowani, czy nie należy dać zielonego światła medycynie alternatywnej, co rząd zamierza zrobić w sprawie pasz modyfikowanych genetycznie i dlaczego zaniedbuje budownictwo i ochronę krajobrazu.

Opinia publiczna miała prawo być oburzona. Nie była – bo ludzie dostrzegali, że pytania księcia dyktowała troska. Ze spokojem i zrozumieniem przyjęto przedstawione przez jego biuro wyjaśnienie, że

■ pisał on do ministrów dlatego, iż sprawy kraju niezmiernie leżą mu na sercu.

Co jednak wolno – w ostateczności – następcy tronu, na to pod żadnym pozorem nie może pozwolić sobie król. Karol III jest świadom ograniczeń. – Gdy przejmę moje nowe obowiązki, moje życie oczywiście się zmieni – zwracał się do narodu w swym pierwszym wystąpieniu, dzień po śmierci Elżbiety II. – Wiem, że nie będę już mógł poświęcać tyle czasu i energii organizacjom i sprawom, które są mi tak bardzo drogie...

Król Karol powtórzył więc, ujmując ją w bardziej oględne słowa, deklarację, którą złożył w filmie, który telewizja BBC przygotowała z okazji jego 70. urodzin. – Sądzić, że objąwszy tron, będę postępować dokładnie tak samo jak teraz, to kompletny nonsens – oznajmił krótko. I dodał: – Tak głupi nie jestem.

KROK NA RZECZ UNII

Granice, choć na polu społecznym wcale niełatwe do precyzyjnego zarysowania, są jednak jasno wytyczone, gdy chodzi o funkcjonowanie kraju i monarchii. Jeżeli król ma być królem dla wszystkich, to musi stać ponad podziałami, tak by każdy z poddanych mógł się identyfikować i z nim samym, i z monarchią jako taką. W przeciwnym wypadku król nie będzie mógł być symbolem jedności, nie będzie służył zasympywnianiu podziałów wyniesionych z przeszłości. Stosunki między Anglikami, Szkotami, Walijczykami i Irlandczykami ciągle przecież pełne są punktów zapalnych, złe wspomnienia nie gasną, rozpad kraju zaś nie materializuje się wprawdzie, wisi jednak w powietrzu. Opowiadanie się po którejsz ze stron jakiegokolwiek sporu wytrąciłoby zatem monarchę z jego konstytucyjnej roli.

Pod tym względem Elżbieta II stanowiła wzór niedościgniony. Nigdy ani słowem nie dała poznać, po której stronie sytuuje swe sympatie polityczne. Nie mówiła o nich ani publicznie, ani podczas cotygodniowych spotkań z premierami. W przełomowych chwilach, gdy ważyły się losy kraju – przed referendum brexitowym czy w sprawie niepodległości Szkocji – i gdy musiała zabrać głos, robiła to, zawsze jednak apelując po prostu o głosowanie z rozsądku i w poczuciu odpowiedzialności.

Weźmy przeprowadzone w 2014 r. referendum szkockie. Apelowanie do Szkotów, by pozostali we wspólnym państwie, wydaje się oczywiste. Dynastia Windsorów to przecież żywe wcielenie

Zapobieżenie rozpadowi państwa to jedno z najważniejszych zadań, które stoją przed królem Karolem

unii szkocko-angielskiej, w żyłach jej członków płynie zarówno krew władców Szkocji, jak i królów Anglii. Taki apel byłby jednak bardzo ryzykowny. W oczach separatystów monarchia definitywnie straciłaby wiarygodność. A przecież, o czym warto pamiętać, nawet oni są zdania, że niepodległa Szkocja mogłaby pozostać w unii personalnej z Anglią.

Zapobieżenie rozpadowi państwa to jedno z najważniejszych zadań, które stoją przed królem Karolem – i on oczywiście jest tego doskonale świadom. Nie przypadkiem w pierwszą swą podróż, gdy skończył się czas żałoby, udał się do Szkocji, zręcznie przy tym łącząc różne wątki. Karol i Kamilla w pierwszej kolejności odwiedzili bowiem Dunfermline, dawną szkocką stolicę, a przy tym jedno z miast, które z okazji platynowego jubileuszu królowej Elżbiety uhonorowano statusem „city”, wyższym od zwykłego „town”.

Przyjmowano ich z entuzjazmem. Królowa para – Karol oczywiście w klasycznym szkockim stroju – odwiedziła m.in. Dunfermline Abbey, miejsce pochówku siedmiu królów średniowiecznej Szkocji, w tym najważniejszego: Roberta Bruce’a, pogromcy Anglików w bitwie pod Bannockburn. Na ulicy oboje ściskali dłonie, rozmawiali z ludźmi i widać było, że Karol czuje się wśród nich doskonale. Pierwszy krok okazał się udany.

EPOKA KAROLIŃSKA?

Na tym nie koniec wyzwań. Kolejne stanowi Commonwealth, gdzie coraz silniej dają o sobie znać tendencje republikańskie. Czy Wielkiej Brytanii rządowi i królowi zależy na ich powstrzymaniu? Zapewne nie, bo więzy dawnych kolonii z dawną metropolią nie zależą od tego, czy brytyjski monarcha jest w nich głową państwa (w zdecydowanej większości nie jest). Co innego jednak, gdy pojawiają się żądania odszkodowań za czasy niewolnictwa. W kilku karaibskich państwach i państewkach takie żądania już słyhać i jest bardzo wątpliwe, czy królewskie wizyty są tu w stanie cokolwiek zmienić.

Początek panowania Karola, choć tak późny (a może właśnie dlatego?), wygląda na obiecujący. Jego postępowanie po śmierci królowej: czuwanie przy jej trumnie w Edynburgu i Londynie, ton wypowiedzi, w których podkreślał serdeczną więź z matką, przywiązanie do tradycji i świadomość wagi monarszych obowiązków, a przy tym jego spokój i widoczne, mimo opanowania, wzruszenie – wszystko to zostało przez Brytyjczyków dostrzeżone i docenione. W sondażach natychmiast odnotowano wzrost popularności Karola. Ponad 60 proc. poddanych darzy go szacunkiem i sympatią, oceniając, że będzie dobrym królem. To znacząca zmiana w stosunku do czasów całkiem niedawnych, gdy jako następca tronu Karol cieszył się popularnością na poziomie 40 proc., mocno w tyle za matką, a także oboma synami, Williamem i Harrym.

Księżę William – czy też Wilhelm, zgodnie ze wspomnianymi zasadami – już wyrasta na prawą rękę ojca. Niedawno, jeszcze za życia Elżbiety, we troje decydowali o rozwiązaniu trudnych i nieprzyjemnych spraw, wynikłych z postępowania Andrzeja i Harry’ego, dwóch czarnych owiec rodziny. To Karol podobno opowiadał się za traktowaniem obu bez taryfy ulgowej, za pozbawieniem ich tytułów i stopni oficerskich. Triumwirat, jak go wówczas określano, zmienił się wprawdzie w duet, Karol jednak z pewnością będzie mógł także liczyć na pomoc Kamilli, którą sama Elżbieta widziała w roli pomocy i podpory dla swego syna. Dlatego uznała, że Kamilla musi być królową.

Kolejnym zadaniem, które stoi przed nowym królem, jest doprecyzowanie roli monarchii. Docenia ją, a zatem również akceptuje, zdecydowana większość Brytyjczyków. Aby było tak nadal, wskazane są jednak pewne korekty. Jedną z nich może być zmniejszenie liczby working royals, czyli najściślejzego kręgu ludzi pełniących królewskie obowiązki. Król Karol planuje podobno ograniczenie ich liczby z obecnych 10 osób do siedmiu.

Tak czy inaczej, druga epoka elżbietańska dobiegła końca. Wielka Brytania zaś wkracza w nowy okres, który, trochę na wyrost, już nazywany jest epoką karolińską, zresztą także drugą. Pierwsza, czas panowania dwóch Karolów Stuartów, była czasem rewolucji i restauracji. Słynne słowa młodej Elżbiety, powtórzone przez króla Karola, sugerują, że druga epoka karolińska może być czasem zapowiadanej, świadomej służby.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



W ROSJI GŁOSÓW AŻ ZA DUŻO

W sfinansowanych referendumach na Ukrainie, w których mieszkańcy rzekomo mieli opowiadać się za przyłączeniem do Federacji Rosyjskiej, można było ukryć przed światem, kto i jak głosował. Jednak w rosyjskiej Dumie było o to już trudno. A tam głosowano po kolei aneksję czterech ukraińskich obwodów. I choć deputowanych na sali było 408, to za każdym razem głosów „za” było więcej (po kolei: 413, 412, 409 i 411). Przewodniczący Dumy Wiczesław Wołodin wytłumaczył to „usterką techniczną”.

Wasilij Nebenzia. Dziękował polskiemu politykowi za to, że napisał na Twitterze „Dziękuję USA” przy zdjęciu wysadzonych rurociągów Nord Stream 1 i 2. Odnosił się też do tego, że Sikorski swojego tweeta potem usunął. „Najwidoczniej zrozumiał, że napisał za dużo” – stwierdził Nebenzia.

MISTRZ SZACHOWY OSZUSTEM?

Całkiem niedawno światem wstrząsnęła wiadomość, że 19-letni Hans Moke Niemann wygrał z arcymistrzem szachowym Magnusem Carlsenem. Teraz świat znów jest wstrząśnięty. Śledztwo portalu Chess.com wskazuje, że Moke Niemann otrzymał nielegalną pomoc (komputerową) w ponad 100 rozgrywkach on-line w szachy – obejmowało to konkursy, w których były nagrody pieniężne.

NIEMIECKIE PRZEDSZKOLE LGBT

W Berlinie powstaje przedszkole „przyjazne LGBT”, w którym będą dawać dzieciom przykład tego, „jak to jest być gejem lub lesbijką”. Okazało się, że członkiem zarządu organizacji sprawującej nadzór nad takimi przedszkolami jest socjolog Rüdiger Lautmann nazywany „obrońcą pederastów”. Był zaangażowany m.in. w promowanie wniosku o uchylenie kary za akty seksualne z dziećmi przed

14. rokiem życia. Miał też być zaangażowany w powstanie broszury w 1997 r., w której pisano, że seksualne akty między dorosłymi a dziećmi są „zasadniczo afirmowane”.

SIKORSKI CYTOWANY W ONZ

Słowa Radosława Sikorskiego, polskiego europosła, cytowane były podczas spotkania w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. A cytował je ambasador Rosji

KUP PAN OKULARY MORDERCY

Niejaki Taylor James zajmujący się w kanadyjskim Vancouver sprzedaż przedmiotów związanych z morderstwami i mordercami ujawnił prasie, że dzięki serialowi Netflix o psychopacie Jeffreyu Dahmerze sprzedał za ogromną cenę okulary, które do niego należały. Podał też, że ma jeszcze jedną parę, którą wycenił na 150 tys. dol. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ciężkie życie na kredycie

Banki centralne stoją w obliczu nie do pozazdroszczenia zadania. Próbuje powstrzymać najwyższe tempo wzrostu cen od dziesięcioleci, a jednocześnie starają się to zrobić bez wywołania recesji, wysokiego bezrobocia, szybkiego wzrostu kosztów obsługi zadłużenia państw, załamania na rynku kredytów i innych finansowych demonów.

O tym, że recepty na finansowy sukces w obecnych czasach można że świecą szukać, świadczy choćby rozpiętość między stopami procentowymi w samej tylko Europie Środkowej. W Polsce, wbrew oczekiwaniom większości anality-

ków, mimo wysokiej inflacji Rada Polityki Pieniężnej postanowiła w październiku pozostawić główną, referencyjną stopę procentową na poziomie 6,75 proc. Tymczasem Narodowy Bank Węgier (MNB) po 17 podwyżkach z rzędu referencyjną stopę procentową podniósł pod koniec września do poziomu aż 13 proc. Kto ma rację? Na razie nie wiadomo, bo podwyżki stóp, które zazwyczaj działały, tym razem nie działają.

W jeszcze gorszej sytuacji znajduje się zwykły Kowalski. Szybki wzrost stóp procentowych oznacza nie tylko wyższe raty kredytów hipotecznych, lecz także

piekielnie wysokie oprocentowanie na kartach kredytowych. W Polsce przekracza ono już 20 proc. w skali roku. Dużo łatwiej niż zwykle jest więc wpaść w spiralę zadłużenia, której synonim nie bez powodu brzmi „pętla zadłużenia”.

Cytowani przez Bloomberg'a statystycy ostrzegają, że już ok. 60 proc. Amerykanów z długiem na karcie posiada tego rodzaju zadłużenie od co najmniej roku. W niektórych przypadkach dług powstał przez niespodziewane zdarzenia, ale w większości przypadków respondentenci mówią wprost, że wpadli w długi, bo coraz droższe jest zwykłe, codzienne życie. © ©



Tęczowi „banderowcy”

Część polskiej prawicy obawia się, że Ukraina pod wpływem wspierającego ją Zachodu stanie się „forpocztą globalizmu”, „przedmurzem lewactwa” w tej szerokości geograficznej. Przecież praprzyczyną wojny był Euro-majdan. Czyli rewolucja w obronie prozachodniego kursu państwa. Ukraińcy, jako chyba jedyny naród na świecie, umierali za Unię Europejską z hasłem „Ukraina ce Jewropa (Ukraina to Europa)” na ustach. Rosja zaatakowała, żeby realizację tego kursu uniemożliwić. Czy to oznacza, że na Ukrainie toczy się wojna pomiędzy globalizmem i lewicowym liberalizmem z jednej strony a konserwatyzmem z drugiej? Moskwa bardzo chciałaby, aby w tę uproszczoną wizję uwierzyli



Maciej Pieczyński

Kijów woli podpisać „cyrograf” z zachodnią lewicą niż paść ofiarą moskiewskiego imperializmu. Dlatego ukraiński patriotyzm staje się coraz bardziej tęczowy. Również ten neobanderowski. A to wszystko zasługa Putina

zarówno ukraińscy, jak i zachodni (w tym polscy) konserwatyści. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona. Ukraina musi przyjąć lewicowe wartości Zachodu, żeby utrzymać swoje prawicowe wartości.

Spory światopoglądowe nad Dnieprem nigdy nie były tak gorące jak nad

Wisłą. Oczywiście środowiska skrajnie lewicowe próbowały forsować swoją agendę, a narodowcy (tak się składa, że neobanderowcy) stawiali im opór. Ale to był margines debaty. Zwłaszcza w ciągu ostatniej dekady Ukraińcy mieli poważniejszy problem niż rywalizacja



Parada gejowska w Kijowie w 2021 r.

FOT. PAVLO GONCHAR/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

chiczo-ochłokratyczną tradycją bliżej im do wadliwej, ale jednak bardziej niż moskiewski autorytaryzm wolnościowej zachodniej demokracji.

PRAGMATYZM, NIE IDEOLOGIA

Gdy w 2013 r. Ukraińcy wyszli na ulicę z unijnymi flagami, ich celem był raczej „europejski dobrobyt” niż „europejskie wartości”. Zapragnęli „żyć jak na Zachodzie”. Do Polski i innych krajów unijnych wyjeżdżali nie po to, aby zawierać małżeństwa homoseksualne czy dokonywać aborcji, ale po to, aby znaleźć lepiej płatną pracę. Zachodni kurs Ukrainy miał charakter pragmatyczny bardziej niż ideologiczny. A jeśli ideologiczny, to w kontekście sprzeciwu wobec ideologii „rosyjskiego świata”.

Warto pamiętać, że w ZSRS związki homoseksualne były zakazane. Ukraina była pierwszą spośród byłych republik sowieckich, która ten zakaz zniosła. Nie oznacza to jednak, że depenalizacja homoseksualizmu od razu pociągnęła za sobą zwycięski marsz LGBT przez instytucje. Przyjęta w 1996 r. konstytucja definiowała małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Skręt w lewo zaczął się za rządów Petra Poroszenki. Był on nie tylko pierwszym prezydentem wybranym po zwycięstwie Euromajdanu, lecz także pierwszym prezydentem, który częściowo wsparł ideologię LGBT. Publicznie stwierdził, że nie ma nic przeciwko paradzie gejowskiej w Kijowie, ale odmówił wzięcia w niej udziału. W odpowiedzi na petycję przeciwników parady stwierdził, że „podziela ich niepokój”, ale zamierza „zbudować tolerancyjne, demokratyczne i europejskie społeczeństwo na Ukrainie”. Środowisko polityczne Poroszenki, skupione w szeregach partii Europejska Solidarność, łączyło prozachodnie poglądy z kultem OUN-UPA. To ideowa synteza typowa dla ukraińskiej sceny politycznej. W końcu na Euromajdanie obok flag unijnych powiewały czerwono-czarne, a skrajni nacjonaliści walczyli ramię w ramię z liberałami (nie tak skrajnymi jak ci zachodni, ale jednak). Ich wspólnym wrogiem była Moskwa. Od 2015 r. Ukraińcy podlegają w swoich miejscach pracy ochronie przed dyskryminacją na płaszczyźnie orientacji seksualnej lub identyfikacji płciowej. Adopcje dzieci przez gejów i lesbijki wyklucza kodeks rodzinny, jednak osoby formalnie samotne nie są z procedury adopcyjnej wykluczane.

Wołodimir Zełenski, podobnie jak jego poprzednik, odmówił udziału w paradzie gejowskiej. Jego partia Sługa Narodu była i jest grupą ludzi o różnych poglądach, połączoną głównie osobą lidera. Przez pewien czas szermowała retoryką libertariańską, ale w sferze światopoglądowej nigdy nie zajęła jednoznacznego stanowiska. Dopiero inwazja rosyjska sprawiła, że władze w Kijowie musiały dokonać cywilizacyjnego, a zatem również ideologicznego wyboru. Absurdem jest twierdzenie, że Ukraińcy walczą z Rosją w obronie interesów globalistów, Waszyngtonu, Brukseli etc. Stawką wojny są takie tradycyjne –

W polityce zagranicznej nie ma nic za darmo. Ukraina, oczekując wsparcia Zachodu i przyjęcia na zachodnie salony, musi pokazać, że przestrzega tych samych, co Zachód, „wartości europejskich”

prawicowe raczej niż lewicowe – wartości jak niepodległość i integralność terytorialna. Na ulicach Kijowa w 2013 r. Ukraińcy suwerennie, dobrowolnie wybrali wyjście z rosyjskiej strefy wpływów i partnerskie (choć nierównorzędne) relacje z Zachodem. 24 lutego 2022 r. stanęli do walki o swoje państwo, które tego wyboru dokonało. Nikt na Zachodzie nie musiał ich namawiać do heroicznego oporu przed rosyjską inwazją.

Faktem jednak jest, że gdyby nie pomoc wywiadowcza, sprzętowa i finansowa USA, NATO czy UE, opór ten skazany byłby na porażkę, a Putin najpewniej osiągnąłby cele „specjalnej operacji wojskowej” już dawno. W polityce zagranicznej nie ma nic za darmo. Ukraina, oczekując wsparcia Zachodu i przyjęcia na zachodnie salony, musi pokazać, że przestrzega tych samych, co Zachód, „wartości europejskich”. Nie tylko demokracji, lecz także swoiście rozumianych „praw człowieka”. To zaś nie wzbudza nad Dnieprem takich emocji jak kwestia niepodległości czy integralności terytorialnej. Pisząc obrazowo: Ukraińcy nie obalą Zełenskiego za wprowadzenie homomałżeństw, ale za ustąpienie

prawicy z lewicą. Tym problemem było – i jest – zagrożenie ze strony rosyjskiego imperializmu. Dylemat nie polegał na wyborze między konserwatyzmem a liberalizmem, tylko między Wschodem a Zachodem. Czyli: pomiędzy bliską kulturowo, biedną materialnie, agresywną militarnie i ekspansywną geopolitycznie imperialną Rosją a odległym kulturowo, bogatym materialnie, nieagresywnym militarnie, za to ekspansywnym politycznie światem euroatlantyckim. Do tego dochodziła jeszcze jedna, fundamentalna różnica. Ukraińcy zwyczajnie nie tolerują typowych dla rosyjskiej kultury politycznej despotyzmu i rządów silnej ręki, co dobitnie pokazały dwie rewolucje w odstępie niecałej dekady. Z ich oligar-

Rosji już zdecydowanie tak. Jeśli więc to pierwsze okazałoby się warunkiem niezbędnym wsparcia ze strony Zachodu, to wybór będzie oczywisty.

SKRĘT W LEWO?

Na razie jednak światopoglądowa „europeizacja” Ukrainy nie jest aż tak daleko posunięta. Niemniej symptomy skreślenia w lewo już widać. W czerwcu Kijów odwiedzili kanclerz Scholz oraz prezydent Macron. Niedługo po ich wizycie Ukraina ratyfikowała konwencję stambulską. Prezydent Zełenski podpisał stosowny dokument, w ekspresowym tempie przegłosowany przez Radę Najwyższą. Ukraina przez wiele lat była jednym z tych państw, które konwencję podpisały, ale w obawie przed reakcją dość konserwatywnego społeczeństwa odkładały jej ratyfikację. Sytuację zmieniła dopiero inwazja rosyjska. Paradoksalnie zatem to mieniący się obrońcą konserwatywnego Putina swoją agresywną polityką nie pozostawił władzom w Kijowie innego wyboru, jak tylko ulec presji „zgniłego Zachodu”. Z drugiej strony Bruksela, Berlin i Paryż wykorzystały napaść rosyjską, aby zrealizować swój ideologiczny interes i wymusić na Zełenskim podpisanie swego „cyrografu”. Ratyfikacja konwencji była jednym z warunków nadania Ukrainie statusu kandydata do UE.

Rosja pozycjonuje się jako przede wszystkim konserwatywna, choć ów konserwatyzm ma inny charakter niż ten zachodni. W państwie Putina prawo aborcyjne jest bardzo liberalne, wierzących praktykujących niewielu, rozwody to plaga, a obok prawosławia najbardziej hołubioną tradycją jest sowiecki imperializm, stąd też idolem skrajnej prawicy jest Stalin. Najbardziej „konserwatywną” częścią rosyjskiej tożsamości jest niechęć do homoseksualistów. Jednym z najpopularniejszych wyzwisk jest „pidaras” (pederasta), co jednak łączy Rosjan z Ukraińcami. Oba narody, nawet w świetle obowiązującej w Polsce poprawności politycznej, są otwarcie „homofobiczne”.

Jednak o ile w Rosji propaganda homoseksualizmu jest penalizowana, o tyle na Ukrainie tęczowa ideologia przesiąka – nieoficjalnie, ale jednak – nawet do szeregów armii. Już w 2018 r. powstała nad Dnieprem organizacja pozarządowa Wojskowi LGBT, która udziela wsparcia żołnierzom nieheteroseksualnym. Po 24 lutego media często nagłaśniały

Kijów pod jednym względem na pewno pozostanie ostoją tradycyjnych wartości. Będzie stać po stronie suwerennych państw narodowych, „Europy ojczyzn”

historie gejów i lesbijek w mundurach. Homoseksualni żołnierze z jednej strony zapewniali, że wbrew obiegowej opinii też chcą walczyć za swój kraj, a z drugiej strony deklarowali obronę przed nadciągającą z Rosji homofobią. Oficjalny profil Ukrainy na Instagramie wsparł gejów walczących w armii. Gdy jednak w rosyjskich mediach zaczęły się pojawiać rewelacje o rzekomym sformowaniu specjalnego „batalionu LGBT” w szeregach ukraińskich, tamtejszy sztab generalny stanowczo temu zaprzeczył, oświadczając, że takie pogłoski to próba dyskredytacji Sił Zbrojnych Ukrainy.

PATRIOTYZM WAŻNIEJSZY NIŻ LEWACKA IDEOLOGIA

Na początku czerwca działaczka LGBT Anastasija Sowenko opublikowała na stronie prezydenta Ukrainy petycję w sprawie legalizacji małżeństw homoseksualnych. Zgodnie z prawem potrzeba było co najmniej 25 tys. podpisów, aby możliwe było jej rozpatrzenie. Petycję podpisało ok. 28 tys. osób. W odpowiedzi Zełenski zauważył, że na legalizację nie pozwala konstytucja, a tej w czasie wojny zmieniać nie należy. Znalazł jednak inne prawne rozwiązanie. Polecił, aby rząd „wypracował możliwość” wprowadzenia związków partnerskich. Jednak ani podpisy 28 tys. zwolenników homomałżeństw, ani, być może podjęta pod presją Zachodu, decyzja Zełenskiego nie odzwierciedlają realnych nastrojów społecznych. Według opublikowanego latem 2021 r. przez grupę Rejtnych sondażu 47 proc. Ukraińców negatywnie ocenia społeczność LGBT. Również wyniki badań prowadzonych przez same tęczowe organizacje nie wskazują na ogromne poparcie dla lewicowej ideologii. Ukraińskie Centrum Praw Człowieka LGBT Nasz Świat (Nasz Swit) pomiędzy styczniem a sierpniem 2022 r. przeprowadziło badanie, z którego wynika, że tylko 23,6 proc. Ukraińców opowiada się za legalizacją związków partner-

skich. Opinię społeczeństwa na ten temat sprawdził też Narodowy Instytut Demokratyczny. Pytanie brzmiało: „Czy zgadzasz się z twierdzeniem, że osoby homoseksualne (mężczyźni i kobiety) powinny mieć takie same prawa jak osoby heteroseksualne?”. „Zdecydowanie tak” odpowiedziało 31 proc. respondentów. „Raczej tak” – 23 proc. „Raczej nie” – 8 proc. Kategorie sprzeciw wyraziło 19 proc. pytanym. Faktem jest, że poparcie Ukraińców dla praw gejów i lesbijek powoli rośnie od czasu proeuropejskiego zwrotu w latach 2013–2014.

Chyba najwięcej o stosunku społeczeństwa ukraińskiego do lewicowo-liberalnej ideologii Zachodu mówi sondaż przeprowadzony latem tego roku przez Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii. Celem badania było sprawdzenie, na ile kurs prounijny, sformalizowany poprzez przyjęcie konwencji stambulskiej oraz statusu kandydata do UE, odzwierciedla nastroje społeczne. Respondentów zapytano, co wolą: „współczesne wartości europejskie/zachodnie” czy tradycyjne wartości. Jednak drugą część pytania zadano w dwóch wariantach. W jednym chodziło o „wartości tradycyjne dla Słowian wschodnich – Ukraińców, Rosjan i Białorusinów”. Przy takim postawieniu sprawy po stronie Zachodu opowiedziało się 51 proc. osób. Tylko 33 proc. poparło wschodniosłowiański konserwatyzm. Ale gdy w drugim wariancie do wyboru były „tradycyjne wartości ukraińskie”, za taką alternatywą opowiedziało się aż 78 proc. badanych. Tylko 12 proc. wołało od nich „współczesne wartości europejskie”. To zaś oznacza, że dla Ukraińców wciąż patriotyzm jest ważniejszy niż lewacka ideologia. Tej ostatniej poddają się, gdy jedyną alternatywą jest „rosyjski świat”. Chcą być częścią Zachodu, żeby nie być częścią Rosji.

Jednak nawet jeśli – trochę pod presją sojuszników, trochę pod presją własnych skrajnych środowisk – Kijów pójdzie na dalsze ustępstwa wobec ruchu LGBT, to pod jednym względem na pewno pozostanie ostoją tradycyjnych wartości. Mianowicie będzie stać po stronie suwerennych państw narodowych, „Europy ojczyzn”. Ukraińcy nie po to bronią własnych granic przed inwazją rosyjską, żeby potem z nich zrzecygnować za euro. Nie po to umierają i zabijają w imię własnej tożsamości narodowej, żeby potem ją sprzedać na rynku europejskiego multi-kulti.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

Filmopedia ★
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



**KLINIKA UZDROWISKOWA®
„Pod Tężniami”
w Ciechocinku**



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Dla Aktywnych, Antystresowy,
Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl

Pobyty: 10.10 - 23.10 oraz 23.10 - 20.12.2022r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2022 oraz Noworoczny 27.12.2022 - 03.01.2023

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

Z Anną i Michałem Bromboszczami, właścicielami piekarni rzemieślniczej w Katowicach



rozmawia Tomasz Cukiernik

TOMASZ CUKIERNIK: Jak duża jest państwa firma?

ANNA I MICHAŁ BROMBOSZCZOWIE: Naszą rzemieślniczą piekarnię Bromboszcz w Katowicach założył mój ojciec w 1982 r. Jesteśmy firmą rodzinną. Zatrudniamy czterech piekarzy, cztery ekspedientki i pracujemy my: trzy osoby. Łącznie 11 osób. Mamy dwa własne sklepiki, a ponadto sprzedajemy pieczywo do siedmiu innych sklepów spożywczych na terenie miasta. Było tych punktów więcej, ale kilka osób zamknęło działalność w związku z dużymi kosztami jej prowadzenia.

Dlaczego ostatnio tak szybko rosną ceny chleba?

Główny problem to wzrost cen podstawowych surowców. W porównaniu z sytuacją sprzed dwóch lat jest znacznie drożej. Wtedy kilogram mąki kupowaliśmy po 1,10 zł, a teraz po 2,60 zł. Oznacza to wzrost ceny o ponad 130 proc. Cukier zdrożał o 110 proc., a sól o 200 proc. – była po 0,40–0,45 zł, a jest po 1,20 zł. Cena tłuszczu zwiększyła się z 3,55 zł do 10,18 zł, czyli o 187 proc., a drożdży – o 90 proc. To są podstawowe surowce do wyrobu chleba i wyrobów cukierniczych. Wzrosty cen były stopniowe, ale zdarzały się nawet z tygodnia na tydzień.

Państwo też stopniowo podnosiliście ceny...

Tak. My w okolicy mamy jeden z tańszych chlebów, mimo że ta sytuacja dotyczy każdego. U nas duży, kilogramowy chleb kosztuje 9 zł, a mały, 600-gramowy – 6,80 zł. Dbamy o naszych klientów, żeby nie zrzucić na nich całości wzrostu tych kosztów, ale niestety jest duże prawdopodobieństwo, że będziemy zmuszeni do podniesienia cen.

Rozmawiałem z piekarzem, który mówił, że ceny cukru rosły nawet z godziny na godzinę. Rano różnica między jedną a drugą hurtownią wynosiła 5 gr/kg. Po południu chciał zamówić ten tańszy i już kosztował 50 gr więcej. Piekarze skarżą się też na ceny gazu, które wzrosły o kilkaset procent...

Kolejne koszty to właśnie energia potrzebna do produkcji. Gazu nie spalamy, ale mamy stary piec kaflowy, który opalamy brykietem, drewnem i olejem opałowym. Cena oleju opałowego wzrosła z 3,20 zł/l

PIEKARNIA - CIA
K. BROMBOSZ
OD 1982 ROKU

Nasz drogi chleb



FOT. ARCHIWUM ANNY I MICHAŁA BROMBOSZCZOWYCH

do 7 zł/l. Nasz palnik zużywa ponad 2 tys. litrów oleju miesięcznie. W efekcie nasz koszt wzrósł z ok. 6,5 tys. zł do 15 tys. zł miesięcznie.

Aby trochę zaoszczędzić, częściowo palimy też brykietem, którego cena też wzrosła z 650 zł za tonę do 2,1 tys. zł, czyli o ponad 220 proc. Ci, którzy opalają piece gazem, mają jeszcze gorzej. Współczujemy im. Dużo piekarni z tego powodu się pozamykało. Nie było w stanie tego opłacić. Dotknęły ich skoki ceny za gaz o 200, 300, a nawet 600 proc. Z kolei cena energii elektrycznej wzrosła o ponad 100 proc. Gdyby firmy miały tańszą energię, mogłyby produkować przez to taniej i ceny też wyglądałyby inaczej.

Czy wzrosły jeszcze inne koszty?

Wzrosły płace. Jest inflacja, więc każdemu pracownikowi należy się więcej. To automatycznie przekłada się na wyższe składki na ZUS i podatki od wynagrodzeń. Na dodatek w ramach Polskiego Ładu nie można odliczać składek zdrowotnej od podatku dochodowego. Wszystko działa jak domino. Dochodzi do tego jeszcze wyższy koszt transportu, czyli rozwożenia tych produktów, które się upiecze, bo wzrosła cena paliwa.

Jakie są inne problemy branży?

Mamy to szczęście, że od wielu lat mamy fajną, zgraną ekipę, ale dużym problemem branży jest brak wykwalifikowanych, dobrych pracowników, którzy są konieczni w piekarni rzemieślniczej. Ludziom brakuje pasji. Ten zawód nie jest doceniony.

Czym różni się piekarnia rzemieślnicza od automatycznej?

Piekarze pracujący w piekarni rzemieślniczej muszą potrafić przygotować ciasto z odpowiednich składników według receptury z zachowaniem powtarzalności, ciasto musi mieć odpowiednie temperaturę i gęstość. Ważny jest również czas jego spoczynku – dojrzewania. Oczywiście mówimy o naturalnym cieście, a nie gotowych mieszankach, które stosuje się w piekarniach automatycznych, a właściwie to są fabryki chleba. Tam maszyny, specjalne kombajny, zastępują pracowników. Ciasto z gotowej mieszanki wystarczy wrzucić z jednej strony, maszyna je automatycznie dzieli, zaokrągla. Cały proces produkcji, to, co w piekarni rzemieślniczej robi się ręcznie, jest zautomatyzowany.

Czy chleb rzemieślniczy jest lepszy od tego produkowanego przez kombajny?

Tak, jeśli nie są używane żadne dodatki typu polepszacze do pieczywa, spulchniacze, konserwanty. W prawdziwym chlebie rzemieślniczym jest prosty skład. W naszej piekarni zakwas codziennie trzeba przerabiać, żeby go przygotować dla produkcji nocnej. Z zakwasu robi się tzw. chleb na zakwasie. Niektórzy chwalać się naturalnymi zakwasami, ale w rzeczywistości są to uniwersalne zakwasy w płynie, kupowane w hurtowniach, które nadają pieczywu cechy zbliżone do naturalnego. To nie jest to, co dawniej robiło się w piekarniach rzemieślniczych, kiedy każda mogła się pochwalić własnym smakiem pieczywa. To tak jak z zupą pomidorową. Z tego samego przepisu każdy zrobi inną zupę. Zakwas jest o tyle ważny, że dodaje unikalnego smaku. To taka wizytówka dobrej piekarni.

Skoro polepszacze ułatwiają pracę, to dlaczego piekarnie rzemieślnicze ich nie stosują?

Też stosują. Cały rynek piekarniczy idzie w tę stronę. Są potężne hurtownie, które produkują gotowe mieszanki, i przedstawiciele wszystkim proponują taką samą, np. mix na pączki. W rezultacie wszyscy mają takie same pączki. Nic tu nikogo nie wyróżni. Też dostaliśmy ostatnio taką propozycję. Zachwalano ten produkt – że kupuje go pół Polski i piekarnie są zadowolone.

My wymyślamy własne przepisy, które najpierw wypróbujemy, a później dzielimy się nimi z naszymi klientami w postaci gotowego wypieku. Z szacunku do zdrowia naszego i klientów produkujemy chleb, który sami spożywamy, a była taka sytuacja à propos dużej piekarni automatycznej, której właściciel powiedział, że nie je produkowanego przez własną piekarnię chleba, bo jest on na spulchniaczach i konserwantach. W domu robi sobie chleb sam. Do wyprodukowania 100-gramowej bułki musimy użyć 120 g ciasta. Bułka na spulchniaczu jest tej samej wielkości, ale waży 30–40 g. Czyli do jej wyprodukowania potrzeba znacznie mniej mąki i innych surowców, a kosztuje tyle samo lub trochę mniej. W efekcie człowiek musi zjeść więcej bułek, żeby sobie pojeść.

Czy to nie jest oszukiwanie klientów, zamiast uczciwie podnieść cenę o tyle, o ile to konieczne?

Pieczywo ma większą objętość, mniejszą gramaturę. Zużywa się 50 g surowca, ale ta bułka wygląda, jakby miała 120 g. Potem do nas przychodzi klient i mówi, że w innej piekarni jest duża bułka za

złotówkę, a w naszej za złotówkę jest mało. Tymczasem nasza waży 100 g, a tamta 50 g. Naszą można się najeść, a tamtą niekoniecznie. Naszym zdaniem to jest oszukiwanie w kontekście zdrowotnym i finansowym. Nasza ekspedientka ma synów w wieku dorastania. Oni potrafią nasz chleb zjeść w dwa dni, a dmuchany pochłaniali w ciągu jednego dnia, a to i tak było dla nich mało.

Planują państwo dalej podnosić ceny?

To wszystko zależy od tego, czy będą rosły ceny energii i surowców do pieczywa, które kupujemy. Od miesiąca cena mąki się nie zmienia, ale cena energii potrzebnej do produkcji już tak.

O co chodzi z mrożeniem chleba, który jest sprzedawany w dużych sieciach handlowych?

To jest technologia szokowego mrożenia surowego pieczywa, które następnie się rozmraża i odpieka poza miejscem jego produkcji – w sieciach handlowych. Tam też używa się wielu ciekawych polepszaczy, jak np. L-cysteina (E-920). Poprawia ona walory pieczywa, m.in. żeby pieczywo było chrupkie z zewnątrz i miękkie w środku. Europejska L-cysteina produkowana jest ze świńskiego włosa i ptasich piór, a chińska, którą też się do nas importuje – z ludzkich włosów. Hipermarkety na miejscu wypiekają to pieczywo. Klienci są nim zachwyceni, bo jest ciepłe. Tylko że pieczywo jest ciepłe przez chwilę, a potem bardzo szybko chłodzi się i nie nadaje się do spożycia. Nasz chleb może poleżeć nawet trzy-cztery dni.

W Łodzi została zamknięta najstarsza piekarnia w mieście. Jak widzą państwo przyszłość branży? Niektórzy wieszczą falę upadłości piekarni i to, że jesienią zacznie brakować chleba.

Wydaje nam się, że świadomi klienci wybiorą lokalny chleb i dalej będą wspierać lokalnych rzemieślników, bo będą chcieli dobrze zjeść. Niestety, ludzie też patrzą na koszty. Czasami spada liczba sprzedawanych wypieków ciastkarskich, ale bywają okresy, że rośnie. Wydaje nam się, że klientów jest więcej, bo ludzi świadomych jest więcej. Zależy im na jakości. Ale jeśli chodzi o wzrost cen, to nie wiadomo, jaki będzie ich skutek, bo w pewnym momencie klienci mogą stwierdzić, że ich nie stać, i będą kupować ten gorszy jakościowo chleb. Jeśli nie wystrzelimy z ceną na 15 zł, to mamy nadzieję, że do tego czasu będzie dobrze. Mimo wszystko myślimy pozytywnie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

INFLACJA+

Oczywiście dopiero się okaże, czy rację mają ci, którzy wieszczą, że to właśnie my, Polacy – wskutek nieroztropnie prowadzonych polityk: fiskalnej przez rząd i pieniężnej przez NBP – będziemy się mordowali z wysoką inflacją jeszcze przez wiele lat, podczas gdy nasi sąsiedzi – Niemcy, Czesi, Słowacy – dawno o niej zapomną.

Dopiero się okaże, czy rację mają ci, którzy wieszczą, że polskie dzieci zdążą sporo podrosnąć, głowy ludzi w średnim wieku zdąży przyprószyć siwizna, a starsi ludzie zdążą mocno posunąć się w latach, zanim Polska wreszcie upora się z wysoką inflacją, a Polacy przestaną mocno tracić na realnej wartości swych pensji i oszczędności. Czyli wreszcie przestaną biednieć. I nikt już wtedy nie będzie pamiętał o dzisiejszych wieszczach i ich pesymistycznych prognozach ani o tym, że mieli – czyli dziś mają – rację. A, przypomnijmy, mordujemy się z tą koszmarną inflacją – z tą od samego początku jedną z najwyższych w Europie – już od prawie dwóch lat!

Otóż jeden z tych wieszczów – Marek Rozkrut, główny ekonomista Ernst & Young na region Europy i Azji Centralnej i zarazem jeden z najlepszych polskich makroekonomistów – w rozmowie z Money.pl prognozuje, że „inflacja pozostanie w Polsce powyżej celu NBP, czyli 2,5 proc., jeszcze co najmniej trzy, a raczej cztery lata. I oby nie dłużej. Zejdziemy do celu być może jeszcze w 2025 r., a prawdopodobnie

dopiero w 2026 r.”. I dodaje: „Co gorsza, Polska jako jeden z naprawdę niewielu krajów w Europie zostanie z tak wysokim wzrostem cen na długo. Inne państwa już dawno się z nim uporają”.

Apotem, odpowiadając na pytanie: „Parafrazując słynne powiedzenie amerykańskiego miliardera i inwestora Warrena Buffeta, chce pan powiedzieć, że dopiero wtedy, gdy odpłynie fala inflacyjna, zobaczymy, kto pływał bez majtek?”, wyjaśnia: „To barwne, ale dość trafne stwierdzenie. Dzisiaj często używamy argumentów, że inflacja jest bardzo wysoka także w wielu innych krajach, więc nie jesteśmy wyjątkiem. Dopiero za jakiś czas wyraźniej zobaczymy konsekwencje niewłaściwego policy-mix w Polsce”. Czyli konsekwencje błędnej polityki monetarnej NBP, a zwłaszcza fatalnej – i wciąż kontynuowanej – polityki fiskalnej rządu, który z 500+, 300+, mieszkań+, emerytur+, „bonów+, dodatków+, dopłat+ i tarcz+ wyhodował w Polsce wielką INFLACJĘ+.

Wtedy jednak każdy z nas będzie już dużo – i znacznie bardziej od sąsiadów z Niemiec, Czech czy ze Słowacji – uboższy (mniej będą warte nasze oszczędności i bieżące dochody), niż mógłby być, gdyby dziś te polityki – fiskalna rządu (gdyby nie trwoniono tak pieniędzy publicznych) i pieniężna NBP (gdyby była szybciej i mocniej zacieśniana) – były bardziej roztropne, a mniej populistyczne, mniej obliczone po prostu na „kupowanie” wyborców. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Cudowne
węgla
rozmnożenie

Pomysł rządu, aby prze-
rzucić odpowiedzialność za dystrybucję węgla na samorządy, to kolejny poziom absurdu po wcześniejszych pomysłach, które miały sprawić, że Polacy węgiel dostaną. I kolejna próba rozmycia odpowiedzialności za sytuację, której źródłem jest decyzja Mateusza Morawieckiego o wprowadzeniu embarga na rosyjski węgiel.

Przedwcześnie
decyzją o embargu
na rosyjski
węgiel premier
doprowadził
do kryzysu

Na poparcie tezy, że samorządy mają obowiązek zaopatrywać mieszkańców w węgiel, rząd przytacza Ustawę o samorządzie gminnym oraz Ustawę Prawo energetyczne. W obu tych aktach jest mowa, że zadaniem własnym gminy jest zaopatrzenie mieszkańców w „energię elektryczną, ciepło i paliwa gazowe”. Ale „zaopatrzenie w ciepło” nie oznacza zaopatrzenia w opał. Gdyby tak było, to gminy od dawna powinny mieszkańcom dostarczać nie tylko węgiel, lecz także pelet czy drewno. Oczywiście tego nie robiły – zaopatrzenie w ciepło oznacza jedynie ciepło sieciowe.

Rząd robi kilka absurdalnych założeń – m.in. że węgiel będzie w wyznaczanych przez niego miejscach zakupu po cenie ok. 1,5 tys. zł, a dystrybucja będzie kosztować do 500 zł. To bajki takie same, jak niegdyś propozycja systemu „rekompensat” za sprzedawanie tańszego węgla, skierowana do składów, które nie były nią oczywiście zainteresowane, bo musiałyby wykładać na to własne pieniądze.

Askoro o składach mowa, to rządzący swoją polityką węglową doprowadzili do zamknięcia się dużej części z nich. A to one w normalnych warunkach powinny być źródłem zaopatrywania się w węgiel przez mieszkańców i tak było od lat.

Czemu ten absurd ma teraz służyć? To akurat jest jasne: dystrybucja węgla ma być podobno zadaniem fakultatywnym. Tam więc, gdzie samorząd się jej nie podejmie, tam rząd będzie wskazywał palcem: „O, proszę, zły samorządowiec nie chce biednym ludziom węgla sprowadzić!”.

Prawda jest zaś taka, że od kolejnej ustawy i przetrzucia odpowiedzialności na samorządowców węgla nie przybędzie. Problem leży w tym, że premier przedwcześnie decyzją o embargu na węgiel z Rosji doprowadził do kryzysu. Wszystko inne jest tego konsekwencją. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 203ca8c3ae



Katarzyna Pinkosz

Tabletki z jodkiem potasu są już dystrybuowane do szkół, przedszkoli, urzędów gmin. Czy to „nadmierna” ochrona czy faktycznie lepiej wiedzieć, kiedy, jak i kto powinien je przyjąć?

Komunikaty są sprzeczne: z jednej strony w Polsce nie ma bezpośredniego zagrożenia, z drugiej strony warto, żeby każdy sprawdził, gdzie blisko jego miejsca zamieszkania został zorganizowany punkt dystrybucji jodku potasu. A przede wszystkim wiedział, czy i kiedy faktycznie trzeba go zastosować.

LEKCJA PO CZARNOBYLU

Jak dotąd profilaktyczne podawanie jodu na masową skalę miało na świecie miejsce tylko raz: w Polsce po katastrofie elektrowni atomowej w Czarnobylu. Cała akcja została przeprowadzona najszybciej, jak to było wtedy możliwe. Radioaktywny pył pierwszy raz został wychwycony w Polsce 28 kwietnia 1986 r. w stacji monitoringu w Mikołajkach: czujniki wykazały, że radioaktywność powietrza wzrosła ponad 500 tys. razy. Nikt nie wiedział, jak to zinterpretować: błąd pomiaru, wybuch, katastrofa? Profesor Zbigniew Jaworowski, który kierował wówczas Zakładem Higieny Radiacyjnej w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej, przyznał, że jego pierwszą myślą było, że wybuchła wojna nuklearna. O tym, że doszło do katastrofy w elektrowni jądrowej w Czarnobylu, dowiedział się, słuchając wieczorem BBC. Następnego dnia o godz. 3 na ranem zbudził go telefon: przed domem czekał samochód, który zawiózł go na naradę do KC PZPR.

Nie było żadnych informacji od strony sowieckiej o tym, co się stało, dlatego z obawy przed nasileniem promieniowania, w tym przed promieniotwórczym jodem-131, o godz. 6 rano podjęto decyzję o powszechnym podawaniu jodu: pod postacią płynu Lugola, który można było sporządzić w każdej aptece (tabletki z jodkiem potasu nie były wówczas dostępne).

Płyn Lugola to wodny roztwór jodu w jodku potasu; wymyślony w 1829 r. przez francuskiego lekarza Jeana Lugola.

Tabletki na katastrofę



Działa bakteriobójczo, można go stosować do odkażania ran, a w rozcieńczonej postaci płukać nim gardło. W przypadku awarii jądrowej przyjmowanie płynu Lugola powoduje, że tarczyca, która potrzebuje jodu do produkcji hormonów, jest nim wysycona, nie jest więc wchłaniany jod radioaktywny. Akcję podawania płynu Lugola – nazywanego wówczas „radziecką coca-cola” – rozpoczęto jeszcze tego samego dnia wieczorem, kontynuowano nocą w województwach północnowschodnich. Nawet 75 proc. dzieci w tych województwach przyjęło jod w ciągu pierwszych 24 godzin akcji: skupiono się na dzieciach, bo to dla nich promieniotwórczy jod jest największym zagrożeniem. W całym kraju akcja trwała do 5 maja: płyn Lugola przyjęło 95 proc. dzieci, a w sumie ponad 18,5 mln Polaków.

– Polska jest uważana za kraj, który znakomicie przeprowadził wówczas akcję zapobiegawczą. Była największą na świecie akcją profilaktyki jodowej – mówi prof. Andrzej Strupczewski, rzecznik ds. energetyki jądrowej Narodowego Instytutu Badań Jądrowych, ekspert ds. bezpieczeństwa jądrowego Komisji Europejskiej i Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA).

Dodatkowo zakazano wówczas również wypasania krów, picia mleka: dzieciom zalecano mleko sporządzone z mleka w proszku lub skondensowanego, zalecano też niespożywanie nowalijek, unikanie przebywania na świeżym powietrzu (choć nie odwołano pochodów pierwszomajowych).

Mimo tempa przeprowadzenia akcji obawiano się, że skutkiem katastrofy

w Czarnobylu będzie znaczne zwiększenie liczby zachorowań na raka tarczycy i inne choroby tarczycy. Do dziś wiele osób jest przekonanych, że choroby tarczycy, które ich dotknęły, są właśnie skutkiem katastrofy w Czarnobylu, jednak badania naukowe tego nie potwierdziły. Nie było widać różnic, jeśli chodzi o zachorowania na raka tarczycy pomiędzy osobami, które przyjęły profilaktykę jodową, a tymi, które jej nie przyjęły. A sam prof. Jaworowski, który nadzorował akcję podawania jodu, wielokrotnie później wypowiadał się, że gdyby miał wówczas pełną wiedzę na temat skali zagrożenia, to nie rekomendowałby podawania płynu Lugola. W momencie podejmowania decyzji nie było żadnych informacji o skali promieniowania. Dopiero później okazało się, że było ono w Polsce praktycznie bez wpływu na zdrowie. – Podawanie jodku potasu miało sens na terenach blisko Czarnobyla, jednak tam tego nie zrobiono – zaznacza prof. Strupczewski.

JODEK POTASU – TAK, ALE...

– Zdrowie mieszkańców Polski nie jest zagrożone, nie grozi nam scenariusz Czarnobyla, nie zagraża nam wybuch elektrowni w Zaporozu, zagrożenie nie występuje dziś na terytorium Polski, musimy być jednak przygotowani na różne scenariusze – mówił 30 września dr Łukasz Młynarkiewicz, prezes Polskiej Agencji Atomistyki, podczas konferencji prasowej zapowiadającej dystrybucję w całej Polsce tabletek z jodkiem potasu. – Być może jest to działanie nadmiarowe, ale mające sens nawet w tych mało prawdopodobnych

scenariuszach, by zareagować możliwie szybko – zaznaczył.

Za dystrybucję tabletek z jodkiem potasu w całej Polsce odpowiadają wojewodowie: już dziś na stronach urzędów wojewódzkich można sprawdzić, gdzie blisko miejsca zamieszkania będą rozdawane tabletki. Eksperci podkreślają, że przyjmowanie tabletek z jodkiem potasu ma sens tylko w dwóch sytuacjach.

– Pierwsza, gdy dochodzi do poważnej awarii jądrowej; przy czym chodzi o poważną awarię, kiedy wydziela się m.in. radioaktywny jod, który przemieszcza się z chmurą i opada w różnych miejscach. Jednak taka katastrofa, jak w Czarnobylu, nie powinna się już wydarzyć. Nawet jeśli pocisk uderzy w elektrownię jądrową, to prawdopodobnie nic się nie stanie, bo jest ona otoczona podwójną osłoną, a trafić w rdzeń reaktora jest bardzo trudno. Gdy przed laty na konferencji NATO referowałem sprawy bezpieczeństwa jądrowego, to była uwaga, że NATO nie rozpatruje scenariuszy z filmów z Jamesem Bondem: że samolot nadlatuje nad elektrownię jądrową, pikuje w dół i trafia w rdzeń. To jest nieprawdopodobne, elektrownie jądrowe są dziś naprawdę bardzo bezpieczne. Dziś są rzeczy, którymi powinniśmy bardziej się przejmować, życzyć przede wszystkim czystego powietrza, a mam nadzieję, że elektrownie jądrowe przyczynią się do tego, żeby było ono czystsze, bo w nie spala się w nich węgiel i nie emituje zanieczyszczeń – mówi prof. Strupczewski.

Drugą sytuacją, kiedy tabletki z jodem mogą okazać się przydatne, jest wybuch broni jądrowej w Polsce i okolicach.

– Oczywiście w przypadku bomby atomowej największym problemem nie jest promieniotwórczy jod, tylko bezpośrednie promieniowanie w chwili wybuchu i fala uderzeniowa. To od niej ulegają zniszczeniu miasta, domy, gminy, a właściwie odparowują ludzie, zwierzęta: to są sekundy. Później są opady promieniotwórcze z broni jądrowej, wśród których jest wiele pierwiastków, zarówno takie, które mają stosunkowo krótki okres połowicznego rozpadu, jak i takie, które rozkładają się długo, np. cez, którego okres półtrwania to 30 lat. Przed tym wszystkim nie mamy profilaktyki, dlatego pozostaje nam liczyć, że do wybuchów jądrowych nie dojdzie – mówi prof. Strupczewski.

DLA KOGO TEN JOD

Jodek potasu trzeba przyjąć, zanim zaczniemy oddychać powietrzem, w którym

jest zawarty promieniotwórczy jod.

– Przyjęcie tabletki ze stabilnym jodem powinno mieć miejsce bezpośrednio po przekazaniu przez odpowiednie służby sygnału. Ważne, by nie przyjmować jej wcześniej – mówi prof. Wojciech Zgliczyński, konsultant województwa mazowieckiego w dziedzinie endokrynologii. Jodek potasu należy przyjąć niezwłocznie po otrzymaniu komunikatu o wystąpieniu skażenia radiacyjnego (najlepiej w ciągu dwóch godzin, jednak przyjęcie w ciągu ośmiu godzin od ekspozycji nadal jest korzystne).

Nie ma sensu przyjmować tabletek profilaktycznie, jeśli nic się nie wydarzyło. To wręcz groźne dla zdrowia. – W przypadku skażenia zalecane dawki tysiąckrotnie przekraczają dzienne zapotrzebowanie na jod, które u niemowląt wynosi ok. 90 mikrogramów, u dzieci do 10. roku życia – 120 mikrogramów, u starszych dzieci i dorosłych – 150 mikrogramów, a u kobiet w ciąży – 250–500 mikrogramów. Jodek potasu występuje w tabletkach po 65 mg, które zawierają po 50 mg czystego jodu. Dopuszczalna dawka dla noworodka to jedna czwarta takiej tabletki (12,5 mg jodu); dla niemowląt i dzieci do trzeciego roku życia – jedna druga tabletki (25 mg jodu), dla dzieci od 3. do 12. roku życia – jedna tabletki (50 mg jodu), a po 12. roku życia, jak również dla dorosłych i dla kobiet w ciąży – dwie tabletki (100 mg jodu) – tłumaczy prof. Artur Bossowski, kierownik Kliniki Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Uniwersyteckiego Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Białymstoku i konsultant wojewódzki w dziedzinie endokrynologii i diabetologii dziecięcej.

Osoby powyżej 60. roku życia, a także młodsze, z niektórymi chorobami współistniejącymi, powinny jednak rozważyć, czy w ich przypadku przyjmowanie wysokich dawek jodu nie jest bardziej niebezpieczne niż narażenie na promieniotwórczy jod. – Nowotwór tarczycy rozwija się przez wiele lat, dlatego należy zastanowić się, co jest większym ryzykiem. Każdy ma prawo podejmować decyzję, trzeba jednak pamiętać, że nadmiar jodu może zaszkodzić – dodaje prof. Bossowski.

Tabletek z jodem nie powinny przyjmować osoby mające nadwrażliwość czy uczulenie na jod, chorobę autoimmunologiczną połączoną ze świądem i pęcherzami na skórze (opryszczkowe zapalenie skóry Dühringa). Z kolei osoby z chorobami autoimmunologicznymi tarczycy, takimi jak choroba Hashimoto czy Gravesa-Base-dowa, powinny wcześniej porozmawiać

z lekarzem, gdyż duża dawka jodu może zaostrzyć proces autoimmunologiczny. Rozważyć przyjmowanie jodu trzeba też w przypadku osób chorujących na nadciśnienie tętnicze (zwłaszcza jeśli nie jest ono ustabilizowane), przyjmujących niektóre leki (moczopędne „oszczędzające” potas, a także kaptopril, enalapril, chinidynę). Duże dawki jodu mogą spowodować arytmie, nagły wzrost ciśnienia tętniczego, a niekiedy nawet udar mózgu i zawał serca.

– Pamiętajmy, że to są megadawki jodu, tysiąc razy wyższe niż codziennie zalecane, dlatego warto wcześniej porozmawiać z lekarzem prowadzącym: rodzinnym, endokrynologiem, kardiologiem – zaleca prof. Bossowski.

Od kiedy w mediach zaczęły pojawiać się informacje o niepewnej sytuacji w elektrowni w Zaporozżu oraz o dystrybucji tabletek z jodem, z większości aptek zniknęły płyn Lugola i tabletki z jodkiem potasu. Choć Błażej Poboży, wiceminister MSWiA, zapewnia, że przygotowano ponad 57 mln tabletek z jodkiem potasu, więc wystarczy dla wszystkich, wiele osób nie wierzy, że dystrybucja obyłaby się bez problemu. Dlatego może zamiast organizować system rozdawania w przedszkolach i szkołach, lepiej byłoby dostarczyć jod do aptek i ośrodków zdrowia (jak w niektórych województwach) albo każdemu wydać wcześniej tabletkę do domu?

– Sądzę, że byłoby ryzyko, że ludzie przyjmowaliby je niepotrzebnie. A to nie jest lek, który można przyjmować „na wszelki wypadek” – ostrzega prof. Ossowski. Kto jednak będzie wydawał tabletki i czy w momencie realnego zagrożenia ludzie spokojnie szukaliby punktu dystrybucji i czekali na swoją kolej? A z drugiej strony w komentarzach w sieci jest już mnóstwo wpisów o tzw. depopulacji za pomocą jodu – bzdurnych, bo masowe podawanie płynu Lugola w 1986 r. żadnej depopulacji nie spowodowało.

Profesor Jaworowski po latach oceniał, że katastrofa czarnobylska spowodowała największą szkodę nie „w ciałach, tylko umysłach”, a więcej zgonów było nie z powodu promieniowania, tylko chorób psychosomatycznych, wywołanych stresem, polityką władz, przesiedleniami. My też w czasie epidemii COVID-19 nadmiarowymi zgonami „zapłaciśmy” nie tylko z powodu infekcji koronawirusem, lecz także z powodu lęku i niewłaściwej opieki nad pacjentami z innymi chorobami. Oby ta sytuacja teraz się nie powtórzyła.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNE OŚWIETLENIE TP-LINK

Bajecznie prosta konfiguracja, bardzo dobry stosunek ceny do jakości, możliwość kontrolowania, ile energii zużywa dana żarówka w ciągu ostatnich siedmiu lub 30 dni, opcja łączenia żarówek w grupy i sterowania oświetleniem za pomocą inteligentnych asystentów, a także włączania czy wyłączania światła z dowolnego miejsca na świecie – to największe zalety dwóch modeli inteligentnych żarówek (520E i 530E) oraz wielokolorowej listwy LED (L920-5) chińskiej firmy TP-Link.

Testowane przez nas żarówki to modele z popularnym gwintem E27. Ich największą zaletą poza prostotą obsługi jest to, że nie wymagają wielkiej inwestycji. Można kupić jedną na próbę i sprawdzić, czy dom lub mieszkanie staną się choć trochę inteligentne. Nie potrzeba żadnych dodatkowych urządzeń, mostków etc. Trzeba jedynie wkręcić nowe żarówki na miejsce ich „głupich” poprzedniczek, ściągnąć bezpłatną aplikację, podłączyć żarówki do sieci wi-fi i już można sterować domowym oświetleniem za pomocą smartfonu. Nie trzeba ograniczać się do aplikacji Tapo. Można też korzystać np. z asystenta Google czy Amazon Alexa i np. wychodząc wieczorem do kina, zamiast ganiać od pokoju do pokoju, aby wyłączyć światło, po prostu powiedzieć do telefonu: „Wyłącz światła w domu”. Takie rozwiązanie ma tę zaletę, że wówczas jedno polecenie włącza żarówki wielu różnych



producentów, jeśli ktoś woli nie kupować oświetlenia tylko jednej firmy.

Z kolei inteligentna pięciometrowa listwa LED może pomóc w nadaniu salonowi czy kuchni oryginalnego charakteru. I tu zaletą jest prosta instalacja (wystarczy przekleić ją za pomocą taśmy 3M znajdującej się na taśmie). Można też zapisywać najciekawsze ustawienia światła i stosować je np. podczas piątkowych seansów filmowych lub domówek.

Ważną zaletą inteligentnego oświetlenia, w tym testowanych żarówek i listwy, jest też możliwość ustawienia harmonogramu zapalenia i gaszenia się danej żarówki, włączania funkcji „poza domem”, po wybraniu której dana lampa może się włączać i wyłączać o losowo wybranej przez algorytm porze, co ułatwia pozorowanie, że jest się w domu, gdy od-

poczywa się akurat w gorących krajach. W aplikacji jest też „minutnik” służący do wyłączania światła lub ograniczania jego mocy np. do 50 lub 5 proc. po upływie wybranego czasu.

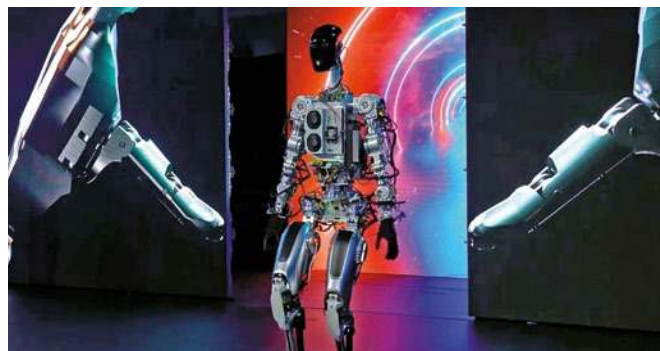
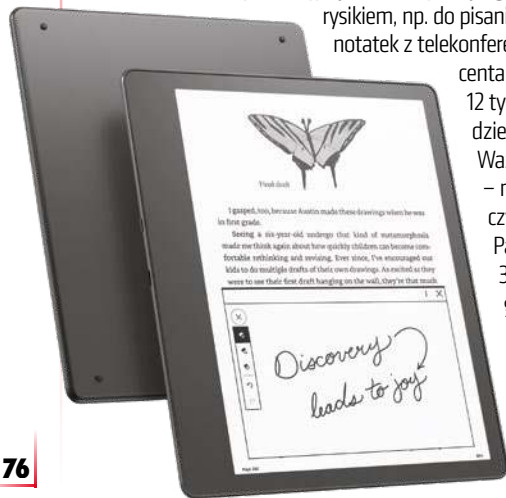
Wady? Poważnym minusem testowanej „inteligentnej” listwy LED jest brak możliwości łatwego wyboru temperatury barwowej białego światła. Ten problem nie występuje na szczęście w przypadku żarówek. W obu modelach bez trudu można zdecydować, czy w danym momencie żarówka ma świecić światłem zimnym i motywującym do ciężkiej pracy czy też ciepłym i bardziej sprzyjającym relaksowi. Zmiana zajmuje parę sekund.

Cena? Najprostsza, biała inteligentna żarówka Tapo (model L520E) kosztuje ok. 44 zł. Za model z opcją zmiany kolorów (530E) trzeba zapłacić tylko 10 zł więcej. Multikolorowa listwa L920-5 to zaś wydatek rzędu 180 zł. © © **Jacek Przybylski**

DUŻY KINDLE Z FUNKCJĄ NOTATEK

Kindle Scribe. Tak nazywa się 10-calowy czytnik e-booków Amazona ze specjalnym piórkim do robienia notatek. Urządzenie ma antyrefleksyjny ekran E-ink o wielkości 10,2 cala i rozdzielczości 300 pikseli na cal z powłoką antyrefleksyjną, automatyczną regulacją podświetlenia oraz rysikiem, np. do pisania po książkach czy robienia notatek z telekonferencji. Według produ-

centa bateria ma pozwolić na 12 tygodni pracy (po 30 minut dziennie, bez Internetu etc.). Wążący 433 g Kindle Scribe – mocno przypominający czytnik Huawei MatePad Paper – ma mieć premierę 30 listopada. Już można go jednak zamawiać na niemieckim Amazonie. Cena w zależności od funkcjonalności i ilości miejsca na dysku rysika waha się od 369,99 euro do 449,99 euro.



ROBOT OD TESLI

Ekscentryczny miliarder Elon Musk zaprezentował oficjalnie humanoidalną maszynę o imieniu Optimus. Robot jest wyposażony w sztuczną inteligencję, ma nogi, ręce i... palce, dzięki czemu potrafi przenosić nie tylko paczki, lecz także przedmioty o różnych kształtach. Optimus umie też tańczyć i radośnie machać do obserwujących. Niewykluczone, że maszynę będzie można wykorzystywać np. do wykonywania obowiązków domowych czy też do pomocy przy opiece nad osobami niepełnosprawnymi. Cena: ok. 20 tys. dol. Data premiery nie jest jeszcze znana. © © **Jacek Przybylski**



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Merecz – miasto królewskiej miłośnicy



Merecz, za czasów krzyżackich zwany Merkenpille lub Merken, pierwszy raz wzmiankowany jest pod rokiem 1377, kiedy Gotfryd Linden zdobył i złupił gródek. W 1391 r. książę Witold odbił zamek, w wyprawie zimowej dwa lata później zdobył go znowu wielki mistrz Ulryk von Jungingen i tym razem zburzył. Kiedy Litwini odbudowali go po raz kolejny, w 1404 r. zajął go Werner von Tettigen.

W Mereczu do dziś znajduje się jedna z pierwszych świątyń chrześcijańskich na Litwie – fara pw. św. Mikołaja, założona jeszcze przez Władysława Jagiełłę, uposażana potem przez wielkich książąt: Kazimierza i Aleksandra, przyszłych królów Polski. Za tego ostatniego funkcjonowała już jako kościół pw. Najświętszej Marii Panny – dziś jest to, po barokowej przebudowie, kościół Jej Wniebowzięcia. Z kolei pozostałością po zamku jest wznoszące się nad Niemnem grodzisko z pięknymi punktami widokowymi.

7 grudnia 1569 r. Zygmunt August nadał Mereczowi prawo magdeburskie, podnosząc go do rangi miast Wielkiego Księstwa Litewskiego. Już wcześniej było to starostwo, którego jednym z pierwszych dzierżawców stał się Jan Zabrzeziński, wojewoda trocki. Król Władysław IV Waza przebywał tutaj, jak podaje Gloger; już w 1630 r., potem jako król w latach 1633 i 1634, wreszcie umarł tu 20 maja 1648 r.

Władysława łączyła z tym starostwem więź natury obyczajowej, gdyż tutaj właśnie mieszkała jego metresa Jadwiga Łuszkowska, mieszcza lwowska poznana przez króla w 1634 r., kiedy wracał z wojny o Smoleńsk. Romans był tak namiętny, że w 1635 r. kochan-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ka powiła królewskiego potomka z nieprawego łoża – Władysława Konstantego Wazę. Aby uniknąć skandalu, władca wydał ją za swego dworzanina Jana Wypyskiego i nadał mu starostwo mereckie, gdzie aż do 1637 r. kochankowie mogli się w sekrecie spotykać. Wszystkowiedzący Walerian Nekanda Trepka zapisał, że w czasie ślubu była już w zaawansowanej ciąży.

Jadwiga została usunięta z dworu w chwili, kiedy Władysław zdecydował się poślubić księżniczkę Cecylię Renatę. Przyszła królowa przypadkowo, jak podaje Albrycht Stanisław Radziwiłł, w czasie zabawy w szczwanie niedźwiedzia dowiedziała się o królewskiej faworycie i – jak można się domyślać – zażądała usunięcia jej z dworu. Wypyski z żoną usunął się zatem sprzed oczu, co jednak nie oznaczało, że król w Mereczu nie był. Przeciwnie, można podejrzewać go o kilkakrotne schadzki z miłośnicą. Wywyższenie męża Łuszkowskiej stało się przedmiotem kpin wśród szlachty, która rozpowiadała, że nie został on starostą mereckim (po łacinie – merecensem), ale nierządnym (meretricensem).

Starosta zmarł, jak podaje Karol Szajnoch, 18 grudnia 1647 r. i nader prawdopodobne jest, że starostwem zarządzała wdowa zatwierdzona przez króla na tym urzędzie. Tłumaczy to też, dlaczego w maju 1648 r. zjechał do niej król i stanął w kamienicy przy rynku, znajdujące się niemal na wprost cerkwi. Dziś

jest ona oznaczona tablicą. Król nie zatrzymał się w swojej rezydencji, jak tłumaczono, ze względu na to, że nie nadawała się do mieszkania. W rzeczywistości pragnął uniknąć skandalu, gdyż był od dwóch lat żonaty z Ludwiką Marią Gonzagą, księżniczką francuską, której posąg roztworzył na przygotowania do wojny z Turcją. Władysław polował w okolicy Merecza, a w trakcie łowów zaniemógł – być może przy jego boku czuwała właśnie Jadwiga.

Władysław – jak podaje Albrycht Radziwiłł – umarł 20 maja z powodu kamieni nerkowych i dodatkowo febry, choć do dziś jego śmierć budzi kontrowersje i nie można wykluczyć kiły albo podagry. Przed śmiercią zrozpaczony zawołał ponoć: „Czy można znaleźć człowieka, który potrafi mnie jeszcze wyleczyć i przywrócić mi zdrowie?!”. Niestety, znaleźli się lekarze, którzy tylko przyspieszyli zgon królewski, podali mu bowiem zgodnie ze zwyczajami epoki remedium na wszystkie choroby – środek na przeczyszczenie, który dosłownie dobił nieszczęsnego. Być może zresztą król umarł na wszystko: podagrę, artretyzm, reumatyzm, owróżdzenie nerek, zapalenie jelit, chorobę weneryczną. Sekcja zwłok pokazała istny horror. Otóż lewa nerka była obrzękła, przeogniona, pełna „gnilnych i gumatycznych nacieczy”. Z prawej z kolei wydobyto jeden większy kamień kształtu łódki i kilka mniejszych. Władysław IV nie mógł znaleźć gorszej chwili na odejście z tego świata. Zostawił Rzeczpospolitą pogrążającą się w chaosie wojny kozackiej, która już trwała na Ukrainie, w najgorszej chwili, jaka mogła się wydarzyć. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Królowa dynia

Polacy kochają dynię, choć ja szczerze nie pamiętam, żeby była tak popularna w czasach mojego dzieciństwa. U nas w domu dyni raczej się nie jadało, bo w sklepach jej nie było, no i dziadkowie i sąsiedzi na wsi dyni nie uprawiali. Dziś jest bardzo popularna, jej odmian jest kilkanaście, a wśród nich najpopularniejsze to hokkaido (nasza ulubiona, pochodzi z Japonii i ma lekko orzechowy smak), makaronowa, olbrzymia, piżmowa i muscat.

Dynia należy do grupy roślin dyniowatych razem z arbuzami, melonami, cukiniami i kabaczkami. Im jest bardziej pomarańczowa, tym więcej zawiera beta-karotenu i witaminy A wspierającej wzrok.

Dynia pochodzi z Ameryki Środkowej, a jej stolicą jest miasto Morton w stanie Illinois, choć niektóre źródła mówią, że już 7 tys. lat temu uprawiali ją Indianie na terenach Peru (była przez nich uznawana za roślinę świętą). Na Stary Kontynent trafiła dzięki odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba w XVI w.

Ma wiele walorów zdrowotnych i smakowych, jest lekkostrawna i mało kaloryczna. Mimo że ugotowana dynia ma dość wysoki indeks glikemiczny (między 60–70), to jednak jej ładunek glikemiczny jest niski, tak że osoby zmagające się z cukrzycą mogą ją spokojnie jeść.

Najlepszym sposobem na przetworzenie dyni będzie jej upieczenie z dodatkiem oliwy. Z miąższu dyni możemy zrobić naszą ulubioną zupę krem, purée, sernik, kluski, muffiny, placuszki

i nawet kotlety. Z pestek dyni tłoczony jest bardzo zdrowy olej, który obniża poziom złego cholesterolu i zarazem ma mnóstwo witamin i wartości odżywczych, a dodany do potraw nadaje im charakterystycznego smaku. Same pestki możemy wykorzystywać jako dodatek do zup i dań. Lekko podprażone smakują wyśmienicie jako przekąska i mają właściwości poprawiające przemianę materii, zawierają sporo cynku i lecytyny, dzięki czemu poprawiają pracę mózgu. Doskonale działają na układ moczowy i zwalczają pasożyty, są również uznawane za afrodyzjak.

Przepis na rozgrzewającą zupę krem z dyni

- 1 kg dyni (polecamy hokkaido)
- 2 ziemniaki • 1 duża cebula cukrowa • 2 ząbki czosnku • 4 łyżki oliwy z oliwek • 1/2 łyżeczki imbiru • sól, pieprz, 1/2 łyżeczki papryki słodkiej
- sok z 1/2 pomarańczy i 1/2 cytryny
- 100 ml słodkiej śmietanki • garść uprażonych pestek dyni

Dynię kroimy na drobne kawałki, także ziemniaki, czosnek obieramy, wkładamy do naczynia

skrapiamy oliwą z oliwek. Pieczemy w piekarniku rozgrzanym do 200 st. C ok. 30 min. Wszystko przekładamy do garnka dodajemy wody, przyprawę i doprowadzamy do wrzenia. Blendujemy wszystko razem na jednolity, aksamitny krem, na koniec dodajemy śmietankę. Posypujemy już na talerzu pestkami dyni, zieloną pietruszką. Możemy dodać grzanki czosnkowe. © ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Miotła w stanie medytacji

Wydawało mi się, że w temacie wiedzy o sprzątaniu osiągnęłam sporo. Że mogę się habilitować z odkurzania, układania, zmiatania. Jak się okazuje – błąd. Nie doceniłam jego głębokiego znaczenia. Ta dyscyplina wciąż się rozwija, pojawiają się nowe odkrycia, nowe interpretacje. Chodzi już nie tylko o hardware – samojezdny odkurzacz i najnowszy model gąbki Vileda. Dyscyplinę „sprzątanie” należy znieść na wyższy poziom. Na poziomie sztuki. Na wysokości zadania stanęła Galeria Narodowa Zachęta.

„Czy gest sprzątania może być odczytywany jako gest troski? Jaki jest potencjał uważności i percepcji wytwarzany przez czynność sprzątania? Czy performowanie sprzątania może zmienić postrzeganie przestrzeni instytucjonalnych oraz systemów pracy?”. Te pytania, których niesłusznie nie zadawałam sobie wcześniej, postawiła Mary Szydłowska, mieszkająca w Brukseli choreografka i performerka polskiego pochodzenia. W Zachęcie wykonała ona performance pt. „Leaks”.

„LEAKS to performans proponujący tymczasowe środowisko współobecności z publicznością poprzez medytacyjny stan ciała. Śledząc globalną przemianę codziennych praktyk sprzątania wraz z nastaniem pandemii, LEAKS odwołuje się do przedstawień gestów kojarzonych z troską, opieką wobec przestrzeni architektonicznej i jej konserwacją”.

Nie bardzo rozumiem, jak sprzątanie może współist-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

nieć z medytacyjnym stanem ciała. Jako prosta pracownica fizyczna wiem, że te czynności wymagają wysiłku. Trzeba schylać się, klękać, dźwigać, wspinać się. Ale nie wątpię, że pani Szydłowska potrafi umyć okna w stanie głębokiej medytacji. To jednak specjalny dar, którego nie posiadam. Stwierdzam to ze smutkiem.

„Czy gest sprzątania może być odczytywany jako gest troski?” – pyta dalej polsko-belgijska artystka. Absolutnie się zgadzam. Odkurzam i zmiatam, bo troszczę się, aby moi współmieszkańcy, czyli rodzina, nie musieli łązić po brudnej podłodze. Ale nie jestem pewna, czy w tym, co robię, dostrzegają oni „potencjał uważności i percepcji wytwarzany przez czynność sprzątania”.

O to, czy „performowanie sprzątania może zmienić postrzeganie przestrzeni instytucjonalnych oraz systemów pracy”, zapytam panią Irkę, która sprząta w pewnym ministerstwie po godzinach. Ale nie jestem pewna, czy będzie w stanie udzielić mi jednoznacznej odpowiedzi.

PS Gdyby chcieli państwo rzeczywiście pogłębić wiedzę na ten temat w poważnym i ciekawym dziele, polecam pracę Piotra Oczki „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii albo historia pewnej obsesji”. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Nauki

Wnocy z 2 na 3 października Ministerstwo Zdrowia wystawiło e-skierowania dla 262 tys. dzieci od pięciu do jedenastu lat na szczepienie dawką przypominającą. Związane jest to z tym, że firma Pfizer, producent szczepionki, przekazała do organów kontrolnych Nową Charakterystykę Produktu Leczniczego, z której ma wynikać, że dostęp do dawek podstawowych w stosunku do „boostera” zmienia się z trzech na sześć miesięcy. Po prostu firma zrobiła nowy opis swojego preparatu i okazało się, że według niego zmienił on swoje właściwości.

Mniej więcej w tym samym czasie Szwecja zrezygnowała ze szczepień wszystkich osób poniżej 18. roku życia. Decyzja ta oparta jest na badaniach, które wykazały, że młodzi praktycznie nie chorują, co sprawia, że korzyść ze szczepionki jest żadna, za to zagrożenia – a jakże. 15 maja Dania wstrzymała szczepienia w ogóle. Uznano, że jest już po pandemii i nie ma co się wysilać na wielkie i kosztowne (oby tylko w pieniądzu...) masowe akcje.

Przypominam, że mówimy o tej samej chorobie, tych samych szczepionkach i tym samym gatunku ludzkim. Jest to warte zapamiętania z kilku względów. Łamię się dotychczasowy jednolity front podejścia. Wirus i sposoby walki z nim były ujednolicone międzynarodowo, podczas gdy teraz mamy do czynienia

z indywidualnym podejściem krajowym – a to wielka różnica. Po prostu kraje wyciągają indywidualne wnioski. Padła jednolita strategia dystansowania, maseczkowania, kwarantann i lockdownów. Teraz pora przysłała na szczepionki.

Ale przy takich różnych strategiach ktoś może mieć rację, a ktoś nie. Jako się rzekło, szczepionki te same, choroba taka sama, ludzie też. A więc dlaczego tak różne podejścia? Jedne, polskie, ostre. Inne ostrzejsze – Niemcy. Z drugiej strony – inne kraje odchodzą od szczepień. Kto ma rację?

Chciałoby się powiedzieć – nauka. Ale każdy z tych krajów przedstawia naukowe uzasadnienie swych decyzji. Różnych decyzji. Sytuacja epidemiologiczna jest podobna, a więc widać, że... mamy różne nauki, które uzasadniają różne decyzje. To bardzo ciekawe, gdyż wskazuje, że do swoich decyzji można dopasować nawet sprzeczne ze sobą naukowe podejścia, ponieważ te – jak widać – są różne i decydenci mogą przebieierać w nich jak w ulegalkach.

Narracja covidowa, jako niejednorodna, sypie się, ale ostatecznie ciągnie ze sobą na dno prestiż nauki, która staje się powoli kartą dań. Menu do wyboru przez rządzących. Tak, to prawda – pandemia to okres upadku nie tylko wielu zawodów społecznego zaufania, lecz także nauki jako takiej. Nauki, która rządzącym zaśpiewa wszystko, co zechcą. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

O co walczą dziewczyny Teheranu?

Choć informacje napływające z Iranu są bardzo skąpe (dziesiątki dziennikarzy zatrzymanych, Internet i łączność telefoniczna ograniczone), to wiemy, że już ponad dwa tygodnie kraj przeżywa społeczny wstrząs nienotowany od lat. Zamieszki wybuchły po zamordowaniu przez policję 22-letniej Kurdyjki Mahsy Amini. Zginęła tylko za to, że w sposób niewystarczający miała zakryte włosy.

W protestach uczestniczą już setki tysięcy osób. Najliczniejszą grupą, jak donoszą świadkowie, są młode kobiety. Ale reżim nie odpuszcza. Policja tłumi demonstracje. Użyto broni, liczba ofiar przekracza 150 zabitych. „Kobiety, życie, wolność!” – to hasło połączyło demonstrantów z najróżniejszych grup religijnych, etnicznych i społecznych. Równie ważnym paliwem protestów jest dramatyczna sytuacja gospodarcza: inflacja, sięgająca 50 proc., bieda i korupcja. To nie tylko protesty o wolność kobiet, lecz także bunt przeciw autorytarnej, skorumpowanej władzy ajatollahów.

W wielu miastach Europy i Ameryki odbywają się masowe demonstracje solidarności z Iranami. I jak można się było spodziewać, feministyczne środowiska już zagospodarowały narrację o bohaterkach z Teheranu. Tylko czekać, aż genderlewica tę walkę o godność kobiet, która dziś się wyraża zrzucaniem z głów „manteu”, swobodnym ubiorem i makijażem, zinter-

pretuje jako walkę o „prawa reprodukcyjne”, dostęp do edukacji seksualnej i prawa mniejszości LGBT.

Monopol, który uzurpuje sobie lewica na reprezentację praw kobiet, rozbija w proch książka Sarah Ruden pt. „Paul among the People”. Amerykańska antropolog opisuje pejzaż grecko-rzymskiego świata w czasach, gdy powstają Listy św. Pawła Apostoła. Opisuje ówczesną sytuację kobiet, ich totalne podporządkowanie mężczyznom, przemoc seksualną, konieczność zakrywania głów, zakaz odzywania się podczas publicznych zgromadzeń itp. Sytuacja kobiet w Iranie pod wieloma względami przypomina ten opis z czasów, gdy powstały pierwsze wspólnoty chrześcijańskie. Autorka udowadnia, że uczniowie Chrystusa, nadając godność kobietom, m.in. przez zrównanie ich statusu w zgromadzeniach liturgicznych, poprzez nierozdzielność małżeństwa, gwarantując równość ekonomiczną itp., bez rewolucji, ale poprzez praxis dokonali społecznej innowacji, która rozsądziła tamten przemocowy (anty)porządek.

Czy wyzwalając się z uprzedmiotowienia Iranki, z islamskiego bieguna, przeciągnięte zostaną od razu w neopogańskie, feministyczne i genderowe skrajności? A może zdołają odkryć osobową godność i podmiotowość, którą kobietom gwarantuje chrześcijaństwo? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Tak być nie powinno

TVN zdaje się mieć seryjny problem. Stop. Wydawało się, że po aferze i wywaleniu Durczoka stacja poważnie podeszła do mobbingu. Stop. Wydawało się. Stop. Anna Wendzikowska po odejściu z TVN opowiedziała ze szczegółami, jak była tam upokarzana i niszczona. Stop. Stacja odpowiedziała jej publicznie i współczująco, że tak być nie powinno. Stop. Genialna riposta. Stop. Genialna.

Prokurator generalny Zbigniew Ziobro stwierdził: „Przestępca, który napadnie domowników, musi liczyć się z tragicznymi konsekwencjami, dlatego rozszerzyliśmy granice obrony koniecznej, by napadnięty mógł bronić się bez obaw, że spotka go za to kara”. Stop. Następnie poznański prokurator podległy Ziobrze oskarżył rodzinę, która we własnym domu broniła się przed bandytą. Stop. Bandzior był wielokrotnie notowanym kryminalistą. Stop. Dusił jednego z domowników, po czym zmarł ugodzony nożem. Stop. Jednemu z domowników grozi do 10 lat więzienia. Stop. Spokojnie, nie musi się obawiać dożywocia. Stop. Fajne te zmiany w obronie koniecznej. Stop.

Orlen poinformował, że zamierza na swoich stacjach wprowadzić hot dogi z parówkami wege. Stop. E, wy tam, w Orlenie! Stop. Są granice, których przekroczyć nie wolno! Stop.

Zdzisław Krasnodębski podał na Twitterze, że „Katarina Barley (SPD), Daniel

Freund (Grüne) und Moritz Körner (FDP) żądają od przewodniczącego EPP, żeby nie dopuścił do powstania prawicowego rządu we Włoszech”. Stop. Jak głosi stara dobra zasada eurodemokracji: jeśli nie wybiorą naszych, to oni są faszysty. Stop. Może ta Unia powinna przeprowadzać i nadzorować wybory na wzór referendum Władimira Władimirowicza? Stop. W co my, proszę państwa, wdępnęliśmy? Stop.

Niesłusznie. Stop. Niesłusznie fala krytyki spadła na byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego po wywiadzie w RMF. Stop. Komorowski powiedział: „Zełenski powinien usiąść do rozmów z Putinem. Rozumiem, że preży mięśnie i dostosowuje się do tego, że Putin przegra wojnę. Ale nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu. Niedźwiedź jeszcze żyw i hasa w lesie”. Stop. Też uważam, że Zełenski mógłby spotkać się z Putinem w celu rozmów. Stop. Rozmowę mógłby zacząć: „Wypad z mojego kraju, pajacu”. Stop.

Na Twitterze ludzie umieszczają zdjęcia niektórych komunikatów wywieszanych w przestrzeni publicznej, np. dla lokatorów, żeby żyło się lepiej i przyjemniej. Stop. W tym tygodniu moją uwagę zwróciło zdjęcie ze szpitala umieszczone przez Piotra Zarzeczńskiego. Stop. Zacytuję treść: „Po naciśnięciu dzwonka pociągnąć drzwi i czekać na bzykanie, po czym wejść na oddział”. Stop. Lęk przed szpitalem zażegnany. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Misja samozwańcza

Małgośka – mówią mi – bądź realistą, nie mów prawdy! Niestety, nie potrafię kłamać, nawet gdy jest to mile widziane.

Oto gości mnie w swym domu jeden z największych pisarzy hiszpańskich – Fernando Sánchez Dragó. Oprowdza mnie po swojej bibliotece, a w gabinecie pokazuje zdjęcia z gigantami literatury światowej. Opowiada nawet o swoim spotkaniu z Miłoszem. W pewnym momencie mówię jednak: „Ale ty wiesz, że ja jestem z Rosją w tym jej konflikcie z globalistami?”. „No cóż – odpowiadam – nawet najwięksi pisarze nie mają obowiązku znać się na geopolityce, no i jak my wszyscy mają pewne wady. Twoją wadą, Mistrzu, jest rusofilia, ale można nad nią jeszcze popracować...”.

Smieję się oboje, w końcu rozmawiam z legendarnym skandalistą, który uszanuje tupet zadziornej Polki. Dzień później zaprasza mnie na spotkanie z aktorem i legendą hiszpańskiego kina – Jorgem Sanzem – i znów pojawia się temat polityki, od którego nie sposób uciec. Nasz kraj jawi im się jako egzotyczny i nic o nim nie wiedzą. W tym właśnie upatruję naszego cichego polskiego dramatu. W razie rozlania się konfliktu któż chciałby umierać za Gdańsk, gdy o Polsce słyszy się wyłącznie źle lub wcale?

Oczywiście korzystam z wszelkich okazji, aby spotkać się z ważnymi postaciami z życia intelektu-

alnego Hiszpanii i powalczyć z propagandą rozsiewaną na nasz temat, choć kompletnie nie rozumiem, dlaczego nie robi tego ambasada. Dlaczego Polska nie inwestuje w „lobbystów” w świecie kultury, skoro nawet Małgośce (bez budżetu, bez zaplecza, bez nazwiska) udaje się jeść obiady w towarzystwie VIP-ów? To są dla mnie niepojęte zaniedbania, które odbijają się czkawką w tak niebezpiecznym czasie dla Polski. To nie są sprawy drugorzędne, co myśli o Polsce elita kulturalna Europy, bo to oni opowiadają o swoich fascynacjach w mediach.

Pérez-Reverte umiał z wdziękiem rozprawiać o intelektualnych przygodach w Moskwie, bo nikt nie zabiegał o to, aby podróżował do Krakowa. Tak, wiem, wymądrzam się, ale jednocześnie umiem stanąć na głowie, aby wypić kawę w towarzystwie największego poety Hiszpanii. „Uwielbiam »Rękopis znaleziony w Saragossie«, to jedna z moich ukochanych książek” – mówi mi Don Luis Alberto de Cuenca, wirtuoz poezji i członek Kapituły Nagrody Księżnej Asturii, gdy idziemy po ulicach Madrytu. „A film Hasa pan widział?” – pytam. „Owszem, ale opowiedz mi coś o Świątek. Nie mogę oderwać oczu od jej gry! Ile w niej pasji, piękna i kobiecej siły” – zmienia temat. „No pewnie! – odpowiadam mu – jak w każdej z Polek! Bo taka jest właśnie nasza Polska...”. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Język w kraju rewolucji

Szanowne Panie, Szanowni Panowie! Szanowni międzypłciowi ludzie [intergeschlechtliche Menschen!]! Takim nagłówek został opatrzone e-mail, który całkiem niedawno otrzymała moja znajoma (Polka) mieszkająca od lat w Wiedniu od jednej z agend zajmujących się planowaniem rozwoju stolicy Austrii. Zawsze na początku jest słowo, a historia wielokrotnie potwierdzała, że opanowanie języka – podstawowego narzędzia komunikacji społecznej – jest najważniejszym warunkiem rozpowszechniania i utrwalania każdej ideologii rewolucyjnej.

Współczesna niemczyzna jest doskonałą ilustracją tego zjawiska. To nie tylko wspomniany wiedeński przykład. Od paru lat normą jest „ogwiazd-

szczególnej drogi (Sonderweg) do zbawienia naszych zachodnich sąsiadów dostarcza tego aż nadto przykładów. Rahner i jego uczniowie od kilkudziesięciu lat pomnażali w ten sposób asymptotyczne zbliżanie się do prawdy anonimowych chrześcijan ukształtowanych przez wydarzenie wielkanocne w duchu duszpasterskiego towarzyszenia ku spełnieniu potrzeb współczesnego człowieka na chwałę rewolucji czułości i miłosierdzia.

Aprzecież Niemcy jeszcze bardziej niż krajem myślicieli są krajem rewolucji. Niemal bez wyjątku niemiecka filozofia (i teologia) zapowiadała zazwyczaj kolejny etap rewolucji nie tylko w krajach niemieckich. Taki był potencjał rażenia niemieckiej filozofii idealistycznej (Kant, Hegel et consortes), która

Robespierus natus [urodzony Robespierre] – u Francuzów to był wyjątkowy człowiek, u Niemców to potoczny”.

Biskup – rewolucjonista Talleyrand – mawiał, że język w dyplomacji jest po to, aby ukrywać swoje prawdziwe poglądy. „Urodzeni Robespierzy” nad Sprewą doskonale pojęli tę naukę i systematycznie wcielają ją w życie. Dość popatrzeć na przepaść zionącą między słowami a czynami niemieckich polityków w kwestii toczącej się wojny rosyjsko-ukraińskiej. Słowa: potępiamy rosyjską agresję, solidaryzujemy się z napadniętą Ukrainą, której będziemy pomagać na wszelkie możliwe sposoby, nie wykluczając wsparcia militarnego. Czyny: brak skutecznej pomocy wojskowej dla państwa ukraińskiego i nieporzucone plany „wkomponowania Rosji w europejską architekturę bezpieczeństwa”, wedle słów byłej kanclerz Angeli Merkel.

Podobnie było z niemiecką Ostpolitik (polityką wschodnią) realizowaną w latach 70. ubiegłego stulecia przez socjalliberalne rządy Willy’ego Brandta i Helmuta Schmidta. Słowa: rewidujemy konfrontacyjną postawę wobec bloku wschodniego, chcemy pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Czyny: legitymizowanie „doktryny Breżniewa” poprzez uznawanie politycznego status quo w Europie i rozmawianie przede wszystkim z Kremlem, a w dalszej kolejności z „małymi” narodami z Europy Środkowej; przedłużanie żywota „imperium zła” poprzez eksport do Sowietów zaawansowanych technologii oraz rur potrzebnych do wydobycia i przesyłu ropy i gazu ziemnego. A każdy dzień dłużej trwania tego imperium oznaczał dla milionów ludzi brak pokoju i brak bezpieczeństwa. ©©

Biskup – rewolucjonista Talleyrand – mawiał, że język w dyplomacji jest po to, aby ukrywać swoje prawdziwe poglądy.

„Urodzeni Robespierzy” nad Sprewą doskonale pojęli tę naukę i systematycznie wcielają ją w życie

kowywanie” rzeczowników, tak aby bardziej zaakcentować równość płciową rzeczowników. Liebe Leser*inen (Kochani Czytelnicy*czki). U nas na razie rewolucja w języku tak daleko jeszcze się nie posunęła, ale parcie na stosowanie feminatywów nie ustaje. Są już więc panie rektorki i panie dziekanki, jakkolwiek ryzykowne w tej sytuacji będzie przyznawanie się przez studentów do przebywania przez cały rok „na dziekance”.

Od lat poletkiem doświadczalnym rewolucji w języku jest niemiecka teologia. Eksplodująca na naszych oczach herezja tzw. drogi synodalnej jako

przygotowała grunt pod zrodzony w Prusach marksizm. A potem byli Nietzsche z jego rewolucyjnym marzeniem „woli mocy” stojącej „ponad dobrem i złem” i cała plejada „kulturowych pesymistów” z przełomu XIX i XX w. przygotowujących grunt pod nadejście kolejnej niemieckiej ideologii rewolucyjnej – narodowego socjalizmu.

Nasz niedoceniany wieszcz Zygmunt Krasiński już w 1847 r. – rok przed ogłoszeniem „Manifestu komunistycznego”, ale w momencie, gdy heglizm się już spustoszenie w świecie niemieckiej Akademii – pisał: „Każden Niemiec jest

FASZYŚCI



FOT. W. LEJONOWSKI / UTJO / AGFSAW / SCS/SHK

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wtrakcie przemówienia transmitowanego na cały kraj Biden stwierdził, że MAGA to faszysta. MAGA, czyli ruch odnowy Ameryki zainicjowany przez Trumpa. Przypomina pospolite ruszenie – zbiorowiśko bez struktury organizacyjnej, bez składek członkowskich i legitymacji. MAGA to po prostu wyborcy Trumpa.

Biden wygrał wybory z minimalną przewagą 51,3 proc., więc jako faszystów zdefiniował prawie połowę kraju. O faszystach MAGA mówią też inni czołowi demokraci (np. Hillary Clinton) oraz media – nie popierasz obecnej władzy, chcesz innej polityki, innej Ameryki, innych cen benzyny i wycofania się z wojny na Ukrainie, chcesz, by w szkole uczyli matematyki, a nie gender, to znaczy, że jesteś faszysta.

W Europie podobnie.

Partia, która wygrała wybory w Szwecji, chce przywrócenia porządku i bezpieczeństwa, chce, by ustały napady, zamachy, wybuchy i gwałty, których autorami są muzułmańscy imigranci. Postuluje zatrzymanie imigracji, bo chce się najpierw zająć asymilacją przybyszów już obecnych, tak aby Szwecja była Szwecją, tak jak kiedyś – spokojnym, trochę nudnym krajem skandynawskim. Ten program zdefiniowano w mediach UE jako faszystowski.

Wybory we Włoszech. Włosi mieli dość niekontrolowanego napływu imigrantów, nie chcą zaangażowania w „wojnę domową” pomiędzy Rosją a Ukrainą, nie chcą wysokich cen na paliwa ani nie chcą unijnej polityki klimatycznej, nie chcą, by dzieci w szkole były uczone o różnych odmianach seksu. Wybrali program pani Meloni: Religia, Rodzina, Ojczyzna.

Media UE oraz amerykańskie podały, że zwyciężyła „skrajna prawica”. Nie zdefiniowano, kto stanowi „centrum”, a skoro prawica jest „skrajna”, to muszą gdzieś być jakieś „centrum” oraz jakaś „skrajna lewica”, prawda?

W demokracji ten, kto wygrywa wybory, stanowi centrum. Reszta, czyli ci, którzy wyborów nie wygrali, bo nie mają poparcia większości narodu, ci wszyscy są albo za bardzo na lewo, albo za bardzo na prawo zdaniem narodu. Czemu więc zwycięska partia to „skrajna” prawica? Ano temu, by można ją było zwalczać skrajnymi metodami, które nie muszą mieć nic wspólnego z demokratycznym porządkiem prawnym.

Co się robi z faszystami? Faszystów się zwalcza wszelkimi dostępnymi sposobami i nie trzeba się w tym przypadku oglądać na uczciwe metody, bo przecież musimy ratować świat przed faszyzmem. Na faszystów amerykańskich wolno nasać FBI bez stosownych nakazów, za to z karabinami w dłoni. To uzasadnione, bo... faszysta.

Mike Lindell został zatrzymany przez FBI, gdy pojechał z kumplem na hamburgera. Skonfiskowano mu telefon, a wcześniej... musieli go śledzić. Bo skąd wiedzieli, że jest w przydrożnym barze, a nie w biurze? W USA nie wolno śledzić obywateli bez nakazu oraz nie wolno bez nakazu konfiskować telefonu. Wygląda na to, że śledzili go nielegalnie, czyli FBI działa teraz jak KGB. Mike Lindell jest znanym producentem... poduszki do spania. Wesoły, pozytywny i popularny, bo sprzedaje te poduszki, występując we wszystkich reklamach osobiście. Teraz sprzedaje także kapcie. Czym zawinił? Nie wiemy i to też nie jest w USA legalne. Konstytucja

gwarantuje pewne rzeczy – muszą ci powiedzieć, dlaczego śledzą, zatrzymują, konfiskują, a ponadto masz prawo do osobistej konfrontacji z osobą, która cię o coś oskarża. W tym przypadku nie przedstawiono stosownych kwitów.

Mike Lindell jest zaangażowany w MAGA, pomagał w kampanii. Skoro FBI nie podaje konkretów, to domyślamy się, że chodzi o zastraszanie przeciwników obecnej administracji. Poprzednio robił to Obama – na przeciwników nasyłał agentów z federalnej skarbowki, którzy grozili więzieniem i bankructwem.

Specjalistą od zastraszania na ogromną skalę był prezydent F.D. Roosevelt – wygrał drugą wojnę światową, ale poza tym nieźla świnią.

W roku 1936 na igrzyskach olimpijskich w Berlinie złoto na 100 m zdobył Jesse Owens; Hitler nie był zadowolony, że Murzyn pokonał Aryjczyków. Prezydent F.D. Roosevelt zaprosił zwycięskich olimpijczyków do Białego Domu, ale... bez Murzyna – taka z niego była świnią. A później stworzył obozy dla Amerykanów japońskiego pochodzenia i trzymał ich tam z powodów rasowych – bez wyroku.

Do domu mało znanego katolickiego aktywisty pro-life Marka Houcka przyjechało nagle 20 agentów FBI uzbrojonych w długą broń, kamizelki etc. Mogli mu przysłać wezwanie pocztą lub dwóch tajniaków ubranych po cywilnemu, ale gdy chodzi o zastraszanie, ekipa Bidena wysłała kilkanaście czarnych wozów i otacza dom tak, jakbyśmy mieli do czynienia z terrorystą. (Tak zrobili w domu Trumpa, a przy okazji skonfiskowali paszporty).

Tym razem wiemy „za co” – aktywista wraz ze swoim nieletnim synem modlił się na ulicy przed zakładem aborcyjnym. Z zakładu wyszedł jakiś facet, zaczął pokrzykiwać, odpędzać. Ojciec z synem odeszli, ale ten ich gonił, a gdy zaatakował dziecko, został odepchnięty przez ojca. Żadnych obrażeń, zero broni – po prostu ojciec osłania syna przed fizycznym atakiem rozjuszonego aborcjonisty. To się działo rok temu i sąd oddalił sprawę, ale... administracja Joe Bidena postanowiła ją odgrzać, bo idą wybory i aktywistów strony przeciwnej trzeba straszyć.

Gdy zdefiniujesz połowę Amerykanów jako „faszystów”, sytuacja w USA wygląda gorzej niż w Niemczech w roku 1933, bo Hitlera poparło 44 proc., a wyborcy MAGA to 47 proc.

Kto w Polsce jest faszystą? Ludzie, którzy nie chcą polityki klimatycznej? Nie chcą wiatraków zamiast stabilnych dostaw prądu z elektrowni? Nie chcą, by Polska płaciła kary zagranicznym organizacjom? Nie chcą takich działań, które powodują, że Putin się bogaci, a w Polsce brakuje nawet drewna na opał? Czy faszystą jest każdy obywatel, który nie chce tego, co wprowadza władza ze swoimi kumplami z Davos?

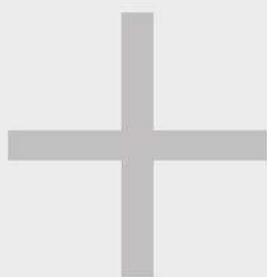
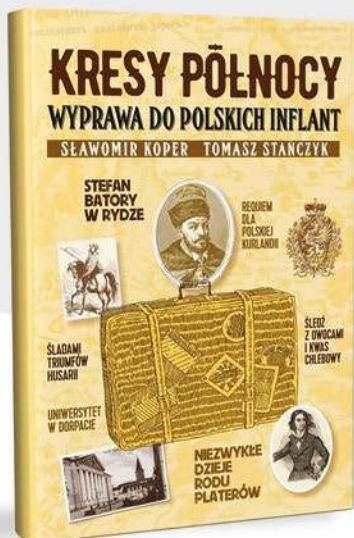
A może faszystami są politycy wprowadzający totalitarną ustawę „O ochronie ludności”, która pozwala władzy na wszystko: konfiskatę mienia, zawieszenie działalności gospodarczej, nakaz prowadzenia działalności wskazanej przez władzę (roboty przymusowe), reglamentację zaopatrzenia, zakaz podwyższania cen, przymus stosowania cen ustalonych przez władzę, nakaz przymusowej rozbiórki lub wyburzenia budynków (musisz sam rozwalić własny dom), zakaz przemieszczania się, zakaz strajków, przymus pracy w niedzielę i święta... ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1178~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

**SŁAWOMIR KOPER I TOMASZ STAŃCZYK:
„KRESY PÓŁNOCY. WYPRAWA
DO POLSKICH INFLANT”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

366,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 812 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 203ca8c3ae



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

